- Wojna o wodę — str. 6
- Strach w kolorze blue — str. 11
- Niższość kobiet — str. 7
- Zwierzenia zagubionego aktora — str. 8
- Telewizja szuka nowych twarzy — str. 10

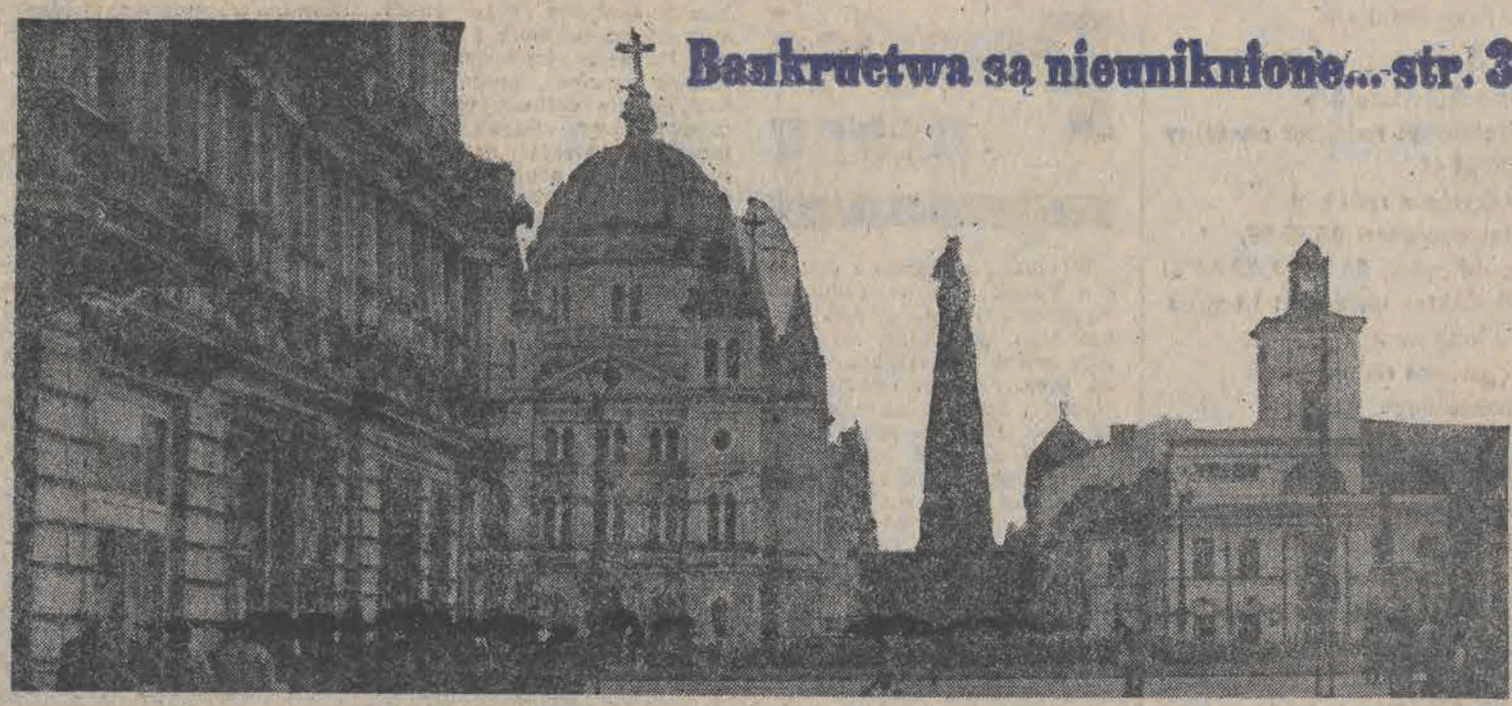

Bankructwa są nieuniknione... str. 3

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NR 10 (1667) ROK XXXIII 11 MARCA 1990 ROKU CENA 1000 ZŁ

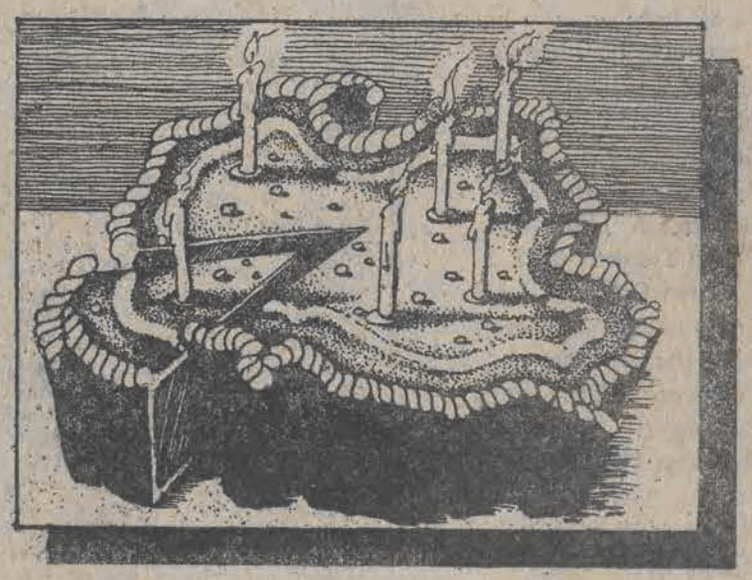

Rys. Dariusz Romanowicz

BAKU: — Naród tu gorący. Najpierw biją, później patrzą kogo...

Pięć dni w ogniu wojny dwu narodów

RAFAŁ LEWICKI

16 stycznia 1990 r. — wtorek.

Przylecieliśmy późno w nocy. Oczekiwał mnie Czyngiz. Po krótkiej prezentacji przygarnął będącego po raz pierwszy Tadeusza i ruszyliśmy do hotelu. Zdziwiła mnie obecność w samochodzie o tak późnej porze żony i córki Czyngiza. Wyjaśnił, że bał się zostawić je same w domu.

Czyngiz relacjonował wydarzenia.

Przed tygodniem Rada Najwyższa Armenii włączyła Karabach do swojego rocznego planu rozwoju. W związku z przemianowaniem Socjalistycznej Republiki Armenii na Republikę Armenii nadano mieszkańcom Karabachu (po ormiańsku: Arcachu) obywatelstwo armeńskie. Wydano medal na cześć zjednoczenia Arcachu z Armenią. 13 stycznia minął termin ultimatum postawionego przez Azerbejdżan Moskwie w sprawie rozwiązania kwestii Karabachu. Moskwa zagrała „na przeczekanie" i stąd rozruchy. Na mityngach rozrzucano ulotki z adresami pozostałych jeszcze w Baku Ormian z wezwaniem do ich rzezi. Ludowy Front Azerbejdżanu zarządził ewakuację Ormian, ale zaczyna tracić kontrolę nad sytuacją. W Karabachu stan nadzwyczajny. Na mityngach mówcy potępiają kunktatorstwo Moskwy, tendencyjność centralnych środków masowego przekazu, przedstawiających wydarzenia na niekorzyść Azerbejdżanu. Tłum o mało co nie rozerwał z tego powodu korespondentów TASS, przybyłych na demonstracje. Uratowało ich wojsko. W lokalnym programie publicystycznym dziennikarka, podchwytliwie zadając pytania majorowi Szczebieniewowi, wyciągnęła z niego przyznanie, że do stolicy Karabachu wraz z żywnością przemycano dla Ormian broń.

17 stycznia — środa.

Do hotelu wracam piechotą. Przez prawie dziesięć lat pobytu w Baku wyrobiłem sobie o tym mieście własne zdanie. Idę w stronę ormiańskiej cerkwi. Mijam powybijane wystawy sklepów, zasłonięte dyktą. Na trotuarze szczątki spalonych sprzętów domowych, pogięte łóżko z powyrywanymi metalowymi prętami, nadpalone książki, odzież. W innym miejscu zaschnięte plamy krwi.

Ludzie podejrzliwie świdrują mnie oczami. Wyglądam na Rosjanina, a tych tu nie lubią. Zastanawiam się, czy w razie czego zdążę wyciągnąć z kieszeni polski paszport — moją jedyną broń. Akcje Polaków w Azerbejdżanie gwałtownie skoczyły w górę po wystąpieniu amerykańskiego historyka Tadeusza Światochowskiego, który — jak twierdzą Azerbejdżanie — dał dosadnie pojąć Ormianom bezzasadność ich roszczeń terytorialnych.

Ormiańska cerkiew. Drzwi zabite deskami, smugi od dymu na murze. Dokoła kręcą się grupki młodych ludzi i patrole LFA z niebiesko-czerwono-zielonymi opaskami na rękawach. W środku czerwonego paska — sierp księżyca. Zawracam, unikając spotkania.

W otwartych jeszcze sklepach ludzie wykupują żywność. Wynoszą pełne torby. Wyobrażam sobie, jak musi w takich warunkach kwitnąć spekulacja, będąca tu na co dzień — jak daleko sięgnę pamięcią — zjawiskiem normalnym.

Twarze przechodzących ludzi inne od tych, jakie przywykłem oglądać. I ludzie zupełnie inni — to nie bakijczycy. Widać po ich zachowaniu, że czują się w mieście obco. Różnią się od bakijczyków ubiorem, przemykają pod ścianami domów, taksują przechodniów wzrokiem, jakby kogoś szukali.

Przypadkiem nadjeżdża autobus 88. Wiezie mnie do byłej dzielnicy ormiańskiej, przemianowa-

5

Rys. Dariusz Romanowicz

Cichy, uprzejmy człowiek o fiołkowych oczach śpiewał romanse i wysyłał na śmierć miliony ludzi. Nawet Józef Stalin nazwał go łajdakiem.

Kariera i śmierć Nikołaja Jeżowa

RYSZARD BADOWSKI

W swoich wspomnieniach z pobytu w ZSRR w latach 1939—1942 jeden z więźniów stalinowskich łagrów, Tadeusz Kochanowicz, opisuje „rękawice Jeżowa". Tak nazywano drewniane kosze, zasłaniające okna zatłoczonych cel w więzieniach. Przepuszczały niewiele powietrza. Zdejmowano je tylko na noc, aby więźniowie się nie podusili. Wprowadzono je za czasów, gdy na czele NKWD stała jedna z najbardziej zbrodniczych postaci. Nawet Stalin nazywał Nikołaja Jeżowa łajdakiem.

W tajnym referacie na XX Zjeździe KPZR — Nikita Chruszczow mówił o 383 wykazach, które Nikołaj Jeżow wysłał do Stalina w latach 1937—38 w celu zatwierdzenia przez Kolegium Wojskowe z góry ustalonych w NKWD kar. Były to z reguły wyroki śmierci. Listy obejmowały wiele tysięcy nazwisk działaczy partyjnych, komsomolskich, urzędników państwowych i gospodarczych, wojskowych. Stalin składał na nich osobiście sankcjonujący podpis.

Tadeusz Kochanowicz w książce „W Komi i gdzie indziej" (Wyd. „Pelikan", Warszawa, 1989) podaje, że za czasów Nikołaja Jeżowa rozprawy odbywały się nierzadko w celach więziennych. Wyroki wydawały trzyosobowe zespoły, popularnie zwane „trojkami". Skazanym na śmierć nakładano maski na twarz i następnie strzelano do nich z rewolweru w tył głowy.

Nieznana jest dokładna liczba ofiar Nikołaja Jeżowa. Radziecki historyk wojskowy profesor Dmitrij Wołkogonow uważa, że w czasach, kiedy ten zbir stał na czele NKWD, represjonowano 4—4,5 miliona ludzi, z których na karę śmierci skazano około miliona. Zachodni autor Robert Conquest w książce „The Great Terror", wydanej w 1968 roku w Londynie, jest zdania, iż między styczniem 1937 a grudniem 1938 roku aresztowano 7 milionów obywateli ZSRR z paragrafów politycznych. Obok miliona rozstrzelanych co najmniej 2 miliony zmarły w więzieniach i obozach. Dla określenia ludobójstwa z lat wielkiego terroru Dmitrij Wołkogonow używa pojęcia *„taśmociąg śmierci"*.

Lubił patrzeć, jak inni umierają.

Wysoki rangą funkcjonariusz NKWD Aleksander Orłow, który uciekł przez Hiszpanię do Stanów Zjednoczonych w 1938 roku, ujawnia, że Nikołaj Jeżow brał udział w egzekucji Grigorija Zinowiewa i Lwa Kamieniewa oraz innych działaczy opozycji antystalinowskiej, skazanych w tzw. pierwszym moskiewskim procesie politycznym. Przedtem Nikołaj Jeżow wymusił na nich zgodę na samooskarżenie się. W imieniu Stalina zapewnił, że jeśli dobrowolnie złożą obciążające ich zeznania na publicznej rozprawie sądowej, ich życie będzie oszczędzone. Lew Kamieniew miał wtedy kłopoty z sercem, Grigorij Zinowiew chorował na astmę. W ich celach w lipcu włączono kaloryfery.

Lwa Kamieniewa Stalin kazał postraszyć, że jeśli odmówi zeznań w sądzie, przed trybunałem zostanie postawiony jego syn. Miał on rzekomo śledzić samochody Klimienta Woroszyłowa i Stalina na Szosie Możajskiej. Gotów to był potwierdzić złamany wcześniej w śledztwie wysoki urzędnik komisariatu finansów Izaak Reinhold, powiązany z Lwem Kamieniewem. Reinhold złożył podpis pod oświadczeniem, że zabójstwo Siergieja Kirowa zostało zaaranżowane przez Zinowiewa i Kamieniewa. Zeznał też, że mieli oni spiskować nad usunięciem Józefa Stalina, Wiaczesława Mołotowa, Łazara Kaganowicza i innych przywódców partii.

Absurd tych oskarżeń był oczywisty. Stalin pozbywał się rywali. Lew Kamieniew był żonaty z siostrą Lwa Trockiego, a więc łatwo go było obwinić o trockizm. Grigorij Zinowiew swego czasu wysunął Stalina na stanowisko sekretarza generalnego partii. Uczynił go więc sam swym grabarzem. Zinowiew był bardziej podatny na ustępstwa niż Kamieniew. Aleksander Orłow opisuje w swojej „Tajnej historii zbrodni stalinowskich" nocną rozmowę Jeżowa z Zinowiewem, w czasie której chory więzień chwiał się na nogach (rozmowa trwała dwie godziny). Zaglądając co chwila do notesu Jeżow przekazał mu wskazówki Stalina. Treść rozmowy protokołował wysoki szef jednego z wydziałów NKWD Mironow, który po morderstwie Siergieja Kirowa zacierał w Leningradzie ślady wiodące ku prawdziwym inspiratorom zamachu na popularnego i przeciwstawianego Stalinowi przywódcę. Następnego dnia Nikołaj Jeżow wprowadził do protokołu kilka poprawek i przesłał go do Stalina. Wkrótce obydwu więźniów przywieziono na Kreml. Orłow tak przedstawia tę scenę:

„Z członków Biura Politycznego w gabinecie Stalina był tylko Woroszyłow. Siedział z prawej strony Stalina. Z lewej siedział Jeżow. Zinowiew i Kamieniew weszli milcząc i stanęli pośrodku gabinetu. Nie przywitali się z nikim...".

Potem jest długa relacja z rozmowy, w której Zinowiew i Kamieniew domagali się potwierdzenia gwarancji zachowania im życia, a Zinowiew odwoływał się ponadto do rozsądku Stalina, wskazując, iż proces najbliższych współpracowników i przyjaciół Lenina rzuci cień na Związek Radziecki, okryje go ogromną hańbą. Wspominając nazwisko Lenina Zinowiew rozpłakał się.

4

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36 52 44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80 99,
publicyści: 36 77 70, 32 89 70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Jacek Indelak, Eugeniusz Iwanicki, Marek Koprowski, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Bogumił A. Makowski, Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc,
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński,
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk,
Stale współpracują: Marek Brzeziński, (Paryż — Londyn), Anna Gronczewska, Andrzej Grun, Janusz Janyst Marek Juśkiewicz, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Włodzimierz Krzemiński, Mirosław Kuliś, Monika Matuszak, Zenon J Michalski, Marzena Mróz, Adam Ochocki, Henryk Pustkowski, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel 32 59 11.

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz,** tel. 36 80 99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW, a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast

Wpłaty na prenumeratę przyjmują 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób. 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości, w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych.

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne Należność za przyjętą prenumeratę pocztową obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc wyższa w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

B-10

Przegląd prasy

W ubiegłym tygodniu odwiedził Polskę minister rolnictwa Wielkiej Brytanii. Warto wobec tego podkreślić, że pracuje tam w rolnictwie zaledwie 2,1 proc. ludności czynnej zawodowo, która produkuje aż 60 proc. żywności dla 57 mln osób. W zakresie artykułów rolnych możliwych do wyprodukowania w kraju Wielka Brytania jest w 80 proc. samowystarczalna. Obecnie z importera zbóż stała się szóstym eksporterem na świecie.

Bardzo ciekawy artykuł o rolnictwie brytyjskim opublikował w najnowszym kwartalniku „WIEŚ I ROLNICTWO" (nr 3) Marek Kłodziński. Średni obszar gospodarstwa wynosi 103 hektary (w Szkocji — 245, w Anglii — 87, w Walii — 73, w Południowej Irlandii — 51 ha), i przewyższa wielkością warsztaty rolne innych krajów europejskich. Po śmierci właściciela gospodarstwo nie ulega podziałowi, ponieważ dziedziczy je najstarszy syn. Jest to silnie zakorzeniona tradycja. W 1908 roku 88 proc. farm było dzierżawionych. Natomiast obecnie jest 30 proc. takich gospodarstw, które skupiają 39 proc. ziemi. Zaznaczył się więc silny trend wykupu dzierżawionych gruntów.

W latach 1975—1985 wydajność pracy w rolnictwie brytyjskim zwiększała się o 5,1 proc. rocznie. Ale dochody farmerów liczone w cenach stałych zmniejszyły się o 30 proc. Jeśli tendencja ta utrzyma się, to wielu rolników brytyjskich będzie musiało szukać pracy w innych dziedzinach gospodarki. Już teraz 10 proc. globalnej produkcji rolniczej wytwarzają gospodarstwa dwuzawodowe. W Anglii i Walii jest 30 proc. takich farm.

„Jeszcze do niedawna uwaga polityków i naukowców skupiała się na farmach czysto rolniczych, a gospodarstwa dwuzawodowe uważano za odchylenie od normy. Idea, iż dwuzawodowość może być stałą i ekonomicznie znaczną pozycją, a często nawet pożądaną formą aktywności zawodowej, zaczyna zyskiwać akceptację społeczną dopiero w ostatnich latach. W publikacjach brytyjskich podkreśla się często stabilizujący wpływ rolnictwa dwuzawodowego na strukturę rolnictwa; uważa się, że odegrało ono znaczną rolę w zwolnieniu tempa koncentracji w rolnictwie. Zjawisko dwuzawodowości nie znika, lecz wprost przeciwnie, rozwija się".

W ostatnich latach rośnie popyt na tzw. zdrową żywność, produkowaną bez użycia chemikaliów. Obecnie żywność ta stanowi tylko 1 proc. sprzedaży, lecz handlowcy twierdzą, że z czasem wielkość zakupów może dojść do poziomu 20 proc. spożycia.

„Rolnicy gospodarujący tradycyjnie, bez użycia preparatów chemicznych, otrzymują premie w postaci większych od 25 do 100 proc. cen za warzywa i ziemniaki, a w wypadku zbóż najlepszej jakości — 25 proc. poziomu cen normalnych. Wyższy poziom cen żywności pochodzącej z produkcji naturalnej jest uzasadniony; np. rolnik specjalizujący się w produkcji mleka, jeśli chce zaprzestać używania chemikaliów w produkcji pasz dla krów, musi znacznie zmniejszyć swe pogłowie. Jeśli posiada 100 ha ziemi i 160 krów, musi przy przejściu na metody naturalne zmniejszyć pogłowie do 40 sztuk, a ponadto zmniejsza się jeszcze ilość mleka uzyskanego od 1 krowy. Należy też brać pod uwagę fakt, iż chcąc uzyskać znak (Soil Association) grupy rolników stosujących naturalną metodę uprawy, rolnik musi pozostawić pole odłogiem na okres 3 lat, aby nastąpiło wyrugowanie z gleby pozostałości używanych wcześniej chemikaliów. Powiększa się liczba rolników, którzy są zdania, że sprzedaż tzw. mięsa naturalnego, produkowanego bez traktowania zwierząt substancjami chemicznymi lub wszczepionymi hormonami, może spowodować podniesienie się poziomu cen mięsa".

Rolnictwo brytyjskie ma szanse dalszego wzrostu produkcji dzięki nowym technologiom. Nie wiadomo jednak, czy technologie te zostaną wprowadzone w życie. Rosną bowiem zapasy żywności oraz straty przy magazynowaniu i eksporcie. Jedynym wyjściem jest spadek kosztów produkcji i zmniejszenie dofinansowywania producentów rolnych. Najtaniej wytwarzają największe gospodarstwa, ponieważ stosują najnowsze technologie. Ale społeczeństwo jest zaniepokojone procesem koncentracji i intensywnością produkcji, bo grozi to dewastacją środowiska naturalnego. Trzeba więc subsydiować małe formy dwuzawodowe, w których praca będzie relaksem i hobby.

ŹRÓDŁA POLSKI LUDOWEJ

Na XIV Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich, który obradował we wrześniu 1989 roku w Łodzi, jednym z referentów był zmarły niedawno Tadeusz Łepkowski. Wybitny uczony mówił o problemie rewolucji w Polsce w latach 1944—1989. Tekst jego wystąpienia opublikował miesięcznik „ODRA" (nr 1). Cytuję fragment dotyczący genezy Polski Ludowej:

„W toku wojny naród polski stał się w znacznej mierze narodem-ludem. Zegalitaryzowany, spauperyzowany, sproletaryzowany, utożsamiał się odruchowo, bądź świadomie, z masami pracującymi. Pękały bariery klasowo-warstwowe. Częstotliwość i zakres więzi międzywarstwowej tworzył nowe jakości solidarności narodowej i ludowej. Znakomita większość Polaków pragnęła innego niż przedwojenny ustroju, pragnęła Polski demokratycznej, ludowej, rozumiecie to rozumiejąc. Ku temu samemu, społecznej demokracji, szło również wojsko obywatelskie, jakim była bez wątpienia Armia Krajowa. Mówił i pisał o tym ostatnimi laty Tomasz Strzembosz.

Dowodów źródłowych na głębokie, rewolucyjne zmiany w świadomości społeczeństwa mamy bardzo wiele. III Rzeczpospolitą — wszystko na to wskazywało — budowałyby stronnictwa lewicowe. O radykalizacji nastrojów nurtujących społeczeństwo polskie świetnie wiedziały władze naczelne RP. Niektórzy politycy, przestraszeni, uznawali za wskazane rozładować owe nastroje manipulacyjnie, czyniąc demokratyczne „ustępstwa", mające przelicytować obietnice komunistów. Spora część czyniła to wszakże bez ciągot manipulatorskich, rozumiejąc, że nadchodząca III Rzeczpospolita stanowić będzie dyskontynuację, zasadniczą, rewolucyjną zmianę. Znana Deklaracja Rady Jedności Narodowej z 15 marca 1944 stwarzała wizję Polski Ludowej w wariancie, który można by zapewne nazwać socjaldemokratycznym".

Nie tylko komuniści dążyli do rewolucji i utworzenia Polski Ludowej. Tadeusz Łepkowski był zdania, że rewolucja stalinowska w Polsce od samego początku miała ograniczone poparcie społeczne. Na zjeździe historyków w Łodzi nie analizował dokonań tej rewolucji, lecz zwrócił uwagę na zasadnicze zjawisko:

„Jedno wydaje się oczywiste: dokonała awansu warstw ludowych — przeorała społeczeństwo i ukształtowała je strukturalnie i mentalnie na długo aż do dziś, łącznie z opozycją różnej barwy, która w większości przejmowała sposób postępowania, a nawet frazeologię stalinowskiej rewolucji. Nie zmieniło tego gwałtowne starcie dwóch rewolucji w latach 1944—1948 i zapiekła wrogość w latach następnych. Demagogiczny egalitaryzm, populizm, etatyzm autorytarno-hierarchiczny, „nacjonalizm zależny" — wszystko to wciąż widoczne, zatrute owoce stalinowskiej rewolucji, którym towarzyszy lęk i społeczna demoralizacja".

W dziejach Polski Ludowej ścierały się rewolucja stalinowska i rewolucja niepodległościowo-demokratyczna. Ta druga zaczęła się zwycięsko odradzać od 1980 roku.

JESTEŚMY DZIEĆMI KOMUNIZMU

Pod tym tytułem ukazała się w „TYGODNIKU GDAŃSKIM" (nr 8) interesująca rozmowa Macieja Żakiewicza z prof. dr hab. Romanem Wapińskim. Na wstępie znany historyk stwierdza, że większość społeczeństwa polskiego została wychowana w kręgu pewnej ideologii, którą obecnie odrzuciła bardziej z nazwy niż z przekonania. Dlatego ludzie domagają się interwencji i opieki państwa w przypadkach silnie zaznaczonych nierówności społecznych.

„Uznawane są naturalne prestiże o charakterze społecznym, nie zaś tylko materialnym, na przykład na tle przywództwa politycznego, pozycji materialnej. U nas w zasadzie wszystko zostało w minionym okresie zdegradowane. System doprowadził do tego, że w jakiejś mierze zostało to w naszej świadomości zakodowane. Powstał nowy ideologiczny zlepek łączący ze sobą ludzkie tęsknoty. Przecież jeszcze w roku 1980 mówiono „socjalizm z ludzką twarzą". Dzisiaj ludzie odrzucają samo pojęcie socjalizmu, ale to wszystko co się w nim mieściło, chcą zachować.

Jest jeszcze inna rzecz, która nas w dalszym ciągu charakteryzuje. W naszej sytuacji każdy konflikt społeczny urasta od razu do wielkiego konfliktu politycznego. Jak dotychczas mamy władzę nadal bardzo zunifikowaną, wobec tego każda jej decyzja budzi reakcje przeciwko niej, artykułowane na linii społeczeństwo-władza. Tego istniejącego jeszcze w świadomości podziału na my i oni (w pewnym sensie ma on jeszcze swoje podstawy, bowiem wiele elementów starego systemu politycznego znajduje się nadal po jednej stronie) nie niwelują wewnętrzne przejawy różnicowania się dotychczasowej opozycji. Utrudnia to obecnemu rządowi Tadeusza Mazowieckiego pracę, po prostu ujawniają się sytuacje konfrontacyjne „my — oni". I mogą być one artykułowane na innej zasadzie. Nie będzie to już „Solidarność" i PZPR, a będzie to „S" i inne związki a rząd T. Mazowieckiego".

W nowym układzie istnieje potrzeba odpolitycznienia wielu dziedzin życia społecznego, w tym Kościoła rzymskokatolickiego, który chwilami zatracał swoją podstawową osobowość. W obecnej sytuacji Kościół powinien bronić się przed polityką, gdyż grozi mu, że będzie utożsamiany z jedną wizją polityczną.

„Duchowni czuli się do tej pory czołówką walki o prawa polityczne społeczeństwa, oczywiście różnie interpretowane i rozumiane. No, ale w tej chwili muszą się poczuć w końcu tym, kim są naprawdę. Kościół sprawia obecnie wrażenie, że zbyt dużo zajmuje się stroną zewnętrzną, a za mało wewnętrzną, dotyczy to również zbytniego ukłonu w stronę polityki, ale również zbytniego sformalizowania. Słowem Kościół posiada te same wady co całe społeczeństwo".

Jesteśmy podobno drugim państwem — obok Iranu — gdzie stworzono instytucję duszpasterstwa parlamentarnego. Pisze o tym na łamach „PRZEGLĄDU WIADOMOŚCI AGENCYJNYCH" (nr 7) J. Kędzierski. Jego świeżo nawrócony kolega głośno modlił się w pociągu ekspresowym do Gdańska, nie zważając na śpiących ludzi, i nikt mu nie zwrócił uwagi. Znowu żyjemy w pozorach, choć inaczej niż to było za Gomułki, Gierka czy Jaruzelskiego. J. Kędzierski wskazuje trzy znamienne zjawiska:

„Na Urbanie wieszaliśmy psy, wytykaliśmy mu brak urody, kłapciate uszy i cynizm. Prawdę mówiąc, pastwiliśmy się nad nim okropnie. Teraz, gdy rzecznik dystyngowanie odczytuje z kartki, siedzimy cicho — bo a nuż zaszkodzimy panu Premierowi? — i co najwyżej zauważamy, że gustujemy w innym typie kobiet. Nie chodzę na briefingi pani Niezabitowskiej, nie tylko dlatego, że w tym właśnie czasie urządzam sobie fajf o kloki... A też dlatego, że pani minister zapytana w telewizyjnych „Interpelacjach" jakie cechy powinien posiadać rzecznik rządu, wymieniła różne. Refleks, błyskotliwość itd. W tym spisie przymiotów zabrakło wiedzy. I to czuć.

Cieszę się, że minister Kuroń załatwił w RFN pracę dla tysiąca młodych Polaków, którzy zarobione tam pieniądze przeznaczą na budowę własnego mieszkania. Zdziwiłem się tylko, kiedy przeczytałem w środowej gazecie, że lista kandydatów na gastarbeiterów została zamknięta. Jaka lista? Kto ją otworzył? Kto zamknął? Słowo honoru, mieszkanie już mam i małość przeze mnie nie przemawia. Czekających na mieszkania są miliony, a ich stan psychiczny często wymaga opieki lekarskiej i wydaje mi się, że nie wolno w tajemnicy manipulować nadzieją. To nie jest amnestia!

I jeszcze rozśmieszyła mnie jedna informacja. Teatr Wielki, najbardziej chyba dotowana scena w Polsce, przekazał 5 milionów z okładem na fundusz wspierania inicjatyw gospodarczych premiera Mazowieckiego z wieczorów kolęd „Podnieś rękę Boże Dziecię". Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby Teatr Wielki zachował te pieniądze dla siebie, obniżając dofinansowanie, niż robił propagandowy szum dowodzący patriotycznej postawy i zaangażowania".

POLSKA PRZEPRASZA IZRAEL

Pod tym z kolei tytułem ukazał się artykuł Ryszarda Malika w organie rządowym „RZECZPOSPOLITA" (nr 49). Autor przypomina, że Polska zerwała stosunki dyplomatyczne z Izraelem 12 czerwca 1967 roku.

„Rząd polski przyznaje dziś, że przed laty zrywając stosunki z Izraelem popełniono poważny błąd. Jednocześnie odcina się od następnych posunięć ówczesnych władz (marzec 1968 r.) i innych działań, w wyniku których zostali skrzywdzeni obywatele polscy pochodzenia żydowskiego. Wszyscy, którzy pragną powrócić, uzyskać odszkodowanie, odzyskać obywatelstwo, będą mogli to uczynić. Przygotowywane są już odpowiednie akty prawne".

Po blisko 23 latach, 27 lutego 1990 roku minister spraw zagranicznych Rzeczpospolitej Polskiej podpisał z ministrem spraw zagranicznych Izraela protokół o wznowieniu stosunków dyplomatycznych i wymianie ambasadorów. Krzysztof Skubiszewski oświadczył, że oznacza to powrót do stanu normalności i otwarcie nowych perspektyw współpracy. Nie ulega jednak zmianie stanowisko Polski w sprawie ustanowienia trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie.

Żydzi w Izraelu wiążą duże nadzieje z ostatnimi przemianami w Europie Wschodniej. Interesujący artykuł na ten temat prof. Szlomo Awineri przedrukowała „TRYBUNA" (nr 14) z angielskojęzycznego dziennika „The Jerusalem Post". Autor podkreśla, że siły, które powołały do życia państwo Izrael pochodzą z Europy Środkowej i Wschodniej. Pisze między innymi:

„Jeżeli Izrael jest lub kiedykolwiek był związany z Europą, to właśnie z tą Europą. Korzenie nasze były w Warszawie i w Wiedniu, w Pradze i w Odessie, w Mołdawii i na Litwie. Europa Paryża i Brukseli, nie mówiąc już o intelektualnych cechach myśli Londynu i Manhattanu, ma bardzo niewiele wspólnego z prawdziwymi europejskimi związkami izraelskiej kultury, polityki i światopoglądu.

W ostatnim półwieczu te prawdziwe związki Izraela z Europą zostały dwukrotnie brutalnie przecięte. Naprzód przez hitleryzm. Następnie przez komunizm. Hitlerowskie zniszczenie europejskiego — głównie wschodnioeuropejskiego — żydostwa przekształciło Europę Wschodnią w zbiorową mogiłę ludu żydowskiego. Na przykład Polska przestała być ośrodkiem żydowskiego życia kulturalnego. Zamiast być miejscem, w którym Żydzi cierpieli i przeżyli, walczyli i tworzyli, stała się tylko miejscem, gdzie Żydzi byli mordowani. Z Europą Wschodnią nie kojarzy się już żydowskie życie, lecz żydowska śmierć, czego symbolem stał się Auschwitz".

Po Stanach Zjednoczonych i państwie Izrael największym skupiskiem Żydów jest Związek Radziecki. Obecnie ludność żydowska masowo opuszcza ZSRR i nie mogąc osiedlać się w USA, gdzie wprowadzono ograniczenia imigracyjne, przybywa do Izraela (około 500 osób dziennie). W tym roku ma przybyć 100 tys. Żydów radzieckich, a w ciągu najbliższych 3—5 lat około miliona — jak podaje Richard Owen w artykule przedrukowanym z „The Times" przez tygodnik „FORUM" (nr 8). Jeszcze do niedawna w Związku Radzieckim było 1,8 mln ludzi pochodzenia żydowskiego.

E. L.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— W marcu 1943 r. Zygmunt Walter-Janke został zastępcą komendanta Okręgu Śląskiego Armii Krajowej. To był trudny okręg. Niemcy uważali Śląsk za teren wzorcowy. Mieli tam przewagę i wszędzie swoich ludzi. Trzeba było dobrze znać lokalne obyczaje i język niemiecki. W okręgu brakowało broni. Z tego powodu nie przeprowadzono akcji „Burza". Liczono się z wielkimi stratami — pisze TADEUSZ BIELEWICZ, były żołnierz Okręgu Śląskiego AK.

— Konsternacja po obu stronach. Naczelnik nie spodziewał się, że tu jeszcze kiedykolwiek wrócę. Ja nie przypuszczałem w swej naiwności, że go tu jeszcze zastanę. Rozmowa krótka, bo o czym tu rozmawiać?... Reporter powrócił na stare tropy, a swoim powrotem mało radości wzbudza, więcej gniewu i strachu, niby upiór, który zakłóca po latach błogi spokój. Cóż, okazuje się, że nie wystarczyło mu zabrać ośmiu lat życia, należało mu jeszcze serce osinowym kołkiem przebić — dokończenie reportażu JACKA INDELAKA pt „Strach w kolorze blue".

— Józef Piłsudski darzył go poważaniem, jeśli nie sympatią. Józef Stalin chciał z niczego uczynić „polskiego Paasikivi". Ławrientij Beria powiedział: „Książę, potrzebujemy takich jak Pan". W prywatnych apartamentach przyjmował go w czasie okupacji Herman Goering. Książę Janusz Franciszek Ksawery Radziwiłł urodził się w Berlinie. W jego żyłach płynęła krew Hohenzollernów. Miał liczne znajomości wśród arystokracji niemieckiej. Był zagorzałym zwolennikiem polityki równowagi i dobrosąsiedzkich stosunków Polski z oboma wielkimi sąsiadami. Gdyby zgodził się na kolaborację z Niemcami, byłby wygodny również dla Kremla. 20 września 1939 r. został aresztowany na zamku w Ołyce. Zaimprowizowany „sąd ludowy" w mieście opowiedział się za jego zwolnieniem. Tylko dwie spośród około 100 osób były za rozstrzelaniem „polskiego pana" — artykuł RYSZARDA RADOWSKIEGO pt. „Tajemnicza misja Janusza Radziwiłła".

— W kącie pokoju pianino stało. Ale grać nie umieliśmy na tym faszystowskim instrumencie. Jednak — kiedy wypiliśmy więcej — to Sinicyn spróbował. I nawet bardzo dobrze wyszło. Więc Dubin na gitarze rżnie, my z całych sił „Jeśli zawtra wojna" śpiewamy, a Sinicyn pianino obu rękami po zębach chlaszcze. I tak ładnie nam szło, że my tym sposobem do północy się bawili. Potem Dubin uroczyście powiedział: — Drodzy towarzysze — Zaraz będzie Nowy Rok. Zaczniemy go specjalną zakąską do wódki. Jest to najlepsze na świecie burżujskie jedzenie!

Poszedł on do szafki i wyjął dużą papierową torbę. Przyniósł ją i wyrzucił zawartość na stół. Było to coś podobnego do strąków bobu, albo do małych ogórków. — Banany — powiedział Dubin. — Nasi chłopcy z NKWD tu u pewnego burżuja, który miał dawniej owocarnię, rewizję robili i dużo tego specjału znaleźli. Więc i mnie trochę dali.

Dubin banany porządnie w umywalce wymył i kilka z nich plasterkami na talerzu pokrajał, potem oczywiście, odpowiednio posolił i każdemu wódki nalał. Wypiliśmy i bananami zagryzamy. Ale, cholera go wie, jakoś niesmacznie było. Ja nawet wypluć chciałem. A Sinicyn wówczas powiedział: — Do tych bananów trzeba octu i tak samo pieprzu.

Pieprz był, ale po ocet Dubin do gospodyni poszedł pożyczyć. Zaprawiliśmy banany octem, no i, rzecz jasna, pieprzem. I zupełnie inny smak wyszedł. Ale wszystko jedno nie podobały mi się. Wolę kiszone ogórki, a nawet cebulę. Ale nic: pod wódkę to nawet i banany pójdą. Tylko to było najgorsze, że kapitan Jegorow, nieco za wcześnie, chorować zaczął. Sinicyn do pianina go poprowadził, przykrywkę u góry instrumentu otworzył — kolejny fragment książki SERGIUSZA PIASECKIEGO pt. „Zapiski oficera Armii Czerwonej".

Jest zwolennikiem małych, ale pewnych kroków do przodu.

Rok na przetrwanie

Rozmowa z WALDEMAREM BOHDANOWICZEM — prezydentem miasta Łodzi.

— Na sesji Rady Narodowej m. Łodzi 6 listopada 1989 roku, w momencie, gdy ogłoszono wyniki wyborów na prezydenta, ukrył pan nagle twarz w dłoniach, trwając tak przez dłuższą chwilę. Co pan wtedy czuł?

— Szczerze mówiąc, byłem na tej sesji o wiele mniej pewny, że wygram, niż za pierwszym „podejściem". Ale wcale nie dlatego czułem ogromne psychiczne obciążenie. Rozumiałem, że to najtrudniejsze, co mnie czeka, dopiero się zacznie. A i tak — oceniając z obecnej perspektywy — tylko w połowie byłem w stanie przewidzieć trudności. Gdybym wtedy dokonał kalkulacji wyłącznie osobistej, nigdy bym się na kandydowanie nie zdecydował. Chociażby z powodu mojej wysokiej pozycji w poprzednich firmach, i — nie ukrywam — znacznie wyższych dochodów. Co więc zdecydowało? Zastanawiałem się długo, czy reprezentuję wartości, które mogą być przydatne miastu. Doszedłem do wniosku, że tak.

— Obejmując urząd prezydenta, był pan człowiekiem dość osamotnionym. Poparcie, jakie zostało panu udzielone, obejmowało jedynie część środowisk politycznych Łodzi. Oczywiście, zawsze można powiedzieć, że miał pan za sobą poparcie radnych, skoro dokonali określonego wyboru. Któż jednak wie, ile było w tym zaufania, a ile politycznej kalkulacji? Zmierzam do tego, że człowiek osamotniony, postawiony nagle w obcym sobie środowisku, zaczyna szukać poparcia. Czyjego poparcia pan szukał, z jakich środowisk politycznych go oczekiwał?

— Byłem i jestem przekonany, że dobór polityczny nie jest najważniejszy. Znacznie ważniejszy jest dobór ludzi kompetentnych, o wyraźnych zasadach moralnych, kierujących się dobrem społecznym „Solidarność" Rolników Indywidualnych nie poparła mnie z powodów politycznych, lecz po prostu dlatego, że byłem tam znany z doradztwa ekonomicznego. Zdawałem sobie też sprawę, że chociaż drugi kandydat wysunięty został z grona ówczesnej RKO, mogę liczyć na poparcie części tego środowiska, bośmy się wcześniej znali. Szczerze mówiąc, nie obawiałem się jakiejś akcji przeciwko mojej osobie. Nie zawiodłem się — takiej akcji nie było. Ja z kolei nie umizgiwałem się do nikogo. Byłem zawsze „notorycznym bezpartyjnym", i tak już zostało. Zależy mi bardziej na poparciu osobowości niż partii.

— A jednak, poparcie polityczne wydaje się niezbędne dla przeforsowania określonych decyzji. Czyżby nie usiłował pan sobie budować tzw. zaplecza politycznego?

— Muszę przyznać, że przy całej swojej przeszłości nie miałem doświadczenia politycznego. Nie zaliczam się do osób, które wciągają gry polityczne. Mnie to nie fascynuje. Nie potrzebuję polityki do podpierania się. Natomiast nie ukrywam, że bliskie są mi założenia ideowe Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, z racji m.in. poglądu na rolę społecznej nauki Kościoła w życiu.

— Interesuje się pan jednak życiem politycznym Łodzi: prasa informuje często o spotkaniach prezydenta z kierownictwami ugrupowań, wchodzących na polityczną scenę. A może czyni pan to wyłącznie z obowiązku?

— To, co wcześniej powiedziałem nie oznacza, że ignoruję siły polityczne. Ich działania są ważne, bo ujawniają pewne energie społeczne. Nie chciałbym jednak, aby te spotkania kojarzone były przez społeczeństwo z jakąś hierarchią ważności tych partii. Spotykam się po prostu z ugrupowaniami, które zgłaszają chęć rozmowy ze mną. Nie pytam, ile skupiają one członków. Bardziej interesują mnie ich założenia programowe. Muszę też podkreślić, iż żadnych obietnic — oprócz przyznania lokali — nigdy im nie składałem.

— I żadnych preferencji też nie będzie?

— Ani obietnic, ani preferencji. To jest trudna sytuacja, bo byliśmy przyzwyczajeni, że jeśli się jest na tzw. stanowisku, to zawsze trzeba coś obiecywać. Inaczej po prostu nie wypadało.

— Świadomie spytałem o preferencje, gdyż kursuje opinia, że popiera pan głównie Łódzkie Porozumienie Obywatelskie...

— Jest odwrotnie: to ja odczuwam poparcie ŁPO!

— ...a daleki jest pan od popierania Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego. Jak jest naprawdę?

— Uczestniczyłem w spotkaniu z przedstawicielami WKO. Zapoznano mnie z jego planami, podkreślając nadrzędność nurtu obywatelskiego wobec partyjnego. Wysłuchałem także opinii pana Marka Edelmana na temat mojego dotychczasowego postępowania. Była ona krytyczna. Główny zarzut: zawiodłem oczekiwania społeczne na jakieś spektakularne posunięcie.

— Nie zgadza się pan z tym zarzutem?

— Staram się postępować bardzo rozważnie. Wiem, że objąłem prezydenturę w najtrudniejszym okresie historii miasta. Mamy przed sobą ogromne zadania: dokończenie reformy gospodarczej, przemiany własnościowe, wybory do samorządu, rozdzielenie funkcji prezydenta i wojewody, samorządu i administracji — są to kwestie, na których koncentruję swą uwagę. Zależy mi, aby wejście w te nowe obszary odbyło się możliwie płynnie, bez wstrząsów społecznych. Nie uważam, aby teraz potrzebne były spektakularne gesty. Nie w tym rzecz. Jestem zwolennikiem małych, ale pewnych kroków do przodu. Taka polityka zapewnia mi poparcie społeczne, na ile mogę sądzić z listów, które otrzymuje.

— A pański stosunek do WKO?

— Nie jestem nastawiony negatywnie. Byłoby to sprzeczne z moimi zasadami. Współpracuję ze środowiskiem WKO w konkretnych sprawach (m.in. jestem po rozmowach dotyczących Szkoły Menedżerów i Szkoły Samorządów Terytorialnych). Staram się bowiem — i myślę, że mi się to udaje — ustawić swe poczynania na szerszej płaszczyźnie. Ciągle wydaje mi się, że najważniejszym wspólnym celem jest ratowanie miasta. Natomiast z rozmowy z prezydium WKO wyciągnąłem ważne wnioski.

— To miasto ratować będzie z pewnością nowa, samorządna władza wyłoniona w wyborach, najprawdopodobniej w maju lub czerwcu. Tymczasem jednak nie ma zgody co do listy wyborczej...

— W zbliżających się wyborach najsilniejsza będzie strona obywatelska. Stanie się tak pomimo, że ludzie są zmęczeni, nie chcą się angażować w sprawy publiczne. Z punktu widzenia potrzeb miasta, najkorzystniejszy byłby wspólny front obywatelski, czyli wspólna lista wyborcza kandydatów ŁPO i WKO. Śledząc jednak wypowiedzi przedstawicieli obu ugrupowań nabieram coraz więcej wątpliwości, czy taka wspólna lista powstanie. Staram się w te polemiki nie angażować emocjonalnie, bo to zaciera obraz. Odnoszę wszakże wrażenie, że ŁPO reprezentuje szerszy zakres środowisk. Zresztą, WKO wyraźnie — ustami p. Iwony Śledzińskiej — określiło się, że stanowi grupę obywateli nie reprezentujących partii. A ŁPO skupia dziś ponad 40 różnych ugrupowań. Wydaje mi się bezsporne, że jest to szersza reprezentacja społeczeństwa.

Myśląc o wyborach, nie traktuję jednak tych polemik pierwszoplanowo. Ponad 100 dni mojego urzędowania dało mi bogate doświadczenie współpracy z Radą Narodową — doświadczenie, które rozbudziło głębsze zainteresowanie strukturą samorządu i administracji, ich wzajemnymi relacjami itp. W tym kontekście rysuje się jasno zadanie najważniejsze: wytypowanie do rady ludzi naprawdę kompetentnych, odpowiedzialnych i uczciwych. Jest to zadanie dla sił politycznych, które muszą się z tego obowiązku wywiązać. Urząd Miasta przygotował „Białą księgę" o problemach Łodzi dla kandydatów na radnych oraz komentarz samorządowy do przygotowywanej ustawy — słowem: zrobimy wszystko, aby kandydaci mieli dobre wsparcie merytoryczne.

— Duże zainteresowanie wywołują decyzje personalne prezydenta. Społeczeństwo widzi w nich nadzieję na zmianę dotychczasowej nomenklatury.

— Nie zawsze są to moje decyzje. W przypadku nominacji na dyrektora CZMP, decyzję podjęła niezależna komisja, bez mojego udziału i wpływu. Po rozmowie z prof. Tomaszem Pertyńskim mogę z satysfakcją powiedzieć, że jest to również mój kandydat. W przypadku nominacji na dyrektorów łódzkiej telewizji i radia uwzględniono natomiast moją wyraźną opinię. Obie te decyzje personalne uważam za wielce właściwe.

— Z komentarzami spotkała się kandydatura Grzegorza Palki na stanowisko wiceprezydenta. Niektórzy zarzucają prezydentowi, że forsuje „swoich" ludzi, tzn. bliskich mu ideowo i personalnie, niekoniecznie zaś kompetentnych.

— Znam Grzegorza Palkę od 1980 roku. Przyglądałem się jego działalności w Zarządzie Regionu, a potem — w stanie wojennym — współpracowaliśmy w ramach ośrodka pomocy przy kościele Ojców Jezuitów. Podkreślam też, że jako członek Komisji Krajowej „Solidarności" odpowiedzialny był za sprawy gospodarcze. Obserwowałem go również w ostatnim czasie, gdy nawiązał ścisły kontakt z Wojewódzką Komisją Planowania. Uznałem więc, że jak najbardziej jest kompetentny. Przynależność Grzegorza Palki do ZChN nie miała w tym przypadku znaczenia.

— A jakie były powody odwołania dwóch dotychczasowych wiceprezydentów?

— Muszę się tutaj cofnąć do początków swego urzędowania. Jak pan słusznie zauważył, „startowałem" w zupełnie obcym środowisku. Bezwzględnie to odczułem. W firmach, w których wcześniej pracowałem, miałem (w zakresie swoich kompetencji) całkowicie wolną inicjatywę. Tutaj zaś zetknąłem się przede wszystkim z gąszczem przepisów oraz — co gorsza — z tradycją zasłaniania się przepisami. Pierwsze, co mnie w Urzędzie uderzyło, to brak właściwego stosunku do petenta, wynikający z poczucia służebnej roli urzędnika. Setki listów od obywateli utwierdziły mnie w przekonaniu, że nie znajdują oni w Urzędzie wspólnego języka z moimi podwładnymi. Składano przy okazji deklaracje, że jestem nieomal jedyną osobą, z którą można się normalnie porozumieć. Na dłuższą metę taki stan rzeczy był w ogóle nie do przyjęcia. Stąd też mój pierwotny zamysł dania wszystkim jednakowej szansy na wykazanie się umiejętnościami musiał zostać zweryfikowany. Zobaczyłem, że nie wszyscy są w stanie skorzystać z tej szansy. Wtedy dopiero podjąłem decyzję — wniosek o postawienie się wiceprezydentów do mojej dyspozycji. Uznałem, że należy zmniejszyć ich liczbę. Czterech — to było za dużo. Dwóch — za mało. Zostanie więc trzech.

— Dlaczego jednak odwołano akurat tych, a nie innych?

— Jeśli chodzi o wiceprezydenta Lecha Krowirandę, którego umiejętności wysoko sobie cenię, to on wybierał się po prostu na emeryturę, przez co ułatwił mi decyzję. Co do wiceprezydenta Stanisława Załobnego: tak się złożyło, że nie był on zadowolony z dotychczasowego zakresu obowiązków. Zajmował się gospodarką komunalną, która nie leżała mu — jak sam mi powiedział — najbardziej na sercu... Dowiedziałem się o tym w ostatnim okresie naszej współpracy. Jest oczywiste, że nie mogę ponosić odpowiedzialności za decyzje co do podziału kompetencji, podjęte przez poprzednią ekipę.

— Czy odwołanie dwóch wiceprezydentów zmieni stosunek urzędników do petentów? Proszę wybaczyć, ale wątpię...

— Myślę, że nowy wiceprezydent dobierze sobie współpracowników. Byle czynił to rozważnie. W tych sprawach jestem naprawdę ostrożny: zanim podejmę decyzję, dobrze ją przemyślę. Dowodzi tego długi okres od początków mojego urzędowania do pierwszych poważnych zmian personalnych w Urzędzie.

— Przejdźmy do spraw gospodarczych. Jakie zmiany na lepsze obserwuje pan w Łodzi?

— Po pierwsze — stabilizację kursu dolara i obniżenie oprocentowania kredytów. Po drugie — zapełnione półki w sklepach, chociaż zdaję sobie sprawę, że wynika to ze spadku płac realnych. Jest to jednak wyraźny wstęp do rynku konsumenta. Po trzecie — niewielkie, ale jednak, obniżki cen. Są one nadal wysokie, lecz na szczęście zakończył się etap dowolnego ich kalkulowania. Nie muszę już — jak poprzednio — usilnie nalegać na prezesów „Społem", aby zechcieli np. obniżyć marżę na pieczywo. Zapamiętałem to, bo wyraźnie obserwowałem wtedy niechęć do wyjścia naprzeciw problemom społecznym. Dobrze więc, że następuje (choć powoli) demonopolizacja.

— Te zmiany zauważalne są w całym kraju, nie tylko w Łodzi. Co takiego nastąpiło w Łodzi, co mogłoby natchnąć czytelników otuchą? Czy mamy na koncie jakieś wyraźne sukcesy?

— O sukcesach trudno jeszcze mówić, w ciągu tych kilku miesięcy. Naprawdę nie mogę odpowiedzialnie powiedzieć, że był jakiś sukces. Zaprzeczają temu fakty: na przykład wzrastające bezrobocie. Mamy zarejestrowanych około 7 tysięcy ludzi bez pracy. Dzięki współpracy z Zarządem Regionu udało się znaleźć miejsca dla wielu (łącznie ponad 5 tysięcy), ale pomoc jest utrudniona, ponieważ zakłady — zgodnie z nowymi przepisami — nie muszą nas informować o wolnych stanowiskach i etatach. Magazyny przedsiębiorstw nadal są wypełnione nie sprzedanym towarem. Wytwórcy mają duże kłopoty ze ściągnięciem zaległości płatniczych z handlu — wzrosły one nawet ostatnio o 40 procent! Ratują się zamykaniem wydziałów; tylko te zakłady, dla których prezydent jest organem założycielskim, posłały na urlopy ponad 2300 pracowników. To samo dzieje się w większych przedsiębiorstwach. Ostatni z raportów, sporządzanych co tydzień do URM informuje, że w przemyśle wełnianym w Łodzi wysłano na przymusowy wypoczynek 1000 osób, a w przemyśle bawełnianym — dwa razy więcej.

— Czy jest to zjawisko przejściowe, czy początek trwałej zapaści?

— Jest to dla mnie stan przejściowy. Dała o sobie znać bariera popytu, sygnalizowana dyrektorom przedsiębiorstw już w listopadzie. Zakłady tymczasem gromadziły zapasy, licząc na znaczne podwyżki cen. W tym punkcie się nie przeliczyły, zlekceważyły natomiast spadek siły nabywczej ludności. Wydaje się, że bariera popytu stała się dla wielu dyrektorów barierą mentalności, trudną do pokonania. Ceny muszą być obniżane! Myślę, że ten proces dopiero się rozpoczyna. Będzie mu sprzyjać potanienie kredytów.

— A jeśli trudności nie okażą się przejściowe, jeśli dojdzie do licznych bankructw?

— Bankructwa są nieuniknione. Sądzę jednak, iż nie zagrażają dużym zakładom Łodzi. Mogą dotknąć rzemiosło i niewielkie przedsiębiorstwa, które już obecnie są czasowo zamykane. Dochodzą mnie także informacje o pogorszeniu się kondycji firm polonijnych, które mają trudności ze zdobyciem złotówek. Niektóre z nich zgłosiły nam konieczność zamknięcia wydziałów.

— A co z sytuacją przemysłu lekkiego jako całości? Nie tak odległe to czasy, gdy trąbiono o korzystnych dla Łodzi ustaleniach KERM-u...

— Wystąpiliśmy do obecnego KERM-u z prośbą o ustosunkowanie się do tych ustaleń, podjętych za poprzedniej ekipy rządowej. Odpowiedź, jaka ostatnio nadeszła, nie jest optymistyczna. Zakłady, które chcą się modernizować, mogą liczyć na kredyty, fundusze własne i współpracę z zagranicą, w formie joint-venture. Na pieniądze z budżetu centralnego nie ma co liczyć.

— Mówiąc wprost, decyzje poprzedniego KERM-u są dziś nieaktualne?

— Zgadza się.

— Łodzian interesuje zapewne, jak wyglądają perspektywy zakończenia kilku ważnych dla miasta inwestycji, takich jak Grupowa Oczyszczalnia Ścieków, Centrum Kliniczno-Dydaktyczne Akademii Medycznej czy też nowe wysypisko śmieci?

— Pieniądze z „centrum", przeznaczone na GOŚ i CKD w budżecie, są absolutnie niewystarczające dla zadowalającego postępu robót. W sprawie CKD uzyskaliśmy obietnicę 28 mld zł z Ministerstwa Zdrowia. Mamy nadzieję, że uzyskamy więcej. Staramy się nie tylko walczyć o pieniądze w Warszawie, bo jest to obecnie wyjątkowo trudne, ale szukamy innych rozwiązań. Szansą dla GOŚ jest współpraca z zagranicą. Liczymy, że uda się wprowadzić tę inwestycję na tzw. listę europejską (dowiedzieliśmy się o niej nieoficjalnie), która zapewniłaby GOŚ gwarancje rządów Wspólnoty Europejskiej. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się także o 3-miliardowym funduszu z Francji, przeznaczonym na ochronę środowiska w Polsce. Potrzebujemy z tego funduszu około 400 mln franków. Co do wysypiska: mieszkańcy Pałczewa nadal odrzucają tę lokalizację. Miasto gotowe jest negocjować każde warunki. Pomimo impasu jestem dobrej myśli, oczekuję jakiegoś kompromisu. Lepsze wieści dotyczą Dworca Kaliskiego. Możliwe jest zakończenie tej budowy o 3 miesiące wcześniej — na Boże Narodzenie 1991 roku. Przyspieszy się także inwestycje drogowe na Retkini. Potrzebne są jednak pieniądze, dużo pieniędzy...

— Skąd je brać, skoro połowę swoich dochodów Łódź odprowadza do budżetu centralnego?

— To nie jedyny problem. W planie budżetu miasta założono wysokie dochody. Nie ma teraz pewności, czy będziemy je w stanie uzyskać. Obecnie z województwa łódzkiego odprowadzamy w ciągu miesiąca około jednej piątej przewidywanych wcześniej dochodów! Przyczyna: mniejsze wpływy z podatków, bo obniżyła się produkcja rzemiosła.

— Nie ma pan optymistycznych wiadomości.

— Cały czas podkreślam, że jest to dla miasta rok na przetrwanie. Zmiany na lepsze nadejdą wraz z ożywieniem gospodarczym w całym kraju. Nie mamy raczej szans na wyprzedzenie tego procesu w Łodzi.

— Na zakończenie dwa pytania bardziej osobiste. Pierwsze — czy będzie pan kandydować i na jakie stanowisko: wojewody czy prezydenta?

— Przede wszystkim zamierzam kandydować do rady — na funkcję radnego. Co do moich dalszych zamierzeń, sprawa jest skomplikowana. Obecne stanowisko prezydenta miasta skupia w sobie dwie przyszłe, rozdzielne funkcje: samorządową prezydenta oraz wojewody, czyli przedstawiciela administracji, mianowanego przez premiera. Nie wiem jeszcze, co postanowię. Powiem więc tak: nigdy nie zamierzałem zostać tymczasowym prezydentem. Nie lubię czegoś zaczynać, nie kończąc.

Foto: Grzegorz Gałasiński

— I ostatnie pytanie: jak wygląda pański dzień pracy?

— Przez pierwsze 3 miesiące zaczynał się o 8, a kończył około 22. W domu także pracowałem: na początku do godziny drugiej, a potem odwrotnie — kładłem się wcześniej, a wstawałem w połowie nocy, żeby należycie przygotować się do pracy. Spałem w tym okresie po 4 godziny na dobę. Dopiero w ubiegłą niedzielę mogłem sobie pozwolić na pójście na pływalnię i pracę w ogródku. Na lekturę książek nadal nie starcza mi czasu...

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Kariera i śmierć Nikołaja Jeżowa

ze str. 1

Stalin był bezwzględny.

— *Za późno na łzy* — powiedział. — *O czym myśleliście, kiedy przystępowaliście do walki z KC?* .

Pod KC rozumiał siebie. Pod koniec rozmowy złagodniał. Powiedział, że proces będzie skierowany nie przeciwko nim, a przeciwko Lwowi Trockiemu. Wtedy Kamieniew wyraził zgodę na stawienie się z Zinowiewem przed sądem publicznym i złożenie obciążających Trockiego zeznań w zamian za obietnicę, że nie zostanie rozstrzelany nikt spośród oskarżonych wraz z nimi starych bolszewików, a ich rodziny nie będą represjonowane.

Stalin swoich obietnic nie dotrzymał. Do momentu procesu Grigorija Zinowiewa i Lwa Kamieniewa traktowano jednak grzecznie i uprzejmie. Więzienie przekształciło się w sanatorium.

W sierpniu 1936 roku odbył się proces, w czasie którego Zinowiew miał powiedzieć, iż czuje się jak bohater fantastycznych powieści Juliusza Verne, w których niby wszystko jest realne, ale zarazem nieprawdopodobne, albo wręcz jak uczestnik bajki z 1001 nocy.

Formalnie szefem NKWD był jeszcze Henryk Jagoda, ale proces Zinowiewa i Kamieniewa faktycznie przygotował Nikołaj Jeżow. 25 września 1936 roku Stalin i Andriej Żdanow (członek ścisłego kierownictwa, ideolog partii) wysłali z Soczi depeszę, adresowaną do Łazara Kaganowicza, Wiaczesława Mołotowa i innych członków Biura Politycznego. Jej treść brzmiała:

„Uważamy za absolutnie konieczne i pilne mianowanie tow. Jeżowa na stanowisko komisarza ludowego spraw wewnętrznych. H. Jagoda wyraźnie nie stanął na wysokości zadania w sprawie zdemaskowania bloku trockistowsko-zinowiewowskiego. OGPU opóźnił się w tej sprawie o cztery lata".

Był to wyrok na Henryka Jagodę, który, zdaniem Stalina, za późno zaczął stosować masowe represje. Nikołaj Jeżow miał „nadrobić" zaniedbania, zatrzeć ślady nieudolnie przeprowadzonych przez Jagodę akcji. Postanowiono też obarczyć Jagodę odpowiedzialnością za zbrodnie, których inspiratorem był Stalin.

Skąd się wziął Nikołaj Jeżow w NKWD?

Nikołaj Jeżow wypłynął na szeroką widownię polityczną na XVII zjeździe WKP(b). Został wówczas członkiem Komitetu Centralnego oraz zastępcą Łazara Kaganowicza w Komisji Kontroli Partyjnej. Był też związany z osobistym sekretariatem Stalina poprzez tajny „wydział specjalny", który miał się zająć sprawami bezpieczeństwa państwowego znajdującymi się w sferze zainteresowań partii. Krótko mówiąc, wyznaczano mu jedną z głównych ról w wykryciu i fizycznym zniszczeniu opozycji, jaka ujawniła się przeciwko Stalinowi w czasie tajnego głosowania na XVII Zjeździe, kiedy to Siergiej Kirow okazał się najpopularniejszym człowiekiem w partii. Przeciw Stalinowi głosowało 270 delegatów zjazdu, przeciwko Kirowowi — 3 osoby.

Przed XVII zjazdem Jeżow był szefem Biura Organizacyjnego partii. Do centralnego aparatu przyszedł w 1927 roku. Przedtem był funkcjonariuszem partii w Kazachstanie. Polecił go Stalinowi któryś z jego sekretarzy — Mechlis, Poskrebyszew albo Towstucha. W 1930 roku kierował działem kadr KC. Ci, którzy go znali osobiście, mówią, iż był to cichy, uprzejmy człowiek o fiołkowych oczach, który chętnie śpiewał rzewne romanse. Takim kreśli go w „Dzieciach Arbatu" Anatolij Rybakow. Jako nieznany jeszcze nikomu pracownik KC Nikołaj Jeżow śpiewa przyjemnym głosem:

„Czemu kocham, o nocy, twoje srebrne lśnienie.
Wszak to nie mnie, to innym zsyłasz ukojenie".

Wielbiciel muzyki Piotra Czajkowskiego przechodzi szybką metamorfozę. Po śmierci Kirowa zajmuje jego miejsce w Komitecie Centralnym. Pierwszą wielką sądową rozprawę z opozycją Stalin przygotowuje razem z nim. W kwietniu 1935 roku do Kodeksu Karnego została wprowadzona poprawka rozszerzająca wszystkie sankcje, z karą śmierci włącznie, na dzieci od lat dwunastu. Dzieci miały odtąd odpowiadać karnie za niezłożenie donosu na swych rodziców. Gloryfikuje się postać pioniera Pawlika Morozowa, który zdemaskował ojca — wroga władzy radzieckiej. Zaczyna się tropienie spisków, szantaż w śledztwie, wymuszanie zeznań.

Nikita Chruszczow powie później na XX zjeździe KPZR, że zwyrodniałe praktyki Jeżowa były możliwe jedynie za wiedzą Stalina. Nikołaj Jeżow nie mógł sam decydować o losach wybitnych działaczy partii. To Józef Stalin udzielał mu wskazówek i poleceń. W niecały tydzień po zakończeniu procesu Zinowiewa i Kamieniewa Jeżow wybrał pięć tysięcy co aktywniejszych byłych członków opozycji, przetrzymywanych w łagrach, „izolatorach" bądź na zesłaniu i nakazał ich zgładzić w tajemnicy. Odtąd rozpoczęła się praktyka masowych egzekucji byłych członków partii, którym przypisywano przynależność do różnych urojonych organizacji.

Za początek „wielkiej czystki", która miała przez najbliższe dwa lata terroryzować mieszkańców ZSRR, uważa się dzień 27 września 1936 roku, kiedy to gazety moskiewskie przyniosły komunikat o zwolnieniu Aleksieja Rykowa z obowiązków komisarza łączności. Jego stanowisko przejmował dotychczasowy szef NKWD — Henryk Jagoda, kierowanie Ludowym Komisariatem Spraw Wewnętrznych przechodziło w ręce Nikołaja Jeżowa.

„Zlikwidować 10.000 wrogów ludu. Zameldować o wykonaniu" — depeszował Nikołaj Jeżow do prowincjonalnych szefów NKWD. Po kilku dniach nadchodziły listy rozstrzelanych.

Jedną z pierwszych wielkich spraw, jakie Józef Stalin powierzył Nikołajowi Jeżowowi jako ludowemu komisarzowi spraw wewnętrznych, było przygotowanie procesu „lewej opozycji", do której zaliczył starych bolszewików: Jurija Piatakowa, Grigorija Sokolnikowa, Leonida Sieriebriakowa i Karola Radka. Najważniejszą postacią wśród nich był Jurij Piatakow, jeden z sześciu członków kierownictwa partii, wymienionych w testamencie Lenina jako kandydatów na jego następców. Jurij Piatakow przez krótki czas po śmierci Lenina wspierał Lwa Trockiego. Później służył lojalnie Stalinowi jako wicekomisarz przemysłu ciężkiego.

Grigorij Sokolnikow, członek pierwszego Politbiura w 1917 roku, pełnił różne funkcje państwowe, w tym komisarza przemysłu naftowego, wicekomisarza spraw zagranicznych, ambasadora w Wielkiej Brytanii. Leonid Sieriebriakow był jednym z sekretarzy KC zanim Stalin został sekretarzem generalnym. Karol Radek, redaktor „Izwiestii", też popierał swego czasu Lwa Trockiego. Miał jednak przed aresztowaniem stałą przepustkę na Kreml, bywał często w biurze Stalina i w jego daczy w Zubałowie.

Taśmociąg śmierci.

Stosując inkwizytorskie metody Nikołaj Jeżow wykorzystał przeciwko Piatakowowi jego żonę oraz sekretarza Nikołaja Moskalowa. NKWD „zaopiekowało" się ich dziećmi. Podpisali wówczas wymuszone zeznania. Jurij Piatakow miał się rzekomo spotkać z Lwem Trockim w czasie jednej z zagranicznych podróży. Zarzucono mu, że przybył do niego do Oslo po instrukcje dla „lewej opozycji". Później okazało się, że nigdy w Norwegii nie był.

Leonid Sokolnikow skapitulował przed oficerami śledczymi Nikołaja Jeżowa w obawie o los młodej żony i syna. Karola Radka przesłuchiwał naczelnik Tajnego Zarządu Politycznego Mołczanow, który doprowadził go do furii.

— *Podpiszę wszystko, co tylko zechcecie! Zaraz! Przyznam się, że chciałem zgładzić wszystkich członków Biura Politycznego i zamiast Stalina miałem zamiar osadzić na Kremlu Hitlera! Dodam tylko, że moim wspólnikiem był Mołczanow! Proszę o papier i pióro!*

Mołczanow przeraził się nie na żarty. Umożliwił mu spotkanie z Nikołajem Jeżowem. W kilka dni później w gmachu NKWD zjawił się Józef Stalin i w obecności Jeżowa odbył dłuższą rozmowę z Radkiem. Karol Radek sam naszkicował protokół swego oskarżenia. Zaczął odgrywać rolę błazna. Stał się „konsultantem Jeżowa w zmyśleniu legendy o spisku, którego nie było. Nagrodą dla niego był wyrok ogłoszony 20 stycznia 1937 roku: dziesięć lat więzienia. Pozostali oskarżeni skazani zostali na najwyższy wymiar kary.

Taśmociąg śmierci został naoliwiony decyzjami lutowo-marcowego posiedzenia plenarnego KC WKP(b) w 1937 roku. Józef Stalin wygłosił na nim referat „O brakach w pracy partyjnej i środkach likwidacji trockistowskich i innych dwulicowców", który zawierał próbę teoretycznego uzasadnienia polityki masowych represji pod pretekstem zaostrzania się walki klasowej w miarę kolejnych sukcesów socjalizmu. Drugim referentem był Nikołaj Jeżow, który omówił „Nauki wypływające ze szkodnictwa, dywersji i szpiegostwa agentów japońsko-niemiecko-trockistowskich".

Później Nikita Chruszczow powie na XX Zjeździe partii, że w warunkach zwycięstwa socjalizmu nie było podstaw do masowego terroru w kraju. Wszak w szczytowym momencie politycznej walki Stalina z Trockim, w 1927 roku, na opozycję trockistowsko-zinowiewowską głosowało zaledwie 4000 osób w skali całego ZSRR, podczas gdy za linią KC, reprezentowaną przez Stalina, opowiedziało się 724.000 członków partii. Nikołaj Jeżow i jego ludzie, namaszczeni przez Stalina, postawili w 1937 roku w stan oskarżenia o przestępstwa kontrrewolucyjne dziesięć razy więcej działaczy partyjnych i państwowych oraz zwykłych obywateli radzieckich niż w 1936 roku, kiedy to doścignął swego apogeum terroru Henryk Jagoda.

Trzeci z wielkich moskiewskich publicznych procesów politycznych miał miejsce w marcu 1938 roku. Jego głównym oskarżonym był Nikołaj Bucharin, były przewodniczący Kominternu, członek Biura Politycznego partii za czasów Lenina, wybitny teoretyk, twórca NEP-u, jeden z ostatnich największych rywali Stalina. Drugim pod względem rangi wezwanym przed stalinowski sąd był Aleksiej Rykow, także członek Biura Politycznego za czasów Lenina, zastępca Lenina w Radzie Komisarzy Ludowych i szef rządu radzieckiego po jego śmierci.

Z Aleksiejem Rykowem wiąże się interesujące wspomnienie Nikity Chruszczowa. Jako młody komunista brał on udział w XV zjeździe partii (1927), w czasie którego Stalin, Bucharin i Rykow wystąpili razem przeciwko Trockiemu. Jedna z delegacji przywiozła do Moskwy stalową miotłę i wręczyła przewodniczącemu obrad, którym był właśnie Aleksiej Rykow.

— *Przekazuję tę miotłę w ręce towarzysza Stalina* — powiedział Rykow. — *Niech wymiecie nią wszystkich naszych wrogów.*

Teraz przyszła jego własna kolej. Nadeszła też kolej Henryka Jagody, który za dużo wiedział, a jednocześnie był dla Stalina za głupi. Przypisano go więc do kuriozalnej sprawy „lekarzy-morderców", oskarżając o współudział w próbie ... zabicia Nikołaja Jeżowa przez spryskanie trującym płynem ścian gabinetu nowego szefa NKWD.

Enkawudziści pod ścianę!

Po aresztowaniu Henryka Jagody czystka, którą przeprowadził Nikołaj Jeżow w organach NKWD, była równie bezwzględna jak w administracji państwowej, aparacie partyjnym i wojsku. Aleksander Orłow ocenia, że w 1937 roku stracono 3000 funkcjonariuszy. Byli wśród nich najbliżsi współpracownicy Jagody — Agranow, Mołczanow, Mirow, szef ochrony Kremla Pauker i wielu niższej rangi zbirów, splamionych zbrodniami. Przy okazji Jeżow pozbył się pracowników aparatu bezpieczeństwa, którzy przeciwstawiali się polityce masowego terroru bądź nie chcieli uczestniczyć w jej realizacji.

Szwagier Stalina, polski komunista Stanisław Redens, miał wejść do gabinetu Nikołaja Jeżowa i napluć mu w twarz, za co ten zastrzelił go na miejscu. Stanisław Redens pracował w organach WCzK w Moskwie, Odessie i na Krymie od 1918 roku. W 1929 roku był przewodniczącym GPU Gruzji, w 1932 — członkiem ścisłego kierownictwa GPU Ukrainy, w 1938 — ludowym komisarzem spraw wewnętrznych Kazachstanu. Miał tytuł komisarza bezpieczeństwa państwowego pierwszej klasy. Kiedy Stalin likwidował rodzinę swojej pierwszej i drugiej żony, Redens padł ofiarą prowokacji. Zrehabilitowano go pośmiertnie w 1961 roku.

Mało kto wie, że w latach 1929—31 zastępcą przewodniczącego GPU ZSRR był inny Polak, Stanisław Messing. W tym samym czasie pozostawał członkiem Centralnej Komisji Kontroli WKP(b) i członkiem Centralnego Komitetu Wykonawczego ZSRR — naczelnego organu władzy państwowej między zjazdami rad. Ściągnął go prawdopodobnie do organów bezpieczeństwa następca Feliksa Dzierżyńskiego, również Polak Wiaczesław (Wiesław) Mienżyński. Niewiele wiadomo o jego działalności. Pierwsze skrzypce w GPU grał wtedy Henryk Jagoda. Stanisław Messing został aresztowany w lipcu 1937 roku. Nieznane są okoliczności jego śmierci. Z pamiętników sekretarza Stalina, Borysa Bażanowa wynika, iż w 1930 roku kierował Wydziałem Zagranicznym GPU, a zatem stał na czele radzieckiego wywiadu.

Stanisław Messing pochodził z Warszawy. Posługiwał się pseudonimem „Kain". Był więźniem Cytadeli Warszawskiej. Po Rewolucji Październikowej organizował Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Moskwie. Był przewodniczącym CzK w Moskwie (1920—22) i Leningradzie (1922—29). Uczestniczył w XV, XVI i XVII — pamiętnym — Zjeździe WKP(b). Spośród 139 członków i kandydatów na członków Komitetu Centralnego partii, wybranych na tym zjeździe, zostało aresztowanych i rozstrzelanych (głównie w latach 1937—38, a więc gdy na czele NKWD stał Nikołaj Jeżow) 98 osób, to znaczy 70 procent. Spośród 1966 delegatów na Zjazd z głosem decydującym i doradczym aresztowano za czasów Nikołaja Jeżowa 1108 osób. W latach wielkiego terroru Jeżow stał się jedną z najważniejszych osób w państwie. Wymieniano go obok sekretarza generalnego wraz z Łazarem Kaganowiczem, Wiaczesławem Mołotowem, Anastasem Mikojanem, Andriejem Żdanowem.

Jesienią 1937 roku nastąpiło apogeum terroru Nikołaja Jeżowa. Jak pisze Andrzej Rosiński w pierwszym tomie książki — „Stalin — demon zbrodni i zła" (Wyd. „Pingwin", Warszawa, 1989) — miał wówczas miejsce wyścig obłędu:

„Prokuratorzy republik sankcjonowali z dnia na dzień, z godziny na godzinę stosy nakazów aresztowania, nie czytając nawet nazwisk oskarżonych. Czekiści, wyzwoleni ze wszystkich hamulców rozumu, moralności i interesu narodowego, wynajdywali coraz fantastyczniejsze spiski. Im mniej czynów kontrrewolucyjnych mogli wynaleźć, tym więcej wykrywali kontrrewolucyjnych zamierzeń. Każda wieś miała już szereg grup terrorystycznych, czyhających niezależnie od siebie na życie dyktatora....".

Każdy pożar, każde wykolejenie pociągu, każda katastrofa budowlana były uważane za akt kontrrewolucyjnego terroru i dowód spisków sabotażowych. W książce „Wielka czystka", wydanej w Paryżu w 1967 roku, wybitny radziecki fizyk Aleksander Weissberg, który przeżył dwa i pół roku w śledztwie, pokazuje jak działały tryby maszyny zbrodni:

„Każdemu nowo aresztowanemu zadawano dwa kardynalne zapytania: Kto cię zwerbował? Kogo zwerbowałeś? Początkowo przeczył on wszelkiej winie, po kilku dniach załamywał się pod torturą i wskazywał 5 do 10 współwinnych. Najpóźniej w miesiąc po aresztowaniu „werbownika" przybywali ci „zwerbowani" do więzienia. Każdy z tych pięciu wskazywał pięciu nowych".

Niektórzy oskarżeni ogarnięci byli nadzieją, że im więcej wymienią *„zwerbowanych"*, tym szybciej maszyna zbrodni zabuksuje. Pewien lekarz w Charkowie, który miał nadzwyczajną pamięć, podał nazwiska niemal wszystkich lekarzy w tym mieście. Było ich kilkaset. Sędzia śledczy wpadł w furię. Nie mógł przecież ogołocić wielkiego miasta z całej służby medycznej.

Skierowanie na wieczny odpoczynek.

W latach 1934—35 jednym z wrogów Nikołaja Jeżowa był Łazar Kaganowicz. Jeżow stawał się bowiem za szybko faworytem Stalina, rugując Kaganowicza z niektórych pozycji w aparacie partyjnym. Złośliwi twierdzą, że Jeżowowi ułatwił karierę jego... niski wzrost. Był malutki, prawie karzełek, a Stalin nie lubił w swoim otoczeniu wyrośniętych.

Również z młodym Gieorgijem Malenkowem, który w tym czasie szybko awansował w aparacie KC, stosunki Nikołaja Jeżowa nie były przyjazne. Wspomina o tym radziecki historyk Roj Miedwiediew, zdaniem którego Stalina cieszyły takie konflikty. Zręcznie je nawet podsycał i podtrzymywał wzajemną wrogość między swymi najbliższymi współpracownikami. W 1937 roku Jeżow zadarł z Ławrientijem Berią, pupilem Stalina, kierującym organizacją partyjną Gruzji i Zakaukazia. Ławrientij Beria opublikował książkę o początkach ruchu socjalistycznego na Zakaukaziu, w której wychwalał epokowe zasługi Józefa Wissarionowicza w latach jego młodości.

Kiedy Jeżow zaczął zbierać materiały, kompromitujące Berię, który miał wiele mętnych epizodów w swym życiorysie, Malenkow pchnął do Tbilisi swojego człowieka i uprzedził Berię o możliwości aresztowania. Beria przybył natychmiast do Moskwy, gdzie rozmawiał ze Stalinem podobno przez 20 godzin.

Kiedy wyszedł, Stalin miał zawezwać Jeżowa. Powiedział krótko:

— *Jesteś zmęczony, musisz odpocząć.*

Było to skierowanie na wieczny odpoczynek.

Od połowy 1938 roku Komitet Centralny WKP(b) zasypywały petycje od rodzin ludzi aresztowanych niewinnie. W przemyśle, gdzie silnie przerzedzono kadry kierownicze, zaczął panować chaos. Robotnicy przychodzili do pracy z woreczkami sucharów na wypadek aresztowania w fabryce. W redakcjach gazet z drzwi zniknęły tabliczki z nazwiskami dziennikarzy. Wspomina o tym Ilia Erenburg, któremu dziewczyna-goniec wyjaśniła, że zanim powiesi się nowe, ludzie znikają bezpowrotnie, a więc nie opłaca się tego czynić.

W lipcu 1938 roku Ławrientij Beria otrzymał nominację na zastępcę Jeżowa. Znalazł w jego aktach zbiór oskarżeń pod adresem Łazara Kaganowicza, Andrieja Andriejewa, Anastasa Mikojana, Klimienta Woroszyłowa, Kalinina i własnym. Nikołaj Jeżow ominął jedynie Wiaczesława Mołotowa i Józefa Stalina. Mołotow stanął na czele specjalnej komisji, która potwierdziła, iż Nikołaj Jeżow szykuje obłędną prowokację już nie przeciwko ludziom Lenina, ale przeciwko ludziom swego patrona.

8 grudnia 1938 roku prasa radziecka opublikowała komunikat Prezydium Rady Najwyższej Związku Radzieckiego o uwzględnieniu prośby ludowego komisarza spraw wewnętrznych Nikołaja Iwanowicza Jeżowa w sprawie zwolnienia go z urzędu szefa NKWD. Nikołaj Jeżow przesunięty został na funkcję ludowego komisarza żeglugi śródlądowej. Władza nad NKWD przeszła w ręce Ławrientija Berii.

W obozach stalinowskich przyjęto z zachwytem koniec „jeżowszczyzny". Oglądano z ciekawością portrety Berii, który w swym pince-nez wyglądał na dobrotliwego szkolnego lub akademickiego nauczyciela.

— *Inteligent* — mówili więźniowie. — *Teraz przynajmniej przestaną bić.*

Stalin uczynił Jeżowa swym kozłem ofiarnym. Do znanego konstruktora lotniczego Aleksandra Jakowlewa powiedział:

— *To był łajdak. Zniszczył nasze najlepsze kadry. Przez niego zginęło wielu niewinnych ludzi.*

Dodał, że Jeżow zapijał się często.

— *Właśnie za to go rozstrzelaliśmy.*

Nikołaj Jeżow pełnił bardzo krótko nową funkcję. Wszystko wskazuje na to, że nie zdążył pokierować resortem żeglugi śródlądowej. Nie urządzono mu nawet pokazowego procesu. Nie wiadomo, gdzie i kiedy został rozstrzelany.

Jego rodziny nie represjonowano. Zięć Nikity Chruszczowa, Aleksiej Adżubej, potwierdził w rozmowie ze mną w zeszłym roku, że u jego matki, która była znaną moskiewską krawcową, ubierała się żona Henryka Jagody, którego zabił Nikołaj Jeżow, żona Nikołaja Jeżowa, którego zgładził Ławrientij Beria i żona Ławrientija Berii, którego karierę zakończył Nikita Chruszczow. Zadziwiająca jest historia ZSRR.

RYSZARD BADOWSKI

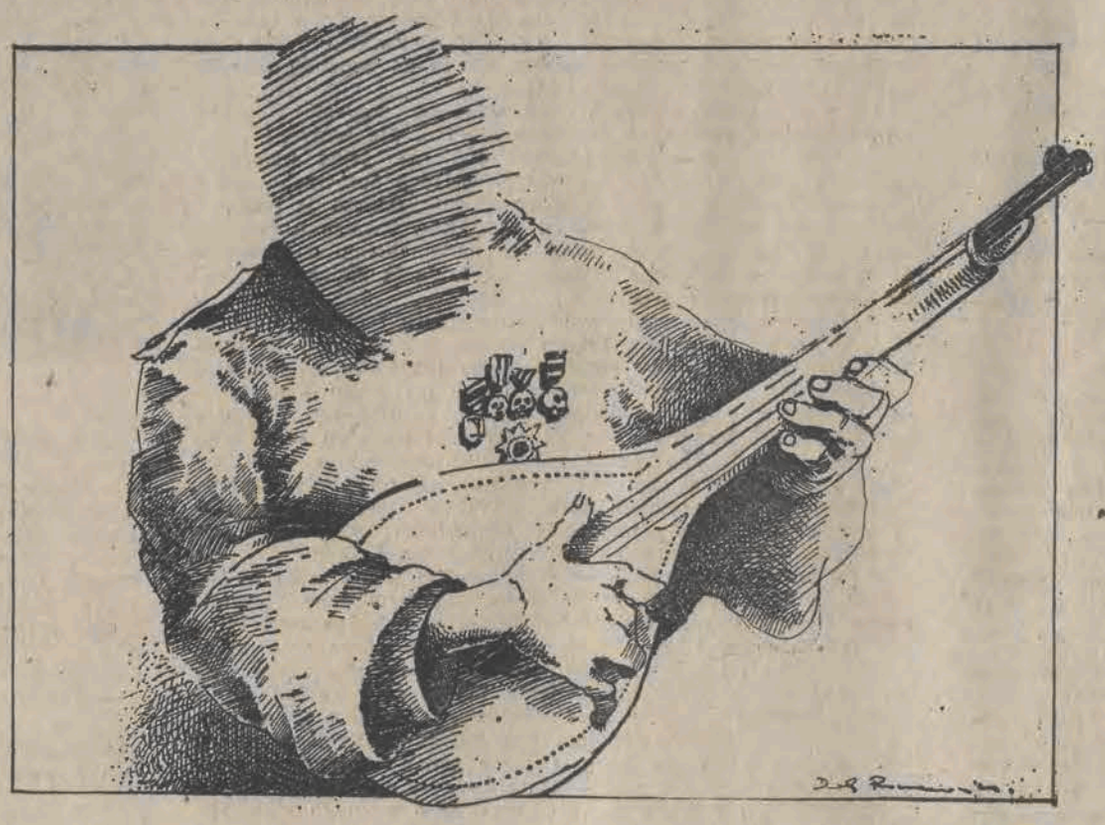

Rys. Dariusz Romanowicz

ze str. 1

Pięć dni w ogniu wojny dwu narodów

nej na Nasminskij Rajon. Wykreślono ze słownika Ormiański Bazar, nazwane ormiańskimi nazwiskami ulice, dzielnicę Szaumijana (pomnik patrona dzielnicy po kilku nieudanych próbach udało się w końcu zburzyć). Wchodzę do akademika, który przez kilka ładnych lat był moim domem. Niewielu znajomych — przenoszą studentów do innych miast. Zapraszają mnie do pokoju. Niepomierne ilości tradycyjnego „czaju".

Relacje naocznych świadków nie mieszczą mi się w głowie.

Z czwartego piętra wyrzucono kobietę. Po upadku na chodnik żyła jeszcze. Obrzucono ją jakimiś rupieciami i podpalono stos...

W biały dzień, w środku miasta pogoń za nagą dziewczyną...

Banda młodzieńców podająca sobie kopniakami skuloną starą kobietę...

Pożary, strzelanina, nocne rozdzierające krzyki...

Brak reakcji milicji, wojska... Bezkarność, strach...

Rozmowa przeciągnęła się i kiedy reflektuję się, że czas wracać do hotelu, obecni patrzą na mnie jak na „psychicznego". Noc spędzam w akademiku.

Lokalna prasa podała, że w minionym dniu udzielono pomocy lekarskiej osiemnastu pobitym Ormianom, znaleziono 4 zwłoki sprzed kilku dni, w jednej ze szkół zawodowych skradziono 3 automaty i 3 karabiny małokalibrowe. W Gjandży (dawnym Kirowabadzie) zablokowano drogi wylotowe i lotnisko wojskowe. Poinformowano o strzelaninie na granicy Armenii i Azerbejdżanu, o próbie zatrzymania w jakiejś wsi transportera opancerzonego, o ilości zabitych i rannych. W Baku grupa operacyjno-śledcza MSW ZSRR zatrzymała 63 podejrzanych. Podano komunikat o uwolnieniu 30 ormiańskich zakładników.

18 stycznia — czwartek.

Nie opodal akademika i kilkadziesiąt metrów od komisariatu milicji, na śmietniku dwa zwęglone trupy. Zdemolowany sklep spożywczy. Przez rozbitą wystawę widać otwartą, przewrócona kasę, obok niej pęki wyrwanych włosów. Ślady krwi...

Na prospekcie Nieftjanników mija nas kilkunastotysięczna demonstracja, kierująca się w stronę Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Azerbejdżanu. Skandują: *„Karabach, azadlyg — wolność"* Powiewają flagi LFA — wolnego Azerbejdżanu, transparenty głoszące niezależność, suwerenność, a także wyrażające niechęć — mówiąc eufemistycznie — do partii komunistycznej. Jeden z transparentów wysyła I sekretarza KPA Wezirowa do Armenii. Niechęć do niego jest powszechna.

Dowiedziałem się, że mechanizm zbierania ludzi na demonstracje niewiele różnił się od pierwszomajowego czy październikowo-rewolucyjnego. Po prostu w miejscach pracy, czy po domach aktywiści LFA chodzili z listą, na której trzeba było zadeklarować swoje uczestnictwo w „mityngu". — *Nie wpiszesz się? Aha, więc jesteś za Ormianami?!* I wszystko jasne...

Próbujemy po drodze wejść do muzeum Włodzimierza Lenina — ogromniastego budynku z fasadą podpartą niebotycznymi kolumnami w stylu z lat pięćdziesiątych. Pilnujący milicjant patrzy na nas ze zdumieniem i próbuje wygonić, tłumacząc: — *Kakoj jeszczo muziej — tut wojna!* Po długich pertraktacjach, legitymowaniu itp. ceremoniach udaje mi się pokazać Tadeuszowi unikalny dywan ze scenami z życia Lenina, wykonany na któreśtamlecie zwycięstwa Rewolucji. 10×14 metrów, tkany non stop 147 dób na specjalnie skonstruowanym warsztacie przez tkaczy-przodowników pracy. Widzę, że Tadeusz jest wstrząśnięty jego widokiem nie mniej niż personel muzeum naszą wizytą.

Spóźniamy się na umówione spotkanie z Czyngizem. Bardzo się tym zdenerwował, mówi, że trzeba było zatelefonować z miasta i uprzedzić. Wyglądamy przecież na Rosjan... A naród tu gorący — najpierw biją, a potem patrzą kogo.

Okazuje się, że pogromy robi nie LFA, a nazwani nowo powstałym słowem „irazi" (kolokwialny skrót od „ermen azerbajdżanłary" — ormiańscy azerbejdżanie). Całe ich wioski spokojnie od lat żyły w Armenii. Teraz wysiedlono ich do Azerbejdżanu. Upokorzeni i skrzywdzeni, pozbawieni życiowego dorobku, oderwani od swojej codzienności, szukają zemsty na mieszkających w Baku Ormianach. Nieważne, że ci Ormianie uważani są w Armenii za drugą kategorię Ormian, że to nie oni wysiedlali „irazów".

Odnoszę wrażenie, że obie strony są zręcznie manipulowane. Prowokacje, wynajdowanie pretekstów do pogłębienia konfliktu, który nagle (?!) wybuchnął z ogromną siłą. Czuje się w tym rękę mafii, stanowiącej dla Michaiła Gorbaczowa poważny problem. W ten sposób najprościej było odciągnąć uwagę ludzi od zachodzących przemian. Silne lobby ormiańskie w Moskwie steruje prasą i telewizją — ani jednym słowem nie zajaknięto się, że pogromy czynili „irazi". Próbuje się zdyskredytować LFA — nawet poprzez tłumaczenie jego nazwy: nie *„ludowy"*, tylko *„narodowy"* — z podtekstem *„nacjonalistyczny"*. Pomija się fakt, że to z inicjatywy LFA rozpoczęto ewakuację z Baku Ormian. Nie słychać, aby ktokolwiek dochodził, skąd się biorą niezidentyfikowane helikoptery i transportery opancerzone, z których prowadzony jest obstrzał wiosek azerbejdżańskich.

W hotelu okazuje się, że telewizor odbiera tylko program lokalny. W centralnym programie transmitowano jakiś proormiański film i nie przetłumaczono fragmentu poematu z ormiańskiego na rosyjski. Lektor skomentował, że „każdy to pojmie sercem". Policzek dla Azerbejdżanu — więc wyłączono przekaźniki.

W lokalnym programie telewizji wywiad z wziętym do niewoli Ormianinem, wyciągniętym z transportera opancerzonego, zatrzymanego we wsi. Odziany w „panterkę" komandos, z kilkudniowym zarostem, rozbiegane oczy. Tłumaczy, że w transporterze znalazł się przypadkiem, proszono go o pokazanie drogi, a mundur pożyczył od brata, który powrócił z Afganistanu. Na pytanie, czy wie, że z transportera strzelano do bezbronnych ludzi odpowiada, że „do nich też strzelali"...

19 stycznia — piątek.

Próba zjedzenia śniadania w hotelu zakończona fiaskiem. Bufetowy z niezbyt mądrą miną pyta nas, czy nie wiemy, że jest wojna? Bo przecież na wojnie do jedzenia nic nie ma i nie będzie.

Szturmujemy kasę „Intouristu", bezczelnie przedzierając się przez tłum. Dzięki bakszyszowi, który przezornie zabrałem z Polski udaje się nam zdobyć dwa miejsca na jutrzejszy poranny samolot do Moskwy. Chwała niech będzie Allachowi! Umawiamy się z Czyngizem na rano. Przed głodem ratuje nas kolejne zaproszenie na obiad.

Na prawie każdym skrzyżowaniu posterunki wojskowe, transportery — „Intourist" położony jest w pobliżu placu Lenina, gdzie zwykły odbywać się demonstracje. Kontrole dokumentów, rewizje... Najsilniejsza obstawa wokół... kompleksu pomnika — mauzoleum 26 Bakijskich Komisarzy. Paranoja.

W hotelu studiuję gazety.

„Azadlyg" („Wolność") z 14 stycznia. Informacje o przemianowaniu miejscowości — powroty do średniowiecznych nazw.

Akcja w Nachiczewaniu, graniczącym z Iranem, przygotowywana była przed miesiącem. Władze ignorowały od dziesiątków lat żądania ludzi pozbawionych możliwości kontaktów ze swoimi bliskimi nie przez zły los, a przez *„ukochaną władzę radziecką"*

Przypominam sobie rozmowę z dziadkiem Abdułłą — wiekowym starcem z rodziny Czyngiza. Opowiadał, jak to za cara podróżowało się za granicę:

— *Jechałeś na przejście graniczne, tam paszport kosztował rubel czterdzieści kopiejek, nikt cię nie pytał dokąd jedziesz, czy wrócisz, najważniejsze, żebyś zapłacił za wyjazd.*

O niszczeniu urządzeń granicznych przez *„narkomanów i ekstremistów"* ludzie dowiedzieli się z centralnych gazet. Nic takiego nie miało miejsca — odbywały się tylko — zapowiedziane zresztą — demonstracje. Rozeźleni, ruszyli na irańską granicę i podpalili kilka wież strażniczych.

Tekst *„Armenia prowadzi z Azerbejdżanem niewypowiedzianą wojnę"*, drukowany po azerbejdżańsku i po rosyjsku, kończy się wezwaniem: *WSZYSCY DO OBRONY OJCZYZNY!*

W telewizji nauka azerbejdżańskiego — powrót do alfabetu farsyckiego, pisanego z prawa na lewo, „robaczkami". Po zwycięstwie Rewolucji alfabet farsycki zamieniono przecież najpierw na łaciński, a potem na „graždankę".

Wieczorem wybieramy się do moich znajomych, pochodzenia ormiańskiego, których z narażeniem życia ukrywają przyjaciele — Azerbejdżanie. Matka z córką musiały opuścić mieszkanie, bo nieżyczliwi sąsiedzi przychodzili już oglądać ich mieszkanie, które chcieli zająć prawem kaduka. Azerbejdżanie zajmują bardzo różne postawy — od hien grabiących trupy do bezinteresownego poświęcania swego bezpieczeństwa, a nawet życia.

Lena, reżyser filmów animowanych, opowiada mi o perypetiach związanych z ucieczką, z próbami dotarcia do punktu ewakuacyjnego dla Ormian na Dworcu Morskim...

Siedzimy dosłownie jak na beczce prochu, bo nie opodal znajduje się jednostka wojskowa — Saljanskije Kazarmy — w tej chwili zablokowana cysternami z benzyną. LFA postawił ultimatum armii — jeżeli skieruje sprzęt i żołnierzy na demonstrantów, to LFA wysadza cysterny w powietrze.

Metrem dojeżdżamy do stacji „Baky Sowiety", najbliżej hotelu. Dochodzi północ. Mamy do wyboru — przeciskać się przez zgromadzony przed KC tłum, skandujący niepochlebne dla komunistów hasła, albo przejść przez nie oświetlony park na tyłach filharmonii. Widząc co się dzieje w tłumie, uznajemy za mniej ryzykowne przejście przez park. Zgrzani z emocji wychodzimy na oświetloną ulicę. Do hotelu pozostaje jakieś trzysta metrów. Kiedy zbliżamy się do wejścia, z kierunku KC słychać serie z automatów.

Zamawiam budzenie na szóstą. W nocy kilka razy budzi nas strzelanina.

20 stycznia — sobota.

O szóstej rano budzi nas dyżurna i wystraszonym głosem mówi, że w nocy wprowadzono w Baku stan nadzwyczajny, że lotnisko zablokowane, wszędzie strzelają i nie ma żadnego transportu. Za kilka minut telefonuje Czyngiz. Bardzo przejęty, mówi, że całą noc koło jego domu trwała strzelanina i prosi nas, abyśmy nie wychodzili z hotelu przynajmniej, póki się nie rozwidni. Obiecuje, że dostanie się jakoś do nas i odwiezie na lotnisko.

Włączam reproduktor rozgłośni centralnej „Majak". Wiadomości z kraju. Pierwsza wiadomość — o klubach inteligencji wiejskiej na Białorusi, druga o przekroczeniu gdzieś tam jakiegoś tam planu... O Baku ani słowa.

Przez półtorej godziny przez okno naliczyłem około 150 transporterów opancerzonych, dwadzieścia czołgów druzgocących gąsienicami jezdnię. Ciężarówek i biegnących truchcikiem żołnierzy nie sposób policzyć.

Mija dziewiąta, Czyngiza nie ma. Decyduję się ruszyć w jego stronę. Mijam demonstrację z czarnymi flagami, ponure twarze, w rękach fotografie przewiązane czarnymi wstążkami. Na nielicznych samochodach również czarne przewiązki. Tłum idzie bez słów. Słychać tylko stuk kroków. Kilkadziesiąt metrów od czoła, u wejście na plac Lenina, stoją żołnierze z bronią gotową do strzału. Za chwilę dobiegają mnie strzały.

Pod piekarnią kolejka. Ludzie kupują po sześć, dziesięć bochenków. Staję w kolejce, biorę dwa bochenki gorącego chleba.

Okazuje się, że Czyngiz pół godziny temu wyszedł. Minęliśmy się po drodze. Czym prędzej zawracam do hotelu. Nad głową przelatuje śmigłowiec. Chwytam wyrzuconą zeń ulotkę o wprowadzeniu stanu nadzwyczajnego w Baku. Komendant zwraca się do tych samych *„szanownych współobywateli"*, do których przed paroma godzinami rozkazał strzelać swoim podkomendnym. Ulotka m.in. głosi, że *„niepodporządkowanie się rozkazom, poleceniom, słowne lub inne obrażanie osób, wykonujących swe funkcje przewidziane porządkiem stanu nadzwyczajnego, ciągnie za sobą odpowiedzialność karną. W stanie nadzwyczajnym przewidziano możliwość użycia broni przez oddziały wojskowe..."*

Przechodzę obok grupki młodych ludzi stojących przed bramą. W ślad za mną leci: — *Rus, faszyst, ekstremist! Rus, faszyst, ekstremist!.* Przyspieszam kroku, skręcam w najbliższy zaułek. Z tyłu słyszę biegnących ludzi. Usuwam się na bok, mijają mnie pędem, wpadają w bramę. Za chwilę, bardzo blisko, seria z automatu. Słyszę upadek odłupanego kulami tynku. Śmigam w najbliższą bramę. Mocno ściskam chleb w spoconych dłoniach. Rozglądam się — jest przejście na inną ulicę. Wysuwam głowę jak najniżej, wygląda, że tu spokój — wychodzę. Cały spięty, po drodze mijając jeszcze dwie demonstracje, wchodzę wreszcie w bezpieczne drzwi hotelu.

Tadeusz drzemie w holu obok bagażu. Samochodu nie ma. Czyngiz zmartwiony nie mniej niż my. Hotel nie dysponuje żadnym pojazdem. Zostawiam Tadeuszowi chleb i ruszamy z Czyngizem na poszukiwanie samochodu. Wszędzie klapa. Ten nie ma benzyny, temu pocięli opony, inny boi się jechać. Wracamy pod hotel, próbujemy bezskutecznie coś zatrzymać.

Od strony KC słychać krzyki i strzały.

Niedaleko nas zatrzymuje się autobus z Ali-Bajramłów, odległych ok. 100 km na południe od Baku. Wysiadają zeń demonstranci z flagami i transparentami, biegną w stronę KC. Krzyczą. Za chwilę słychać serie. Ci sami ludzie — jest ich już mniej — pędzą z powrotem, wciskają się do autobusu, który rusza pełnym gazem.

Na niebie śmigłowce. Po ulicach mkną karetki pogotowia. Przejeżdżają obok nas odkryte samochody ciężarowe ze zwłokami, w trumnach i bez, na skrzyniach przewożeni są jeńcy ranni.

W stronę komitetu maszeruje oddział wojsk MSW — długa kolumna, na czele oficer i szpica, żołnierze z bronią gotową do strzału. Na lufach nie ma nasadek do strzelania ślepą amunicją.

Bokiem, po chodniku idą na demonstrację ludzie — z flagami, transparentami. Wrogo spoglądają na wojsko. Zadziwia mnie brak rozsądku demonstrantów — niektórzy z małymi dziećmi! Dzielę się obserwacją z Czyngizem, pytając go, czy oni wierzą, że wojsko nie uderzy na demonstrację, powstrzymane widokiem dzieci? Czy ci ludzie zapomnieli już o Tbilisi? Czyngiz tylko smutnie na mnie popatrzył i pokazał kilka młodych kobiet, wystrojonych jak na bal i kierujących się w stronę, skąd słychać było strzały.

Zmierzcha się. Przedłużamy pobyt w hotelu na dobę. Proszę Czyngiza, aby jak najszybciej szedł do domu, póki jeszcze jasno.

Za trzy kwadranse wraca Czyngiz. Z samochodem! Ładujemy bagaże i spieszymy na lotnisko. Z prowadzonej po azerbejdżańsku rozmowy orientuję się, że kierowca zażądał od Czyngiza dziesięciokrotnej stawki za przewóz. Nie ma mowy o rozliczeniach, jesteśmy gośćmi.

Proszę kierowcę, aby położył na widocznym miejscu nasze paszporty i bilety. Dzięki temu bez przeszkód mijamy posterunki. Po drodze widać ślady przejeżdżającego ciężkiego sprzętu — pokruszone krawężniki i asfalt. Przed stacją metro Azizbiekow, na Moskiewskim Prospekcie stoi ukosem olbrzymi kamaz otoczony gromadką ludzi. Ma poprzestrzelane opony, a caluteńki przód — maska i szyba — dziurawy jak rzeszoto. Na potrzaskanej bocznej szybie plamy świeżej krwi.

Naprzeciw nas ciągną kolumny wojska. Po drodze zastawy ze szlabanami. Obok wojskowych przejeżdżamy bez przeszkód. Dojeżdżamy do punktu kontrolnego LFA. W stronę samochodu zbliżają się zarośnięci osobnicy z trójbarwnymi opaskami na rękawach i dubeltówkami na ramionach. Jesteśmy już bardzo blisko, ale kierowca nie zatrzymuje się. W ostatniej chwili daje pełny gaz. Bezwładność wgniata nas w siedzenia. Odruchowo napinam grzbiet, wstrzymuję oddech i czekam na strzały. Nie padają. Kierowca odwraca się:

— *Tak lepiej. Z nimi nigdy nic nie wiadomo, a czasu mało i ciemno się robi.*

Przed samym lotniskiem podwójny kordon. Wojsko i LFA. Widząc zagraniczne bilety przepuszczają nas, machają lufami.

W budynku odlotów dantejskie sceny. Powolutku przepychamy się przez tłum. Nad głowami ludzi spostrzegam, że trwa jeszcze rejestracja podróżnych na nasz poranny rejs, o którym myśleliśmy już, że odleciał bez nas. Przeciskam się do rejestracji. Wszyscy krzyczą do siebie, przepychają się. Nad głowami Tadeusz i Czyngiz podają mi bagaże. Jesteśmy zarejestrowani. To już połowa sukcesu. Szybko żegnamy się z Czyngizem i z kierowcą.

— *Jachszy jol! Allach sachłama!* — *(Szczęśliwej drogi! Niech was Allach ma w swej opiece!)*

Za dwadzieścia szósta wychodzimy na płytę lotniska do samolotu. Przez megafony ogłaszają, że od osiemnastej lotnisko zostaje zamknięte do odwołania... Czy zdążymy wystartować?

Nie przypuszczałem, że do Tu-154 może zmieścić się tylu pasażerów. Siedzieli gdzie się dało — na bagażach, skrzynkach... Płaczące i wystraszone dzieci z szeroko otwartymi oczami... Nie mniej przerażeni dorośli... Poganiające pasażerów stewardesy... Kołujemy na start. Chwila napięcia — według mojego zegarka unosimy się w powietrze dwie minuty po szóstej.

Z góry wszystko wygląda tak cicho i spokojnie...

RAFAŁ LEWICKI

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

PRZĘDZĘ bawełnianą tex 40,30 sprzedam. Cena 14 000—16 000 zł. Łęczyca, tel. 54-51 (8-15).
18853-g

NAUKA-PRACA

MENEDŻER młody, niekonwencjonalny i przebojowy szuka pracy asystenta szefa firmy. 78-70-21.
19148-g

USŁUGI

MYCIE okien, sprzątanie. Rózga 42-29-14
18974-g

KOŻUCHY. Odzież skórzana szycie, przeróbki. Piotrkowska 31. Pietrzak 32-69-38.
18983-g

FOTELE samochodowe, naprawa, przeróbka na rozkładane. Regulacja drzwi, zamków. Ulica Kolumny 390.
19211-g

ZGUBY

GEORGIOS Kollias zgubił leg. studencką 62448/S UŁ.
18795-g

IWONA Kowalska zgubiła legitymację studencką 16443/L AM.
18867-g

GRAŻYNA Marciniak zgubiła leg. studencką 7517 PŁ.
19058-g

MICHAŁ Borowiak zgubił legitymację studencką 61384 PŁ.
19214-g

MARZENA Peryt zgubiła legitymację studencką 63317/S UŁ.
19346-g

RÓŻNE

PRZEDSIĘBIORSTWO Produkcyjno-Handlowe „Carina" spółka z o.o. Łódź, Retkińska 85A ogłasza otwarcie likwidacji. Wzywa wierzycieli do zgłaszania swoich roszczeń.
18987-g

PRZEDSIĘBIORSTWO Handlowo - Usługowo - Produkcyjne „TERGUS" — spółka z o.o. Łódź, Obrońców Stalingradu 3/2 ogłasza otwarcie likwidacji. Wzywa się wierzycieli do zgłaszania swoich roszczeń.
18986-g

OGŁASZAJ SIĘ W „ODGŁOSACH"

„BURMA"

— montaż, demontaż, naprawa
— konserwacja maszyn włókienniczych wszystkich typów:
— przewijarek RZ, RY
— skręcarek PL
— plecionkarek PD

91-489 ŁÓDŹ
ul. Nastrojowa 41
m 7, bl. 538.

Radogoszcz-Wschód
18980-g

TV sat

JUŻ JUTRO W KIOSKACH RUCHU

13 NUMER „TV-SAT MAGAZYN"

A W NIM:

▲ SZARLATAN CZY CUDOTWÓRCA — czyli pierwsza w Polsce rozmowa z Anatolijem Kaszpirowskim.

▲ RTS PLUS — nowości i niespodzianki.
▲ 13 PROGRAMÓW SATELITARNYCH.
▲ DEKODEROWA PIRAMIDA
▲ HITY Z SATELITY
▲ KIEDY ASTRA 2?

a także

▲ OGŁOSZENIA i REKLAMY

(nie tylko) satelitarne.

TV sat

Co dzieje się w gospodarce? (3)

Przedsiębiorstwo w darze dla... dyrektora

Pierwsze próby przemian własnościowych mamy już za sobą. Kuriozalna przemiana miała miejsce w Przedsiębiorstwie Transportu Handlu Wewnętrznego w Katowicach. Firmę

podarowano dyrektorowi!

Katowickie przedsiębiorstwo popadło w biedę. Bywały dni, że na biurko dyr. **Jerzego Baucia** trafiało po kilkanaście podań o zwolnienie z pracy. Kierowcy odchodzili tam, gdzie płacono więcej i przyjmowano ich z otwartymi ramionami.

PTHW płaciło mało, choć jego szefowie twierdzą, że firma nie jest biedna. Przeciwnie, osiąga najwyższą rentowność pośród kilkunastu podobnych wojewódzkich firm. Rzecz w tym, że do tzw. reformy gospodarczej wystartowano z niskimi płacami. Z roku na rok przepisy o wzroście płac w przedsiębiorstwach państwowych modyfikowano, lecz ciągle liczył się punkt startu. I choć płace procentowo rosły nie gorzej niż u innych, to jednak od niższej „bazy" Tym samym PTHW coraz bardziej traciło dystans do innych przedsiębiorstw.

Firma działa w rejonie, gdzie dominuje węgiel. Górnictwo rządziło się swymi prawami, za kierowanie tego samego typu ciężarówką płaciło o wiele więcej.

Organem założycielskim dla transportowej firmy był wojewoda katowicki. Nie mógł być zadowolony z tego stanu rzeczy. PTHW zaopatrywało sklepy we wszystko poza mlekiem, a skoro kierowcy zwalniali się z przedsiębiorstwa, to zaopatrzenie kulało coraz bardziej. Przed dziewięciu laty firma zatrudniała 7500 pracowników. Zatrudnienie zmalało do 4800 osób.

Propozycja do odrzucenia.

Poprzedni rząd deklarował chęć wprowadzania radykalnych przemian. Na deklaracjach nie poprzestawał. Ówczesny minister rynku wewnętrznego **M. Nurowski** zaproponował dyrektorom, że uczyni z nich dzierżawców przedsiębiorstw, czyli da im znacznie szerszą władzę Propozycji nie przyjęli: dyrektor warszawskiego „Orbisu" i łódzkiego „Polmozbytu". Gdy taką propozycję minister przedstawił dyrektorom czterech PTHW (także łódzkiemu), trzej odmówili tłumacząc to poczynionymi już przygotowaniami ku innym rozwiązaniom organizacyjnym. Dyrektor **J. Bauć** zgodził się. Wojewoda **T Wnuk** poparł zamiary dyrektora PTHW.

Podpisano trójstronne porozumienie, z mocy którego **„z dniem 1 czerwca 1989 roku mienie zlikwidowanego przedsiębiorstwa państwowego pod nazwą Przedsiębiorstwo Transportu Handlu Wewnętrznego w Katowicach zostaje oddane przez Wojewodę do korzystania Zarządcy w celu prowadzenia działalności gospodarczej."**

Zanim dokument podpisano, musiała się zebrać Rada Pracownicza. Na ogólnym zebraniu delegatów 54 osoby opowiedziały się za przekształceniem przedsiębiorstwa, a 14 wstrzymało się od głosu. Gdy rozmawiałem z przewodniczącym samorządu **Pawłem Błażycą**, ten przyznawał, że Radzie nie przedstawiono rachunku ekonomicznego skutków tej reorganizacji!!! Lecz samorząd przystał na propozycję, bo najważniejszym było, aby płace wreszcie zaczęły rosnąć.

Akceptacja Rady oznaczała zarazem, że... Rada przestanie istnieć (samorządy działają w przedsiębiorstwach państwowych). Nader łatwo zrezygnowano z wpływu pracowników na losy własnej firmy! Na dodatek nikt nie troszczył się o spełnienie warunków przemian, jakie w obawie przed tzw. uwłaszczeniem nomenklatury ujęto w tekście porozumienia „okrągłego stołu". A w tekście tym jest nader istotny zapis:

„..zasady sprzedaży przedsiębiorstw państwowych lub większości ich udziałów sektorowi prywatnemu określi parlament. W innych przypadkach przekształcenie przedsiębiorstwa państwowego w spółkę lub spółkę pracowniczą, bądź akcyjną, albo objęcie przedsiębiorstwa dzierżawą, może nastąpić wyłącznie za zgodą rady pracowniczej, poprzedzonej referendum załogi..."

Referendum w PTHW nie było! Wprawdzie Rada Pracownicza PTHW mogła nie znać jeszcze zapisów z „okrągłego stołu", lecz musiały być takie znane ministrowi!

Dyrektor został zarządcą, a przedsiębiorstwo przestało być państwowym.

Wpłynęło to na zmianę zasad opodatkowania. Budżet państwowy na tej zmianie skorzystał. Firma przyjęła na siebie wyższe podatki, ale nie dotyczyły jej „kary" za wzrost płac. Płace zaczął limitować wyłącznie zysk. Tyle że 80 proc. zysku (netto) trzeba przeznaczyć — podobnie jak całą amortyzację — na fundusz rozwoju. Pozostająca część zysku znalazła się w wyłącznej dyspozycji zarządcy. Może więcej inwestować, czy więcej płacić.

Dr Jerzy Bauć spodziewał się, że gdy zwiększy płace, to wszystkie samochody dostawcze wyjadą w teren. Będzie pełna obsada kadrowa, wyjadą ciężarówki, więc zwiększy się zysk. Pracownicy spodziewali się, że u „kapitalisty" więcej zarobią. A jeżeli trzeba będzie więcej pracować? To zawsze mogą jeszcze zwolnić się, bo kierowców nadal brakuje w sąsiednich przedsiębiorstwach.

Kto jednak teraz ponosi odpowiedzialność finansową za przedsiębiorstwo, którego majątek przy przekształceniu nie został wykupiony? A przecież według nieaktualnej wyceny (zaniżonej) majątek ten opiewa na 7 mld zł! W teorii odpowiedzialność taką ma ponosić zarządca, który przyznaje, że ma własny, dwuletni samochód, a cały swój pozostały majątek oceniał na kilkanaście milionów złotych.

W PTHW płace zaczęły rosnąć, ta obietnica spełniła się. Firma zaczęła lepiej działać. Oczywiście, są to pozytywy. Jednak widziane tylko na odległość własnego nosa. Jak bowiem powinny czuć się inne przedsiębiorstwa, które w niczym nie zasłużyły sobie na gorsze potraktowanie? Tylko wedle typowo uznaniowej reguły przekształceń katowickie PTHW zyskało sobie szczególne prawo na ucieczkę od reguł limitujących wzrost płac...

Nie na długo. Z początkiem 1990 roku zmieniły się reguły podatkowe. Także w sferze płac, bo zniknął dotychczasowy podział na sektory. Limity wzrostu z konsekwencjami w postaci restrykcji podatkowych są takie same. Jednak dzięki podpisowi ministra przez tych kilka miesięcy ta jedna firma skorzystała z przywilejów, zwiększyła płace.

Skoro teraz stoimy przed „powszechną" prywatyzacją, to o reguły gry były już uczciwe, sprawiedliwe dla wszystkich.

ZBIGNIEW GRZEGORZEWSKI

KLICZKÓW WIELKI: — Co zrobiono z tej wsi? To jakby nagle mur w środku wybudowano.

Wojna o wodę

EUGENIUSZ IWANICKI

W czerwcu 1988 r. mieszkańcy wsi **Kliczków Wielki** gmina Brzeźnio w województwie sieradzkim wysłali skargę do Urzędu Rady Ministrów. Oto jej fragment:

„Sprawa, o której zamierzamy do Was napisać od kilku miesięcy bulwersuje mieszkańców gminy Brzeźnio w woj. sieradzkim, a jej przestępczy i spekulacyjny charakter powszechnie kojarzony jest z partią i rządem. 15 lat temu we wsi Kliczków Wielki wybudowana została ferma do hodowli trzody za około 13 mln zł na obszarze 2 ha. Ostatnio została kupiona za 900 tys. zł przez mieszkańców Kliczkowa Wielkiego ob. Bobrowskiego Jana i Owczarka Romana syna Grzegorza naszego sołtysa.

Na nieruchomość składają się: obszar około 2 ha ziemi, ładne i solidne budynki i ogrodzenie, instalacja elektryczna, silosy, magazyny, studnia głębinowa, kilkadziesiąt dębów, składy, szamba itp.

Nieruchomość tę chciała kupić za 50—150 mln zł firma polonijna, aby uruchomić produkcję i dać zatrudnienie przy jego dużym tu niedoborze, na co liczyliśmy.

Wiadomymi machlojkami, przekupstwem ww. osoby nabyły ją „za darmo". Stało się to w tajemnicy przed mieszkańcami, bez przetargu, wyceny przez biegłych. „Nowi właściciele" dziś np. nie chcą udostępnić wody naszemu SKR do oprysków roślin (żądają 3 mln zł rocznie), za 1 mln zł chcą (wyciąć) sprzedać dęby.

Boimy się skarg (władze nie reagują na nieliczne) bo zastraszają, wymuszają abyśmy deklarowali się, że nie zrobiono tego w tajemnicy, w oczy boimy się ich oskarżać o kradzież naszego wspólnego mienia. Są za silni i mają poparcie. Życzenia nasze i skargę naszą kierujemy do Was, bo przecież nie do władzy niezłemskiej...".

Wkrótce sprawą zainteresowano Prokuraturę Generalną, Najwyższą Izbę Kontroli, Ministerstwo Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej, wojewodę sieradzkiego, Prokuraturę Wojewódzką w Sieradzu, IRCH-ę, Sąd Wojewódzki w Sieradzu, Społeczny Instytut Ochrony Prawnej Rodzinnych Gospodarstw Rolniczych w Warszawie, Komitet do spraw Radia i TV, prasę.

Teren, który stał się kością niezgody, należał niegdyś do **Spółdzielni Kółek Rolniczych**. Prowadzono tu m.in. hodowlę tuczników. Ale w latach po wprowadzeniu stanu wojennego zabrakło paszy i hodowla upadła. Wówczas gmina w **Brzeźniu** przejęła cały majątek **SKR** i zaczęła go wydzierżawiać różnym osobom, a ci albo hodowali tu psy, albo produkowali pustaki, a nawet był ktoś, kto zamierzał uruchomić garbarnię.

Na obiekt po **SKR** miała też chęć **Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska"**, lecz zażądano od niej 16,5 mln złotych! Naczelnik Gminy w **Brzeźniu — Kazimierz Czyżak** oraz **sołtys z Kliczkowa Wielkiego — Grzegorz Owczarek** zaproponowali rolnikom, by w tym właśnie miejscu wybudować Dom Nauczyciela. Pomysł ludziom się spodobał. Zaczęto więc gromadzić materiał budowlany, sporządzono potrzebną dokumentację, zebrano sporo gotówki. Bo ci z **Kliczkowa Wielkiego** to są właśnie tacy zapaleńcy: a to w czynie społecznym zbudują remizę, a to basen, a to chodniki położą, że chodzi się jak w mieście, a to własnym sumptem wybrukują drogę, na którą dopiero później położono asfalt, a to jako pierwsi w powiecie sieradzkim założą Kółko Rolnicze... I tak jakoś zawsze wychodziło, że **Kliczków Wielki** albo zajmował pierwsze miejsce w konkursie „Wzorowa wieś", albo znajdował się na miejscu promowanym.

Nagle, tak jakoś pod koniec 1987 r. ludzie dowiadują się, że Domu Nauczyciela nie będzie na terenie byłej SKR, tylko na skarpie, po przeciwnej stronie, bo właśnie ziemię wraz z zabudowaniami sprzedano „za marne pieniądze" obywatelom **Janowi Bobrowskiemu** i **Romanowi Owczarkowi** (ten ostatni jest synem sołtysa, jego ojciec **radnym WRN w Sieradzu, a Jan Bobrowski radnym Gminy Brzeźnio**).

Zresztą zapewne długo nikt o transakcji nie miałby pojęcia, gdyby nie zwykła woda, która w tym konflikcie odgrywa chyba najistotniejszą rolę. Dotychczas wieś korzystała z wody z ujęcia głębinowego na terenie początkowo byłego Kółka Rolniczego, potem **SKR**. Zdarzało się to zawsze w porze suchej, kiedy w studniach gwałtownie obniżał się poziom wody. Wiadomo — woda dla gospodarstwa to jego egzystencja i życie. I właśnie, gdzieś tak w czerwcu, ludzie jak co roku pojechali z beczkami do **SKR**. A tu brama zamknięta. Nowi właściciele mówią: owszem, możecie dostać wodę, ale nie za darmo. To, co było dotąd, już się nie liczy. Myśmy to wszystko kupili, jest nasze i jak będziemy chcieli, to wodę damy, a jak nie to nie. Prawo jest po naszej stronie.

Wieś zawrzała. Skąd wziąć wodę? Czym napoić bydło? Za wsią co prawda sączy się strużka, ale i ona w upalne letnie miesiące prawie wysycha. Pojechali więc ludzie do Brzeźnia do pana naczelnika ze skargą. Naczelnik tylko ręce rozłożył:

— Trudno — powiada — **oni są na prawie, kupili legalnie. Zresztą macie przecież staw, możecie stamtąd czerpać wodę.**

Wówczas wieś napisała ów list — skargę do Urzędu Rady Ministrów. I tak oto przez dwa lata trwa walka o wodę w **Kliczkowie Wielkim**, a końca nie widać.

Byłem w **Kliczkowie Wielkim** w lutym 1990 r. Trafiłem do mieszkania **Marii Chudzik**. Zanim rozłożyłem notatnik, już izba zapełniła się ludźmi. Przyszedł też **Wiesław Dębicki** (radny Gminnej Rady Narodowej w Brzeźniu), przyszedł sąsiad **Jan Gliński**, sporo kobiet. Wszyscy oni niedwuznacznie sugerowali, że sprzedaż dokonana w 1987 r. podzieliła ich wieś, rozbiła jej jedność, którą dotąd się szczycili.

— Zwyczajnie sprzedano nas!

— Dziś Bobrowski chce 300 zł za wiadro wody!

— Jak ktoś ma pięć krów, kilka świń, nie mówiąc o potrzebie własnej, to dziennie musi płacić kilkanaście tysięcy złotych za wodę. Przecież to draństwo.

— Owszem, mamy staw. W stawie jest woda stojąca, do takiej wody można wszystko wrzucić, na przykład utopić psa...

— My to pijemy, bo nie ma innej możliwości.

— Od lat dobijamy się sprawiedliwości i jakoś nikt nam nie chce pomóc.

— Gdzieśmy nie byli, gdzieśmy nie pisali...

— Sprawa jest w sądzie w Sieradzu, ale my już nie wierzymy w sprawiedliwość.

— Pozostaje jedno wyjście: któregoś dnia wejdziemy na teren byłego SKR i ogłosimy okupację. Nie wpuścimy ani Bobrowskiego, ani Owczarka. Może wtedy ktoś się opamięta!

Collage: Grzegorz Gałasiński

W Prokuraturze Wojewódzkiej w Sieradzu dowiedziałem się, że w sierpniu 1988 r. Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami stwierdził nieważność decyzji naczelnika **Gminy Brzeźnio** ustalającej **Jana Bobrowskiego i Romana Owczarka** kandydatami na kupno **„zabudowanej państwowej nieruchomości"** we wsi **Kliczków Wielki**. W uzasadnieniu napisano, że: **„Badając zasadność ustalenia ww. kandydatów Wydział dopatrzył się naruszenia wielu norm i zasad prawnych"** (skrupulatnie przy okazji wyliczono kiedy i jakie naruszenie naczelnik popełnił). O swojej decyzji Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami powiadomił Urząd Rady Ministrów oraz NIK.

Jednakże w międzyczasie z obu nabywcami zostały zawarte akty notarialne i obaj nabywcy natychmiast przystąpili do demontażu **różnych obiektów budowlanych i inżynieryjnych**, mimo tego, że w sprawie kupna przez nich działek toczyło się postępowanie administracyjne, gdyż organ nadzoru stwierdził nieważność obu wymienionych wyżej decyzji naczelnika **Gminy Brzeźnio**.

Zarówno **Jan Bobrowski** jak i **Roman Owczarek** decyzję zaskarżyli do ministra rolnictwa, leśnictwa i gospodarki żywnościowej.

Wobec faktu demontażu urządzeń, główny geodeta wojewódzki w Sieradzu zwrócił się do prokuratora wojewódzkiego o **„unieważnienie aktów notarialnych z równoczesnym wnioskiem o zabezpieczenie tegoż powództwa przez zakaz zbywania nieruchomości i niedokonywania zmian na przedmiotach owych nieruchomości, m.in. przez wstrzymanie budowy".**

Prokurator wojewódzki w Sieradzu wszczął wobec tego postępowanie cywilne.

Ponadto **Urząd Wojewódzki w Sieradzu**, Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami skierował do Sądu Wojewódzkiego Wydział Cywilny pozew o unieważnienie aktu notarialnego przyznającego **Janowi Bobrowskiemu z Kliczkowa Wielkiego** nieruchomości o powierzchni 1.68 ha. Natomiast jakby **zapomniano o Romanie Owczarku**, który także nabył grunty na tej samej zasadzie, co Jan Bobrowski.

Wobec tego **Prokuratura Wojewódzka w Sieradzu** zwróciła się do wojewody sieradzkiego, by i ta sprawa nie została pominięta, czyli uchylony został akt notarialny.

Teraz sytuacja wygląda tak: decyzja naczelnika Gminy w **Brzeźniu** o zatwierdzeniu dwóch kandydatów na nabywców nieruchomości została uchylona w trybie nadzoru: przez dyrektora Wydziału Geodezji i Gospodarki Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu. Tę decyzję utrzymał w mocy minister rolnictwa, leśnictwa i gospodarki żywnościowej i stanowisko to podzielił **Naczelny Sąd Administracyjny**, który oddalił wniesione skargi przez obu nabywców. Pozostała jednak sprawa aktu notarialnego kupna-sprzedaży tych nieruchomości zawarta przez strony **24 listopada 1987 r.**, kiedy to obowiązywała obie te strony decyzja naczelnika (uchylono ją dopiero 3 sierpnia 1988 r.). A więc akt notarialny może uchylić jedynie sąd.

Sprawa ponownie jakby zaczęła się gmatwać. Bo oto **24 grudnia 1989 roku** Sąd Rejonowy Wydział I Cywilny w Sieradzu oddalił wniosek Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami, a **Jan Bobrowski** zgodził się, by mieszkańcy **Kliczkowa Wielkiego** czerpali wodę z jego studni głębinowej, ale muszą partycypować w kosztach eksploatacji urządzeń wodnych. Od tej decyzji Prokuratura Wojewódzka w Sieradzu złożyła zażalenie do Sądu Wojewódzkiego Wydział Cywilny.

Mieszkańcy **Kliczkowa Wielkiego** (przecież mają potrzebną dokumentację, materiał budowlany i pieniądze) postulują, by na byłym terenie SKR po odebraniu go Bobrowskiemu i Owczarkowi wybudować szkołę zamiast Domu Nauczyciela. Uzasadniają to tym, że taki obiekt we wsi jest od lat potrzebny, a ponadto teren jest uzbrojony, ogrodzony, a więc przygotowany przeto i koszt będzie mniejszy. Jednakże tu włączył się do sprawy **główny architekt wojewódzki w Sieradzu** twierdząc, że w tym miejscu szkoły nie przewiduje, a przeznacza na to zupełnie inny teren.

Ludzie przestają cokolwiek rozumieć: jak miał być Dom Nauczyciela na placu SKR — to teren się nadawał, teraz, kiedy ten plac przeszedł w ręce prywatne — przestał się nadawać.

— Tylko zdecydowana akcja — mówią mieszkańcy **Kliczkowa Wielkiego — tylko jakaś okupacja czy coś takiego może nas uratować. I proszę pomyśleć: co zrobiono z tej wsi, tak niegdyś spójnej. To tak, jakby postawiono nagle mur oddzielający jednych od drugich. Jest nam wstyd za ludzi, którzy dwa lata temu podjęli taką decyzję.**

POLITYKA: — Czy przeznaczeniem kobiety jest życie domowe, a mężczyzny publiczne?

Niższość kobiet

KONRAD FREJDLICH

Głoszenie najbardziej bałamutnej bzdury, jeśli tylko zyskała ona konserwatywną metryczkę, nie spotyka się dziś w Polsce z żadnym odporem, ba, spolegliwi do niedawna najmici lewicy milczą jak zaklęci albo ciężko wystraszeni udają, że nic się właściwie nie stało. Ot, chodzi ledwie o ciekawostkę, rzecz bez większego znaczenia, którą się podaje z kronikarskiego obowiązku. Ten przestrach, po pogrzebie PZPR, można jeszcze zrozumieć, dlaczego jednak nabrali wody w usta także przedstawiciele demokratycznej opozycji, tego już pojąć nie sposób. Pojawiają się przecież w prasie opinie, obok których nie można przejść obojętnie, gdyż mają jawnie antydemokratyczny charakter. Przykładem najświeższej daty jest wywiad, jakiego p. **Edward Kutela**, lider Unii Polityki Realnej w Łodzi, udzielił **„Expressowi Ilustrowanemu"**.

Czytam dość uważnie wypowiedzi p. **Janusza Korwina-Mikke** publikowane na łamach tygodnika **„Wprost"**, z których jawi mi się raczej jako zwolennik zdrowego rozsądku niż rzecznik niższości kobiet, toteż nie wiem, czy zakusy na pozbawienie płci pięknej czynnego prawa wyborczego są tendencją dominującą w całej partii, czy też tylko w łódzkim odłamie unionistów. Co prawda p. **Edward Kutela** opowiada się **„za zniesieniem prawa kobiet do czynnego głosowania"**, z czego można by wnioskować, że znane mu jest także jakieś głosowanie bierne, ale ostatecznie te braki terminologiczne z dziedziny prawa konstytucyjnego należy mu wybaczyć, gdyż ustawa kardynalna nie miała zbyt wielkiego zastosowania w niedawnym Peerelu. Gorzej, że mieszają mu się także inne pojęcia, które powinny mu być przynajmniej znaczeniowo bliskie, skoro sam siebie nazywa liberałem.

Wolnościowcy hiszpańscy, którzy już na początku dziewiętnastego stulecia głosili zasadę swobodnej i nieskrępowanej działalności jednostki jako źródła postępu we wszystkich dziedzinach życia, nie spodziewali się chyba, że pod koniec wieku dwudziestego, ktoś mieniący się liberałem, będzie chciał tę wolność reglamentować.

Można zrozumieć **Adolfa Mostowskiego**, który w r. 1895 w ankiecie **„Tygodnika Ilustrowanego"** głosił niższość kobiety i niepokoił się, że córy rodzaju ludzkiego, uzyskawszy dostęp do wykształcenia, wyrugują z intratnych zawodów mężczyzn. Antyfeminizm, podobnie jak antysemityzm, jest filozofią i postawą życiową nieudaczników, obawiających się rywalizacji, której nie są zdolni sprostać. Najlepiej więc postawić zapory i bariery posyłając kobiety na przykład do kuchni i alkowy, a jeszcze bezpieczniej odebrać im prawa polityczne. W wieku XIX głosiciele niższości kobiet mieli przynajmniej do dyspozycji pseudonaukowe traktaty. Zasłynął z nich zwłaszcza szwajcarski antropolog **E. Reich**, który na podstawie pewnych różnic antropologicznych, w składzie krwi i w sile mięśni dowodził, że przeznaczeniem kobiety jest życie domowe, a mężczyzny publiczne. Na zjeździe niemieckich antropologów we Wrocławiu, o czym doniosła **„Prawda"** w r. 1890, wygłoszono odczyt o **„większej zwierzęcości kobiety pod względem anatomicznym"**. W tym samym czasie, a nawet wcześniej w Anglii, która jeśli nie jest ojczyzną liberalizmu, to na pewno dała światu parlamentaryzm, ruch na rzecz równouprawnienia politycznego kobiet zaczął przynosić pewne pozytywne owoce.

Już w 1792 r. pisarka **Maria Wollstencraft** wystąpiła publicznie domagając się prawa głosu dla kobiet. Zyskała uznanie i poparcie zwłaszcza w oczach filozofa **Johna Stuarta Milla**, który okazał się zagorzałym protagonistą kwestii kobiecej nie tylko jako autor znaczących pism na ten temat, ale także w Parlamencie. Niestety, jego poprawka do ustawy z 1866 r. została utrącona przez innego liberała **Williama Gladstone'a**. Nie przeszkodziło to liberałowi **Janowi Brightowi** zgłosić w cztery lata później projektu ustawy wyraźnie przyznającego kobietom prawa wyborcze. Zyskała większość w Izbie Gmin, lecz Gladstone, spełniając życzenie królowej Wiktorii, postarał się, aby nie weszła w życie.

Zawiedzione w swoich nadziejach kobiety brytyjskie, skupione w National Union of Womens Suffrage Societies podjęły energiczne działania, które zaszokowały świat. Chociaż większość wpływowych liberałów popierało ich sprawę, używając dzisiejszego języka, zrobiły **„zadymę"** na ich właśnie mityngu, gdy przemawiał minister spraw zagranicznych Sir **Edward Grey**. Panie z dobrych domów i majętne, stawiły opór policji, a następnie odmówiły płacenia grzywien za zakłócenie porządku i demonstracyjnie wybrały więzienie. Ich akcja zyskała sympatię premiera **Campbell-Bannermana**, który zachęcał sufrażystki do jeszcze gwałtowniejszych wystąpień, aby odpowiednio usposobić opinię publiczną, a zwłaszcza szeregi liberałów, gdzie nie było jedności. To właśnie sufrażystki angielskie wpadły na pomysł przykuwania się do żelaznych parkanów przy pomocy żelaznego łańcucha — w ten sposób pikietowanie Parlamentu okazało się wyjątkowo skuteczne, gdyż policja nie mogła sobie dłuższy czas poradzić z rozproszeniem zbiegowiska i musiała wzywać na pomoc kowali. Wynalazkiem angielskich ruchów emancypacyjnych jest także wybijanie szyb w lokalach użyteczności publicznej nie mówiąc już o czynnej napaści na stróżów porządku. Kolejnym wynalazkiem sufrażystek były głodówki protestacyjne w więzieniach, do których trafiały odmawiając konsekwentnie płacenia grzywny. Nie ograniczyły się one zresztą tylko do tych form protestu, zaczęły wkrótce także podkładać bomby, podpalać domy, zwalać słupy telegraficzne, dewastować poczty i dworce kolejowe. Wreszcie niejaka **Emilia Davidson** na słynnych wyścigach konnych znanych jako Derby rzuciła się na znak protestu pod wierzchowca w barwach króla **Jerzego V**, ponosząc śmierć. To przeważyło szalę, aczkolwiek rząd twierdził obłudnie, że nie uchwala się choćby najsłuszniejszych ustaw pod groźbami, podobnie jak polskie betony partyjne wiele lat później i w innych okolicznościach wycofywały się z przyrzeczeń i podpisanych paktów jako zawartych pod groźbą „pistoletu strajkowego". Okazuje się, że oszustwo polityczne podpierane jest zawsze jednakową argumentacją i ma ten sam wymiar zewnętrzny. Wybuch I wojny światowej odroczył potrzebę jednoznacznego rozstrzygnięcia kwestii kobiecej w Wielkiej Brytanii, ale jej bynajmniej nie zakończył. Angielki uzyskały swoje wymarzone prawa wyborcze w r. 1918, co prawda obowiązywał początkowo cenzus wieku (30 lat), ale wkrótce obniżono go do 21 lat.

W tym samym roku co Angielki, czynne i bierne prawo wyborcze otrzymały Polki. Dekret odrodzonej Rzeczypospolitej z 28 listopada o ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego przyznawał czynne prawo wyborcze każdemu, kto ukończył 21 lat, okazał się bardziej postępowy niż ustawa brytyjska. Nie była to już nowość ani na świecie, ani w Europie. **Nowa Zelandia** dała kobietom prawa wyborcze w r. 1893, **Finlandia** w r. 1906. Z państw skandynawskich najbardziej zachowawcza okazała się **Szwecja** — trzeba było czekać na r. 1921. Rok wcześniej uzyskały prawa kobiety amerykańskie. Z wielkich mocarstw na szarym końcu znalazła się **Francja** — datą graniczną wyzwolenia kobiet był tam dopiero rok 1944. W dalszej kolejności idą: **Albania, Jugosławia i Rumunia** (1946 r.), **Bułgaria** (1947 r.), **Belgia i Izrael** (1948 r.), **Grecja** (1953 r.). Jedynym państwem europejskim, gdzie utrzymuje się jeszcze dyskryminacja kobiet jest **Szwajcaria**. Co prawda w niektórych kantonach otrzymały one pełnię praw politycznych (należy pamiętać o federacyjnym systemie tego państwa, każdy kanton posiada suwerenność i własne ustawodawstwo), ale to równouprawnienie nie rozciąga się na cały kraj.

Pan **Edward Kutela** powinien mi być wdzięczny za ten wykład z dziejów ruchu emancypacyjnego kobiet, gdyż gdyby znał fakty, nie głosiłby pewnie z takim przekonaniem, że **„kobiety na ogół głosują tak jak ich mężowie albo wyboru dokonują w ten sposób, że oceniają kandydata na podstawie wyglądu — przystojny, nie przystojny, a program polityczny jest nieistotny dla nich"**. Antyfeminiści w wieku XIX, głosząc niższość kobiet, mogli się przynajmniej podeprzeć pseudoteoriami antropologicznymi z dobrej szkoły niemieckiej, która miała później „zasługi" w głoszeniu niższości rasowej Słowian, nie mówiąc już o Żydach. Ciekawi mnie natomiast na jakiej empirii oparł swoje wywody **lider Unii Polityki Realnej w Łodzi**, kto i kiedy przeprowadził podobne badania i dlaczego utajnia się ich rezultaty? Dalsza część wypowiedzi p. **Edwarda Kuteli** świadczy o tym, że bliższe są mu zasady Koranu niż deklaracja praw człowieka, a nawet społeczna nauka Kościoła. **„Powinnością kobiety jest dbanie o wychowanie dzieci, prowadzenie domu, własny wygląd, doskonalenie umiejętności kulinarnych"**. Jest to raczej powinność zahukanej żony niż kobiety, cóż jednak począć z tymi paniami, które przedkładają samotność nad życie przy boku mniej inteligentnego męża? Albo, co gorsza alkoholika lub zwyrodniałego pijaka? Polska nie jest krajem, gdzie wódkę wylewa się za kołnierz, a wśród amatorów mocnych trunków przeważają, niestety, mężczyźni. Mają oni także niechlubną przewagę statystyczną wśród morderców i gwałcicieli, sprawców napadów i doliniarzy oraz recydywistów. Fakty te nie dowodzą zresztą niższości intelektualnej, moralnej i osobniczej mężczyzn, dowodzą tylko, że nie zawsze interesuje ich polityka.

Gdyby wybory w Polsce odbywały się codziennie, gdyby kobiety w Polsce traciły setki godzin w roku na wystawanie w kolejkach do urn wyborczych, zrozumiałbym może troskę p. **E. Kuteli** o prowadzenie domu i wychowanie dzieci, i albo wprowadził dla matek i żon ułatwienia w głosowaniu, aby skrócić ich mitręgę, albo też popierał program lidera łódzkich unionistów. Ale wybory w naszym kraju odbywają się stosunkowo rzadko i doprawdy nie mogą zagrozić procesowi wychowawczemu, toteż będę się konsekwentnie opowiadał za prawami wyborczymi kobiet. Choćby dlatego, że niekoniecznie głosują one na mężczyzn przystojnych — szef Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej p. Aleksander Kwaśniewski, nie jest ani brzydki, ani garbaty, na pewno może się podobać kobietom, a jednak w wyborach do Sejmu nie przeszedł, do czego właśnie w niemałym stopniu przyczyniły się polskie matrony.

Fałszywie brzmi także kolejne stwierdzenie p. **Edwarda Kuteli**:

„Jako liberałowie nie mamy jednocześnie nic przeciwko temu, żeby wyjątkowe indywidualności wśród kobiet interesowały się polityką, a nawet zostawały premierami i prezydentami, o ile wykażą się takimi predyspozycjami jak pani Thatcher".

O ile wydedukowałem z tych wowodów p. **E. Kutela** gotów jest przyznać wybitnym kobietom bierne prawo wyborcze, wątpię jednak, czy pani premier Wielkiej Brytanii odbierze to jako komplement. Aby włączać go w grę polityczną, organizować stronnictwa i zwyciężać, trzeba posiadać pełnię praw. W przeciwnym razie wybitne kobiety się nie pojawią. Chyba że ktoś urodzi się **Elżbieta Wielką** (angielską) albo **Katarzyną II** (rosyjską). Ale wolnych stanowisk królewskich jest we współczesnym świecie bardzo mało, a absolutyzm, choćby oświecony, nie jest w modzie.

O ile mogę się zorientować z zamieszczonego w **„Expressie"** zdjęcia p. **E. Kutela** jest przystojnym mężczyzną, ma więc wszystkie zalety polityka, który może się podobać kobietom. Gotów jednak jestem pójść o zakład, że jeśli p. **E. Kutela** zdecyduje się ubiegać o mandat w najbliższych wyborach samorządowych, przepadnie z kretesem za sprawą kobiet, jeśli tylko na spotkaniach z wyborcami ujawni, jak chce je urządzić. Trzy zdeklarowane sympatyczki jego partii (p. E. Kutela mówi w języku nowomowy „zadeklarowane") to trochę za mało, aby wyciągać stąd wnioski o kondycji umysłowej wszystkich kobiet.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Rys. Sławomir Łuczyński

Malowany Ernani

JANUSZ JANYST

Dyrektor Sławomir Pietras w przedziwny sposób połączył ostatnio reklamowanie reprezentowanej przez siebie placówki (myślę choćby o **„Warsztatach operowych"**) z... antyreklamą. Jego poprzedzająca najnowszą premierę telewizyjna wypowiedź, podczas której brzydko wyraził się o wszystkich, mających inny niż on sam pogląd na etykę artysty w okresie stanu wojennego, wywołała wśród wielu łodzian niesmak. Wyjaśnijmy, że była to swoista forma „dowartościowania" obecnego wspólnika w działalności menedżerskiej, **Kazimierza Kowalskiego**, intensywnie współpracującego w „tamtych latach" z telewizją.

Na szczęście, dla zwróconego ku wartościom estetycznym miłośnika sztuki zarówno reklama, jak i antyreklama, nie muszą mieć zasadniczego znaczenia. Na premierze **„Ernaniego"** — opery wcześniej zupełnie u nas nie znanej — frekwencja była więc bardzo dobra (24 i 25.02.). Atoli już po I akcie niektórzy, zniechęceni widać statycznością scen i monotonią akcji przedstawionej w oryginalnej, włoskiej wersji językowej, po prostu poszli do domu.

„Ernani" jest kolejną, eksportową pozycją repertuarową łódzkiego Teatru Wielkiego. Stąd język włoski. Warto przypomnieć, że libretto, oparte na dramacie **Victora Hugo**, opracował poeta **Francesco Piave**. Opera ta należy do wczesnych dzieł **Verdiego** (premiera: 1844 r.). Była pierwszą realizacją zamówienia spoza La Scali i stanowiła przełom w zainteresowaniach kompozytora. Oznaczało to przejście od „opery mas" do „opery postaci", a więc w stronę pewnej kameralności i wzmocnienia indywidualizmu. Zasadniczy konflikt — upraszczając — można sprowadzić do schematu „ich trzech i ona jedna". Sądzę wszakże, iż mimo komplikacji psychologicznych, głównym elementem skupiającym uwagę odbiorców przedstawienia stała się muzyka. Dyrygent **Jose Maria Florencio Junior** najpierw ponoć przez pół roku po 4—5 godzin dziennie pracował nad partyturą i dało to wyraźne efekty. Dramaturgia formy jest przejrzysta, „wejścia" — dokładne, orkiestra brzmi precyzyjnie i jędrnie. Tylko niektóre sceny z chórem męskim (akty I, III) świadczą, że śpiewający panowie nie obrali chyba tym razem „programu maksimum". A soliści? Wspomnę o pierwszoplanowych. W roli Elwiry: **Krystyna Rorbach** — sopran, pełen dramatyzmu, wzorowy w koloraturze. Powinien wzmocnić dół skali i złagodzić „góry". **Hanna Zdunek** — szczególnie ładna średnica, wysokie tony często z przydźwiękiem, troszkę mniejsza biegłość koloraturowa. W partii Ernaniego: **Sylwester Kostecki** — jak zwykle bardzo muzykalny, lecz to tenor trochę nazbyt delikatny i ciągle jeszcze matowy. **Zygmunt Zając** — głos nośny, bardziej „Verdiowski", lecz ustępujący tamtemu elastycznością. Jako Don Carlos: **świetne barytony Zenona Kowalskiego i Zbigniewa Maciasa** (drugi z większym blaskiem, całkowicie wyrównany barwowo). De Silva, czyli **Romuald Tesarowicz i Piotr Nowacki** — znakomite, renomowane basy.

Niewątpliwym atutem łódzkiej realizacji „Ernaniego" jest, symbolicznie skądinąd potraktowana, scenografia **Ryszarda Kai** (interesujący np. efekt złota, czerni i czerwieni w akcie IV). Szczególnie udały się kostiumy — bogate, wytworne, urozmaicone. Uszyto ich podobno 326, a każdy inny. Szkoda tylko, że strój tytułowego bohatera mało ma cech zbójeckich, zaś w szpadach wojaków rozpozna każdy sportowe szable i tzw. francuskie florety kupione w domu towarowym.

Reżyseria **Jose Luisa Pereza** — w założeniu „malarska", w rezultacie — niezbyt przekonująca, niewiele mająca wspólnego z romantycznym dramatem namiętności, mało w ogóle daje wykonawcom okazji do popisu aktorskiego. Akcja sprowadzona została do następujących po sobie „żywych obrazów", traktowanych jako imaginacja obecnego przez cały opodal sceny — mistrza pędzla, utrwalającego kolejne zdarzenia na płótnie. Ostatni obraz odbiega notabene od literackiego pierwowzoru.

W sumie spektakl „broni się" głównie muzyką. Jak będzie za granicą? Czy znów usłyszymy o oszałamiającym sukcesie (niewykluczone że dumpingowego) tournee?

G. Verdi: Ernani. Kierownictwo muzyczne — Jose Maria Florencio Junior, reżyseria — Jose Luis Perez, scenografia i kostiumy — Ryszard Kaja, kierownictwo chóru — Lajla Zaborowska. Premiera w łódzkim Teatrze Wielkim 24.02. 1990 r.

Krystyna Rorbach — Elwira i Sylwester Kostecki — Ernani
Foto: Chwalisław Zieliński

Nareszcie coś dobrego

Alan Parker należy bez wątpienia do najbardziej interesujących reżyserów współczesnego kina. Więcej: może być uznany za rodzaj precyzyjnego przyrządu rejestrującego jego aktualną kondycję. Parker znajduje się mniej więcej w równej odległości od wytwórców masowej konfekcji w rodzaju „Rambo" — z jednej strony i przedstawicieli awangardy oraz wymierającego gatunku wielkich samotników pogrążonych we własnych obsesjach — ze strony drugiej. Podejmuje się różnych tematów, stara się je opowiadać atrakcyjnie, ale nie rezygnuje z ambicji; dba aby jego filmy niosły coś więcej niż wynika z fabuły, dużą wagę przykłada do kreowania filmowymi środkami w miarę oryginalnej wizji świata. „W miarę", bo jednak trudno do końca rozstrzygnąć, czy wizja ta jest rzeczywiście oryginalna — a tym bardziej autentyczna — czy wynika raczej tylko z inteligencji i umiejętności chłodnego znalezienia niebanalnych rozwiązań.

Znane u nas z kaset i kin **„Ptasiek"** i **„Harry Angel"** wydają się potwierdzać ten szkicowy wizerunek typowego współczesnego filmowca na dobrym poziomie. Najnowszy — i już słynny — film Parkera, **„Płonące Missisipi"** nie tylko ugruntowuje opinię reżysera, ale świadczy także o jego rozwoju. Tym razem tematem jest rasizm, a mówiąc dokładniej: początki walki z nim w południowych stanach USA. Z serialu telewizyjnego o Hooverze i klanie Kennedych wiemy, że kampania ta rozpoczęła się na dobre za kadencji prezydenta **J.F. Kennedy'ego** i jego młodej, inteligenckiej ekipy. Znamy też mniej więcej jej dzieje, słyszeliśmy o roli Ku-Klux-Klanu.

Do niewielkiego miasta w stanie Missisipi — już za czasów prezydenta Johnsona — przyjeżdża dwóch agentów FBI, aby rozwikłać sprawę zaginięcia trzech młodych ludzi, o których wiadomo, że byli działaczami ruchu na rzecz równouprawnienia Murzynów. Jeden z agentów jest inteligentem z Północy i ma tendencję do kierowania się abstrakcyjnymi schematami, drugi zaś wywodzi się stąd — z Południa — i jego mentalność bardziej odpowiada praktycznej wiedzy o ludziach, obaj jednak starają się być maksymalnie uczciwi i jak najlepiej wykonać zadanie. Tymczasem zadanie rozrasta się na wszystkie strony i wymaga podjęcia otwartej walki z miejscowym establishmentem, a także nawiązania kontaktów z kolorową społecznością, stawia wreszcie dylematy natury moralnej, angażuje ambicję, a nawet uczucia.

Parker wydaje się dbać przede wszystkim o utrzymanie opowieści w konwencji sensacyjnej i stronić od jakichkolwiek ogólniejszych rozważań. Ale — nie odrywając się od konkretów i cały czas trzymając w napięciu — niejako pozwala, aby film stał się czymś więcej niż tylko relacją z jednej, mającej zresztą rzeczywisty pierwowzór, akcji. „Płonące Missisipi" bowiem to także precyzyjna analiza walki w ogóle, a przede wszystkim traktat o wprowadzaniu nowego; kiedykolwiek i gdziekolwiek. Nowego, które zawsze toruje sobie drogę za pośrednictwem jednostek wśród niechętnej, a w najlepszym razie obojętnej większości, które wymaga ofiar, często zupełnie niewinnych, które co krok stoi na krawędzi klęski, chociaż w efekcie musi zwyciężyć i które definitywnie zmienia ludzi wikłając ich w nowe problemy i sytuacje. Które wreszcie w życiu nigdy nie wygląda tak pięknie i czysto jak na papierze, albo w słowach, ale dopiero kiedy wniknie w życie, staje się czymś naprawdę istotnym i wartościowym... O tym wszystkim opowiada „Płonące Missisipi" i na tym polega jego klasa.

Zasługą Parkera jest też — zgodnie z najlepszą tradycją kina amerykańskiego — perfekcyjny warsztat i doskonałe aktorstwo. Czasami nachodzi człowieka myśl, że to właśnie ten warsztat i to aktorstwo „robią" film, jakby poza reżyserem. Ale to, oczywiście, tylko złudzenie, chociaż... Czasem tęsknimy za czasami, kiedy miało się wrażenie, że taśma przechodzi bezpośrednio przez mózg wybitnego twórcy, tymczasem należy powoli przyzwyczajać się do reżysera-fachowca, który przepuszcza ją przez najnowszej generacji komputer.

RYSZARD NAKONIECZNY

PŁONĄCE MISSISIPI, reż. Alan Parker, zdj. Peter Biziou, muz. Trevor Jones, scen. Curis Gerolmo, aktorzy: Gene Hackman, Willem Datoe, Frances Mc Dormand.

JERZY BOŃCZAK: — CZUJĘ SIĘ ZAGUBIONY!

Czym dla aktora jest konkurencja?

— Jak się żyje aktorom w tych ciężkich czasach?

— W ogóle się nie żyje...

— Dlaczego?

— Jest bardzo mało pracy, a aktor żyje tylko wtedy, kiedy pracuje.

— Tak trudno znaleźć jakieś zajęcie?

— Dawniej aktor miał tylko pół godziny wolnego czasu na przejazd między jedną pracą a drugą.

— Czyli do aktorów dotarło już bezrobocie.

— Tak i dotyczy to wszystkich, nawet tych z „nazwiskami" o dużej popularności. Oczywiście wszystko może się zmienić za trzy miesiące, pół roku.

— A jeśli się nie zmieni?

— To może zaistnieć taka sytuacja jak na Zachodzie, że aktorzy zostaną zmuszeni do poszukania sobie drugiej profesji. Będą pracowali np. jako kelnerzy i czekali na propozycje aktorskie. Miałem niedawno do czynienia z kompanią francuską, która przygotowywała w Polsce przedstawienie. Każdy z tych aktorów wykonywał inny zawód. Dziewczyna była barmanką, chłopak trenerem pływackim, a tylko jedna starsza aktorka miała stały etat w teatrze. Może i my będziemy musieli podjąć takie decyzje?

— Jaki wybrałby pan zawód?

— Drugi zawód, który mnie interesuje, także trudno byłoby mi uprawiać w tej sytuacji gospodarczej. Bardzo lubię jeździć samochodem, więc zostałbym taksówkarzem.

— Myślę, że panu jednak to nie grozi. Chociażby dlatego, iż występuje pan w pewnym popularnym serialu radiowym i tam zawsze znajdzie pan pracę...

— No tak, ale to nie będzie przeszkadzało w wykonywaniu zawodu kierowcy. „Matysiaków" nagrywamy w ciągu godziny i potem mam cały dzień wolny...

— Jak się pan czuje w tej nowej sytuacji?

— Czuję się bardzo zagubiony. Jestem typem człowieka, który żyje bardzo intensywnie. Muszę robić trzy rzeczy naraz, żeby wszystkie trzy wyszły mi dobrze.

— Teraz chyba zwiększyła się konkurencja?

— Nie, bo jeśli się nic nie robi, to nie ma z kim konkurować. Myślę, że ta konkurencja, o której my aktorzy zawsze marzyliśmy, dopiero powstanie.

— Jednak najpierw ludzie muszą chcieć chodzić do teatru.

— Wtedy, gdy uregulują się sprawy gospodarcze, wyjaśni się sytuacja kultury.

— Słyszałam, że ma pan pomysł na złagodzenie kryzysu finansowego teatru...

— Zapewne nie będę oryginalny. Znam kilku dobrze sytuowanych menadżerów, którzy chętnie wydaliby parę milionów na realizację jakiegoś spektaklu czy programu rozrywkowego. Jednak pod warunkiem, że pieniądze te nie zostaną opodatkowane. Jeśli bowiem wykładają pewną sumę na rzecz niedochodową i nie jest ona zwolniona od podatku, to mija się to z celem.

— Aktorzy ofiarnie włączyli się w akcję „Artyści dla Rzeczpospolitej". Jak pan to ocenia?

— Bardzo dobrze. Sam byłem mocno zaangażowany w tę akcję. Występowałem w pierwszym koncercie „Wigilie polskie", potem podczas balu sylwestrowego zbierałem pieniądze (co było bardzo męczące), wreszcie obsługiwałem koncert galowy w Filharmonii Narodowej.

— Niektóre formy tej akcji budzą mieszane uczucia. Chodzi mi o wypowiedzi aktorów wygłaszane po zakończeniu „Wiadomości".

— Każda przesada, w którąkolwiek stronę jest złem. Nastąpiło tutaj „przegięcie". Za dużo tego było. Tym bardziej, że wiele osób nie miało nic ciekawego do powiedzenia.

— I każdy powinien robić to, co najlepiej potrafi...

— Tak. Uważam, że aktorzy nie powinni specjalnie zajmować się polityką. Tego rodzaju wypowiedzi w TV są polityką. Natomiast występowanie w koncercie na rzecz jest już pracą zawodową. Oczywiście ma to podkład polityczny, ale innego wymiaru.

— Do tej akcji zgłosili się i ci, którzy ze względu na swoją wcześniejszą postawę nie powinni chyba tego robić...

— Nie komentuję tego!

— A gdyby to od pana zależało, dopuściłby pan ich do takiej zbiórki pieniędzy czy koncertu?

— Nie wiem. Dziwi mnie, a niekiedy wręcz śmieszy umiejętność „przystosowywania się" niektórych moich kolegów do nowych warunków.

— Czego życzyłby pan sobie w tych ciężkich czasach?

— A czego by mi pani życzyła?

— Dużo pracy!

— Dziękuję!

Rozmawiała: ANNA GRONCZEWSKA

Iwaszkiewicz

(W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ

Jest taka książka **Jarosława Iwaszkiewicza „Podróże do Polski"**, wydana w roku 1977. Znajduje się w niej opowiadanie pt. **„Dolina Moszczenicy"**, traktujące o okolicach Łodzi, o pierwszej pieszej wyprawie młodego wówczas poety z Byszew, gdzie przebywał w r. 1911, do fabrycznego miasta Jak trudny jest „łódzki temat", dowodzą tego Iwaszkiewiczowskie zdania w rodzaju: „Kiedy zbliżyliśmy się do miasta, zaczęliśmy rozpoznawać jego koszmarne szczegóły" czy „Był to widok piekielny". Nie o tym chcę jednak mówić. Byszewy zapisały się w specjalny sposób w pamięci Iwaszkiewicza, skoro wrócił do tego wątku w „Podróżach do Polski", bo przecież kilka lat wcześniej, w **„Książce moich wspomnień"** (1968) poświęcił tej miejscowości oddzielny rozdział pt. „Strona Byszew". Czym były dla niego owe mało znane Byszewy (mało znane nawet łodziamom)? Iwaszkiewicz pisze:

„Ze wszystkich ludzi i domów, jakie spotkałem w młodości, najważniejszym stał się dla mnie dom w Byszewach, toteż najdłuższy z nim utrzymałem kontakt. Znaczenie jego dla mnie polegało przede wszystkim na tym, że otwierał on przede mną nie znany mi zupełnie świat ziemiańskiego życia, poza tym był on drogą do zaznajomienia się z terenem, na jakim później musiałem żyć i pracować.

Trudno sobie wyobrazić, i nawet ja sam nie potrafię dokładnie zdać sobie z tego sprawy, jak bardzo inny wydał mi się świat, jaki zastałem w Byszewach, od tego wszystkiego, do czego byłem dotychczas przyzwyczajony."

Dopowiedzmy tutaj, że, mówiąc słowami autora, były to „krainy polskie", które dopiero poznawał jako uczeń kijowskiego gimnazjum. A stało się tak za sprawą jego szkolnego kolegi, **Józefa Świerczyńskiego:**

„Zupełnie nieoczekiwanie zaproponował mi podczas owoczesnych wiosennych egzaminów z siódmej do ósmej klasy, abym wyjechał w charakterze korepetytora jego braci razem z nim do majątku jego wuja, w Piotrkowskie. Wahałem się początkowo, gdyż pani Świerczyńska, mająca do wychowania i wykształcenia sześciu synów, mogła mi ofiarować za moją pracę niezwykle skromne honorarium. Ale wreszcie zgodziłem się i wyruszyliśmy razem z Józkiem w tę długą podróż, która mi się wydała egzotyczną wyprawą."

* * *

Jadę do Byszew, a moja podróż jest znacznie krótsza i mniej urozmaicona. Jedyne zaskoczenie to wiosenna aura w lutym i mijane kępy drzew, które zaczynają się zielenić. Ale czy jedyne? Parę kilometrów za Nowosolną płaski, monotonny, jałowy krajobraz nagle się zmienia i ożywia. Pojawiają się pagórki porośnięte lasami, w dolinach groble i pobłyskujące lustra stawów. Kiedy skręcamy w stronę dworu, spostrzegam wiekowe dęby, buki i graby oznakowane jako pomniki przyrody. Teraz nie dziwię się, że wszystko to mogło podziałać na wyobraźnię przyszłego autora „Podróży do Polski".

Dwór (czy jak mówią ludzie miejscowi — pałacyk, bo ma kolumny) jest nieduży, ale dobrze utrzymany. Później dowiem się, że został odrestaurowany właśnie z inicjatywy Iwaszkiewicza, a za staraniem pani **Jadwigi Żeromińskiej**, mieszkanki Byszew, która znała się dobrze z pisarzem. Prace odbywały się pod nadzorem łódzkiego konserwatora zabytków, szły opornie, z przerwami — z powodu braku funduszów. Iwaszkiewicz miał przyjechać na otwarcie odnowionego dworu, ale kiedy to wreszcie nastąpiło — pisarz już nie żył.

Dyrektora nie zastaję, rozmawiam wiele z pracownikami byłego PGR, panami: **Stanisławem Wąsowskim, Bolesławem Skibińskim, Jerzym Nowackim i Józefem Kurzejamskim** oraz ze świetliczanką a zarazem bibliotekarką, panią **Grażyną Formą**. Dowiaduję się, że obecna nazwa gospodarstwa, obejmującego 442 hektary, brzmi: Państwowe Przedsiębiorstwo Rolno-Przemysłowe w Łodzi — Zakład Byszewy. Gospodarstwo zajmuje się przede wszystkim hodowlą bydła i produkcją roślinną, w znacznej mierze przeznaczoną na paszę. Boryka się z różnymi trudnościami, a zwłaszcza z niedoborem pracowników. Pobudowano trzy nieduże bloki mieszkalne, ale bez urządzeń sanitarnych, bez wody Dwa następne są od paru lat w trakcie budowy, choć już z konieczności zamieszkane. Część starszych pracowników przeszła na emeryturę i dalej mieszka tu z rodzinami, a dla nowych mieszkań brak.

Pytam moich rozmówców, co wiedzą o Jarosławie Iwaszkiewiczu? Ano wiedzą, że bywał tu dawnymi laty i opisał to w swoich książkach, ale w których, nie potrafią odpowiedzieć. Był też tutaj jeden raz w latach siedemdziesiątych. Coś więcej na ten temat mógłby powiedzieć **Franciszek Szubert**, który mieszka tu niedaleko. No i łódzki dziennikarz **Aleksander Batorowicz**, ale on już nie żyje. Opowiadał, że jego ojciec był ekonomem u dziedzica, a on sam urodził się w tym dworze. Podobno Iwaszkiewicz woził go jako dzieciaka w wózku. Batorowicz był redaktorem „Głosu Robotniczego", na początku stanu wojennego został zwolniony z pracy, wkrótce potem zmarł. Miał wtedy 55 lat.

No a tablica pamiątkowa i izba pamięci, o których pisała kiedyś łódzka prasa? Prasa pisała, ale ani jednej, ani drugiej nie ma. Ktoś musiałby się tym zająć. Owszem, zgromadzono trochę pamiątek po Iwaszkiewiczu w pomieszczeniu na górze, ale później to pomieszczenie musiano oddać nowemu pracownikowi. Zaglądają tu czasem turyści, a latem, kiedy odbywają się rajdy, zachodzi często młodzież szkolna. Oglądają dwór, szukają starego młyna, który Iwaszkiewicz opisał. Ale niczego więcej się nie dowiadują. Może byłoby inaczej, gdyby mieli jakieś środki pieniężne, gdyby nie musieli odprowadzać większości swoich dochodów do centrali w Łodzi. Wtedy zajęliby się i tablicą, i pamiątkami. No, może przy pomocy Urzędu Gminy w Nowosolnej. Iwaszkiewicz na to zasługuje, bo przecież dwór szedł w ruinę, nikt o niego nie dbał. Gdyby nie on, ten pałacyk całkiem by się rozleciał.

* * *

Chałupa jest stara, stoi w polu. Podwórze zagracone, leżą na nim sterty zużytych opon. Franciszek Szubert pali właśnie w kanonce ich pociętymi kawałkami. Odór niesamowity, ale przecież tylko od tego człowieka mogę usłyszeć coś o dawnych właścicielach dworu, o których tyle pisze Iwaszkiewicz.

— No, pamiętam, pamiętam jeszcze czasy, kiedy stary Plichta żył. My mieszkaliśmy najpierw na Plichtowie, to znaczy we wsi Plichtów a później kupiliśmy od dziedziców dwie morgi ziemi i zbudowaliśmy tę chałupę, a ja zacząłem robić w majątku, w Byszewach.

— A czym pan się zajmował?

— Jak to było wpierw: widły, szpadel, no i gotowe. Gnój, no i to cały interes. Stary Plichta zajmował się majątkiem, ale był też sędzią tu niedaleko w Lipinach. Słyszałem, że ożenił się już w starszym wieku. Wziął sobie za żonę, jak to wtedy nazywano, bonę Miał z nią pięcioro dzieci, z tym najstarszym, Jędrkiem, to się nawet kolegowałem, chodziliśmy razem, jak to chłopaki. Później oni poszli do szkół, stary Plichta umarł, a za rządcę był Michalak. Kupił

PESTKI DYNI

Gdyby prorok Mahomet nie lubił kobiet, erotyczna kultura islamu wyglądałaby tak, jak powiedzmy chrześcijańska, czyli nijak; współżycie cielesne obciążone byłoby przejmującym piętnem grzechu, obwarowane zakazami i nakazami.

Na całe szczęście Mahomet gustował w kobietach. Więcej — „żywił namiętną skłonność do płci niewieściej", i nie tracił żadnej okazji, by sobie w swym sześćdziesięcioletnim żywocie pofolgować. Nie jest nawet ostatecznie znana prawdziwa liczba jego oficjalnych żon: jedne źródła mówią, że miał ich 15, inne — 20, a jeszcze inne wymieniają aż 25 dam...

— Dobrze mieć takiego proroka!

Jeśli się o tym wszystkim wie, zrozumiała staje się swoboda, jaką „Koran" pozostawił w kwestiach seksu mężczyznom i niewiastom.

Zalecane przez Koran normy życia małżeńskiego cechuje praktycyzm, umiarkowanie i względna tolerancja, wynikająca z założenia, że współżycie seksualne jest naturalną potrzebą człowieka, daje radość i szczęście".

Otóż to!

A o tym, „że najwyższe szczęście upatrywał Mahomet w rozkoszach zmysłowych, świadczy jego wizja raju".

„Odziani we wspaniałe szaty ozdobione klejnotami, mieszkańcy raju ucztują bez nasycenia, piją bez upojenia, a każdemu usługuje sto sług, podając wyśmienite potrawy i napoje. Partnerkami rozkoszy miłosnych muzułmanina w raju oprócz żon, które miał na ziemi, a które połączą się z nim odzyskawszy dziewicze wdzięki, będą huryski, istoty wiecznie piękne, posiadające dar odnawiania swojej dziewiczości. Każdy prawowierny będzie miał w swoim rajskim haremie siedemdziesiąt dwie huryski. Stosunki z nimi będą owocne lub bezowocne, zależnie od jego woli, a potomkowie dorastać będą w ciągu godziny. Gdyby ktoś miał wątpliwości, jak sprosta takiemu nadmiarowi szczęścia, niech wyzbędzie się obaw. Mężczyźni zmartwychwstawać będą w sile wieku, w trzydziestym roku życia, i będą tak silni, że w niczym nie doznają przesytu".

Bardzo sympatyczna jest ta wizja raju. A czemu o tym piszę? Bo oto staraniem Krajowej Agencji Wydawniczej w Łodzi, w serii LITERATURA I EROS („różowej serii") ukazała się książka Sidi Mahommeda el Nefzaui „PACHNĄCY OGRÓD". Zasługuje ona — jak twierdzi tłumacz i autor wstępu, **Zdzisław Wróbel**, wielki znawca tematu — na stałe miejsce na półkach erotycznej biblioteczki, między Kamasutrą" a „Dekameronem", obok Brantôme'a, Aretina i innych kronikarzy swawolnych obyczajów i chwalców zmysłowej rozkoszy.

Pięćdziesiąt czy nawet jeszcze dwadzieścia lat temu książka ta mogłaby szokować polskiego czytelnika sposobem traktowania tematu, zarezerwowanego wyłącznie dla medycznych podręczników i dyskretnych poradników dla dorastającej młodzieży. Dziś, po przetarciu drogi przez wznawiane w masowych nakładach współczesne poradniki sztuki miłosnej i seksu partnerskiego, dzieło arabskiego autora sprzed czterech wieków, będzie już tylko interesującą, chwilami zabawną, a niekiedy może także i podniecającą lekturą — dodaje Zdzisław Wróbel.

A czym jest ów „pachnący ogród"?

To ciało kobiety, ze wszystkimi ukrytymi w nim i odsłoniętymi źródłami zmysłowej rozkoszy. Bo w „Koranie" jest napisane: „Wasze żony są to wasze pola, uprawiajcie je, ilekroć wam podobać się będzie".

Polecam z czystym erotycznym sumieniem książkę Sidi Mohammeda Nefzaui. Znakomita to lektura i świetna zabawa. „Odgłosy" drukowały swojego czasu jej fragmenty. Żałować należy tylko, że nie została ona wzbogacona oryginalnymi ilustracjami z epoki.

ANDRZEJ GRUN

W dziewięć kręgów dookoła świata

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Kiedy profesor semiologii czy też historii sztuki chwyta za pióro, by napisać powieść, można wietrzyć sensację i zakładać się, że otrzymamy dzieło na miarę co najmniej „Imienia róży". A powieść Umberto Eco, tak głęboko wpisana już w kulturę europejską, jest wszak znakomitym przykładem literatury akademickiej, uprawianej przez ludzi parających się na co dzień nie twórczością poetycką czy krytyką, lecz skomplikowanymi dociekaniami naukowymi, stanowiącymi nawet dla tak zwanych elit intelektualnych niejaką tajemnicę. Powiada się, że literatura taka nie wypływa z natchnienia, lecz jest efektem wieloletnich niejednokrotnie przemyśleń i studiów, że powstaje z namysłem, według określonego planu, w laboratorium analityka, a nie w salonach czy kawiarniach zaludnionych przez nawiedzoną bohemę (gdzie dziś zresztą te kawiarnie? I gdzie bohema?). Jeśli istotnie istnieje coś takiego, jak pisarstwo akademickie, to wypada się zgodzić, iż nie jest to literatura masowa w tym sensie, że nie sięgnie po nią czytelnik nie wyrobiony. Prawie nigdy jednak nie jest to także literatura bezwartościowa, i znawcom, czytelniczym smakoszom dostarcza zmysłowej przyjemności (plaisir du tex Barthesa), zaś dorastającej „młodzieży" i skuszonym powagą książki ryzykantom pozbawionym estetycznego doświadczenia zapewnia możliwość obcowania z pozycją prezentującą zwykle niebagatelne walory poznawcze. W tym kontekście oba powyższe stwierdzenia odnieść można z powodzeniem do wydanej właśnie powieści **Mieczysława Porębskiego „Z."**.

Jest to książka na naszym rynku niezwykła o tyle, że zarazem mądra, nowoczesna i interesująca. Zostawiając jakby w myśl założeń wspomnianego wcześniej Umberto Eco znaczną swobodę czytelnikowi, Porębski przyjmuje rolę kogoś w rodzaju przewodnika „wycieczki", prowadzącego nas — mówiąc bez ogródek — przez historię świata kultury śródziemnomorskiej, umożliwiając jednakże uczestnikom podróży wybór miejsc i epok, w których chciałby zabawić dłużej, zagłębić się w tradycję i dorobek minionych wieków. Powstała zatem jeszcze jedna gra z czytelnikiem, gra, której reguły ustala wprawdzie autor, ale na tym tylko poprzestaje — podjęcie wyzwania należy już do czytelnika, on dokonuje wyboru jednego z kilku kodów, zaproponowanych przez pisarza, aktywnie uczestnicząc w procesie czytania/pisania. W przeciwnym razie, to jest wówczas, kiedy czytelnik reguły gry odrzuca, tekst staje się dla niego martwy, pozostaje zamkniętym Sezamem, kryjącym zazdrośnie swe skarby w postaci intelektualnych i estetycznych zagadek.

A zagadek w „Z" jest mnóstwo nieprzebrane; całe właściwie powieść to jedna wielka zagadka, wielki rebus językowy, erudycyjna szarada, tak wciąż jeszcze modna i chętnie „w wielkim świecie" wykorzystywana. W jednym utworze spotykają się z sobą Dante i Vico, Biblia i Villon, Mickiewicz, Słowacki i Pasek, Gombrowicz i Witkacy, katarowie i bogomili, rycerze Okrągłego Stołu, cesarzowa Teodora i cesarzowa dziwka. Ta podróż w przestrzeni i czasie, eklektyczna wszak ze swej natury, przebiega (co niełatwe) bezpretensjonalnie — może z wyjątkiem niektórych partii powieści, rozgrywających się współcześnie, w nazbyt chyba szkolny sposób podanych, choć autor wydaje się zdawać sobie z tego sprawę, w wielu bowiem miejscach powieści czyni z owej belferskiej warstwy utworu silną i przekonującą broń literacką, porażającą wręcz swą skutecznością i prostotą. Wynika to w dużej mierze z ogromnej wiedzy autora, budzącej niekłamany szacunek i podziw, z nietuzinkowych umiejętności podania uniwersyteckiego w swym rozmachu materiału, którego częściowe przynajmniej opanowanie należy do podstawowych obowiązków każdego humanisty. Wreszcie, co tak rzadkie obecnie, nietrudno zauważyć, że pisanie sprawia Porębskiemu ogromną radość — autor nie spełnia tu żadnego obowiązku, posłannictwa; nie tworzy „za karę". Warto również czytając tę książkę zwrócić uwagę na tworzący ją język, przebogaty, obfitujący w wyrażenia jak najniesłuszniej przez purystów z polszczyzny wyrugowane, na subtelną stylizację, kreującą wraz z niewyczerpanym leksykonem przeszłości istny językowy skansen, mający, jak się wydaje, szanse przetrwania jedynie w literaturze. Dziesięć lat temu byłaby to w Polsce książka genialna; ale... oddajmy na moment głos pisarzowi:

„Nie silę się na oryginalność, cytuję, bo mnie to bawi, znane i cenione dziś chwyty, szkatułkową narrację, dialogowość, rozdwajanie i tak już zwielokrotnionego bohatera, itd, itd."

I dlatego nie jest to książka genialna (z całym szacunkiem: pamiętajmy, że arcydzieła zdarzają się rzadziej niż wojny). Brak jej do miana nieśmiertelnego dwóch rzeczy — pierwszeństwa w porządku czasowym i odrobiny szaleństwa boskiego, skrajności. Dlatego „Z." czytamy na siedząco, nie na klęczkach, co nie przeszkadza upajać się lekturą. A to już wiele, słyszałem bowiem, że ktoś nakręcił ostatnio „Dekalog", którego nie sposób było oglądać bez potężnej dawki opiatów.

Mieczysław Porębski — „Z.", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1989, wyd. I, nakład 20 000 egz.

Świadectwa prawdy

Już na wiele lat przed **Aleksandrem Sołżenicynem** i jego **„Archipelagiem GUŁag"** polscy piłkarze przekazywali milionom czytelników prawdę o systemie łagrów — pisze Adam Frych z PAP. — Początków polskiej literatury łagrowej szukać należy już w dwudziestoleciu międzywojennym, m.in w opowiadaniach **Stanisława Małaczewskiego** ze zbioru **„Koń na wzgórzu"**, a zwłaszcza w książce **Franciszka Olechnowicza — „Prawda o Sowietach"**, opatrzonej podtytułem **„Wrażenia z 7-letniego pobytu w więzieniach sowieckich w latach 1927/1933"** wydanej w 1937 r., będącej dokumentem swoich czasów, opisem życia w łagrach.

W 1940 r. wydana została w Paryżu książka **Józefa Growskiego** pt **„ZSRR. Notatki ze wspomnień"**. Pod tym pseudonimem ukrył się **Wacław Grzybowski**, ostatni ambasador Rzeczypospolitej w ZSRR Dwa lata później ukazały się **„Dzieje rodziny Korzeniewskich" Melchiora Wańkowicza**, a w 1944 — **„Wspomnienia starobielskie" Józefa Czapskiego.** Wspomnienia, listy, reportaże ukazywały się przez cały czas wojny w prasie emigracyjnej, choć ich ilość hamowały naciski aliantów i rodzimej cenzury, aby „nie drażnić" wspólnego sojusznika.

Dopiero po zakończeniu wojny znowu pojawiły się wydawnictwa książkowe, m.in. w 1946 r. pamiętniki znanej poetki **Beaty Obertyńskiej „Z domu niewoli"**, w 1947 r. — tom wspomnień krytyka i popularnego autora sztuk scenicznych **Wacława Grubińskiego „Między młotem a sierpem"**. O łagrach pisał dziennikarz i pisarz **Anatol Krachowiecki w „Książce o Kołymie"**, pisarka i poetka **Herminia Naglerowa — „Kazachstańskie noce"**, poeta **Marian Czuchnowski** w powieści **„Tyfus a teraz słowiki"** i ponownie **Józef Czapski** w tomie **„Na nieludzkiej ziemi"**. W latach 50. ukazał się **„Inny świat" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego**, ze wstępem **Bertranda Russela**, przetłumaczony na kilkadziesiąt języków; dalej **„Wspomnienia z Kazachstanu" ks. Władysława Bukowińskiego, „Wspomnienia, przyczynki, refleksje" Jana Hoppego**, opowieść **Urszuli Muskus** w tomie **„Długi most. Moje przeżycia w Związku Sowieckim 1939—1956"**, antologia różnych tekstów **„Polacy w ZSRR"** w oprac. **Marii Czapskiej** i zbiór dokumentalno-literacki **Jana T. Grossa i Jadwigi Grudzińskiej-Gross** pt. **„W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali. Polska i Rosja 1939—1941"**.

Literaturę łagrową wzbogaca wreszcie ostatni nurt publikacji krajowych.

M. B.

pod Łodzią

ŚMIERCI PISARZA)

— No, tego to ja nie wiem, to było dawno temu Ale słyszałem, że przyjechał tu do Byszew, kiedy kręcili film o nim Był już stary i chory, podobno z nim nawet doktór przyjechał. Tak ludzie z majątku mówili Mówili też, że wspominał drogę do Byszew i stawy, i stary młyn, który tu był kiedyś no i rzekę Moszczenicę Widzi pan te olszyny? Ona tam płynie, jakieś trzysta metrów stąd.

• • •

W drodze powrotnej zatrzymuję się w Nowosolnej. Odwiedzam Gminna Bibliotekę, która zorganizowała mi w swoim czasie spotkanie z czytelnikami. Mam więc tu znajome panie — łatwiej zasięgnę języka. Trafiam szczęśliwie, bo zastaję również instruktorkę Miejskiej Biblioteki w Łodzi, panią **Krystynę Piotrowską**. Na hasło: „Bryszewy — Iwaszkiewicz — dziesiąta rocznica śmierci pisarza" kierowniczka biblioteki, pani **Bożena Pudlarz** organizuje coś w rodzaju natychmiastowej konferencji. Zaprasza ze znajdującego się w tym samym budynku Urzędu Gminy jej sekretarza, panią **Zdzisławę Zalewską** i instruktorkę do spraw upowszechnienia kultury, panią **Weronikę Sych**. Radzimy nad tym, jak ruszyć sprawę tablicy pamiątkowej i izby pamięci.

A oto wnioski: pani Zalewska deklaruje gotowość wystąpienia na posiedzeniu GRN, przy okazji podziału nadwyżek, o pokrycie części kosztów tablicy bo ich środki finansowe są bardzo skromne. Byłoby dobrze, gdyby drugą część pokryło Państwowe Przedsiębiorstwo Rolno-Przemysłowe w Łodzi, do którego użytkownik dworu, Zakład Byszewy odprowadza swoje dochody. Izba pamięci? No, może nie od razu izba, ale jakiś kącik, który można by urządzić w świetlicy. W Byszewach ma powstać Gminny Ośrodek Kultury, trzeba tam będzie zatrudnić jakąś kompetentną osobę, która zajęłaby się urządzeniem tego kącika gromadzeniem pamiątek po pisarzu, opieką nad nimi oraz informowaniem o nich turystów i młodzieży szkolnej. I wreszcie głos pani Piotrowskiej: Miejska Biblioteka w Łodzi przekazała już do Byszew książki Iwaszkiewicza, w których pisze on o swoich związkach z tamtejszym dworem. Ale mogą służyć również fachową radą i określoną pomocą w zakresie gromadzenia i uporządkowania zbiorów.

• • •

Pisze Iwaszkiewicz:

„Elementy byszewskie: dwór z kolumnami, „źródła", łąki, rzeczka, młyn, panny z sąsiedztwa, bliskość dwóch dworów, rozsądny stary wujek, sobie od dziedziczki ziemię i gospodarował tu przez dłuższy czas Kiedy wybuchła wojna, majątek objął Niemiec Litmann się nazywał A po wyzwoleniu grunty zostały rozparcelowane każdy robotnik folwarczny dostał po pięć hektarów. Ale jak to dworscy ludzie, radzili sobie kiedy ktoś im rozkazywał: to wynieś, to przynieś to zrób, a tamto połóż — do tego zdolne. Ale żeby samodzielni byli, potrafili sami gospodarować to nie. No i pooddawali w końcu tę ziemię, przenieśli się do miasta A tu powstał PGR i tak jest do tej pory.

— A czy słyszał pan, że u Plichtów bywał pisarz, Jarosław Iwaszkiewicz?

młodzieńcza miłość, młodzieńcza przyjaźń — odnajdują się we wszystkim, co napisałem. A miejsce, do którego jestem tak przywiązany, o mało co nie stało się moją własnością w bardzo dziwacznych okolicznościach.

W czasie pierwszej wojny pan Plichta, „ostatni z rodu", ożenił się. Urodziła mu się kupa dzieci — oczywiście nie było już w byszewskim dworze miejsca dla siostrzeńców. Po wojnie Świerczyńscy rzadko bywali u wuja, rzadziej może ode mnie, ponieważ stałem się corocznym prawie gościem ulubionego przeze mnie domu. I oto w równe dwadzieścia lat po pierwszym moim przyjeździe, po tym wieczorze pachnącym bobem i łubinami, kiedyśmy stępa przemierzali zagajnik pomiędzy Rogowem a Brzezinami, a który tak urósł przez te lat dwadzieścia, ja — owoczesny „Ojciec Laurenty", z którego podśmiewano się mocno, ale którego też bardzo lubiano — pozostałem wezwany do łoża umierającego pana Plichty; miał on już tylko jedną prośbę do mnie: abym zaraz natychmiast, na poczekaniu, kupił od niego Byszewy. Scena była naprawdę tragiczna: pan Józef był już na pół przytomny, a jego żona z pięciorgiem drobnych dzieci sama nie wiedziała, co począć. Pomimo iż starałem się wytłumaczyć, że nie mogę tak od razu zgromadzić potrzebnej gotówki, że nie mam pojęcia o gospodarowaniu — a Byszewy, ostatnio bardzo zapuszczone, wymagały energicznej ręki — pomimo iż przedstawiałem, że nie mogę wykorzystywać w ten sposób chorego i nie orientującego się już w sprawach materialnych człowieka, który za bezcen oddaje mi rodzinny majątek — chciano wzywać natychmiast rejenta i spisywać akt sprzedaży.

Oczywiście do tego nie doszło. Byszewy stały się moją własnością naprawdę — to znaczy w literaturze."

TADEUSZ GICGIER

Kronika

Sesję historyczną pn. „Z dziejów łódzkiej AK" zorganizowało 27 lutego br Muzeum Historii Miasta Łodzi. Zaprezentowano na niej 4 referaty i 2 komunikaty. Działalność wywiadu AK w Okręgu Łódzkim omówiła Halina Szwarc Józef Stolarski poświęcił swoje wystąpienie łódzkiej prasie konspiracyjnej, zaś Jerzy Jędrzejewski scharakteryzował działalność legalizacyjną AK w Łódzkiem Mało znane fakty z rozpoznania przez AK sytuacji w getcie łódzkim zawierał bardzo ciekawy referat Romana Zygadlewicza. Wspomnieniami ze swych kontaktów z gen. Leopoldem Okulickim — pierwszym komendantem Okręgu Łódzkiego AK — podzielił się z uczestnikami sesji Jerzy Jędrzejewski Reminiscencjom z tamtych lat poświęcone było też wystąpienie Anieli Paluszkiewicz-Skrzyńskiej ◀ Koncertem Jubileuszowym w kościele ewangelickim, podczas którego wystąpi Orkiestra Symfoniczna i Chór FŁ pod batutą Henryka Czyża, zainaugurowane zostaną uroczystości 75-lecia Filharmonii Łódzkiej, nad którymi protektorat objęła minister kultury i sztuki Izabella Cywińska. Jubileuszowy koncert inauguracyjny uświetnią również soliści. Stefania Woytowicz (sopran), Marcin Budziński (tenor) i Zdzisław Klimek (baryton) ◀ W marcu br. przypada dziesiąta rocznica śmierci Jarosława Iwaszkiewicza. Znakomity pisarz był przez dłuższy czas związany z podłódzką miejscowością Byszewy, gdzie w latach 1911—1931 bywał częstym gościem właścicieli miejscowego dworu o czym obszernie pisze w „Książce moich wspomnień" oraz w „Podróżach do Polski" 2 marca br. została odsłonięta w Byszewach tablica pamiątkowa w hołdzie autorowi „Sławy i chwały". Tablicę tę ufundowała społeczność gminy Nowosolna Uroczystość odbyła się pod auspicjami Urzędu Gminy w Nowosolnej. Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Łodzi ◀ Łódzki Dom Kultury i Muzeum Kinematografii zorganizowały 28 lutego br. w sali kinowej ŁDK projekcje przedpremierową dokumentalnego filmu Krzysztofa Tchórzewskiego „Bądźcie świadomi (1980 1989)". Reżyser pokazuje w nim proces kształtowania się i rozwoju NSZZ „Solidarność" ◀ W Galerii „FF" Łódzkiego Domu Kultury 2 bm. owtarta została wystawa fotografii Andrzeja Różyckiego pn. „Drzewo poznania" ◀ Spotkania z wybitnymi twórcami, najciekawszymi osobowościami polskiego życia umysłowego, odczyty znawców różnych dziedzin sztuki — to nowy cykl zatytułowany „Świat-Kultura-Sztuka" przygotowany przez łódzkie Muzeum Sztuki W ramach niego 1 bm Andrzej Kostołowski wygłosił prelekcję pt. „Rozbita klepsydra" — poświęconą odbiciu prawdy w sztuce. ◀ Związkowy Ośrodek Kultury Służby Zdrowia w Łodzi zaprasza na VIII Ogólnopolskie Biennale Fotografii w Technikach „Remis'89" (Galeria Fotografii „Antygen" — ul. Roosevelta 17) ◀ Z okazji 60. rocznicy urodzin wybitny łódzki uczony, rektor Politechniki Łódzkiej prof Czesław Strumiłło otrzymał list gratulacyjny od prezydenta RP — Wojciecha Jaruzelskiego ◀ Znana aktorka, Mirosława Marcheluk, do czasu mianowania nowego dyrektora, zgodnie z wola zespołu, kierować bedzie łódzkim Teatrem Nowym ◀ W Sali Lustrzanej Muzeum Historii Miasta Łodzi, 25 lutego br. odbył się koncert orkiestry PR i TV w Łodzi pod dyrekcją Henryka Debicha, z którego dochód przeznaczony został na Fundusz Daru Narodowego ◀ Rozstrzygnięty został ogólnopolski konkurs literacki zorganizowany przez łódzki Oddział Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich, na przekład poezji i prozy z angielskiego obszaru językowego. W dziedzinie poezji I nagrodę jury przyznało Januszowi Wojdeckiemu (Łódź), zaś w dziedzinie prozy III nagrodę (pierwszej i drugiej nie przyznano) otrzymał łodzianin — Adam Sumera.

Opracował: JAK

Galeria pisarzy

JÓZEF STANISŁAW KMIECIAK

Rys. Sławomir Arabski

Nie tylko w Kawęczynie.

Nietolerancja i co dalej?

Po trzech tygodniach odetchnęli mieszkańcy Kawęczyna, że „zwyciężyli", odetchnęli też lokatorzy domu przy ulicy Chełmżyńskiej. 31 stycznia 1990 r. zostali przewiezieni do Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej.

Sytuacja prawna budynku, w którym mieszkali, jest niejasna. W momencie zajmowania go przez nosicieli wirusa HIV też była niejasna. Michał Szymborski — wiceprezydent Warszawy przekazał budynek przy Chełmżyńskiej z gestii Kuratorium Oświaty i Wychowania Markowi Kotańskiemu i jego podopiecznym. Zastępca naczelnika dzielnicy nie podpisał dokumentu zaświadczającego o przejęciu budynku przez nowych właścicieli. Mimo to przyjaciele Marka Kotańskiego wprowadzili się. On sam miał nadzieję, że powtórzy się sytuacja, jaka miała miejsce pół roku temu.

Z „nocnego desantu" grupa zakażonych zamieszkała w Zbicku koło Opola. „Trybuna Opolska" alarmowała tytułami typu: *„zniszczyć Kotańskiego"*, wojewoda był osobiście zainteresowany wyrzuceniem ich stamtąd. Były próby podpalenia ośrodka, otoczenia go drutem kolczastym. Był list matek opolskich nazywających „Kotana" bandytą. Wiele było nonsensów, ale wszystko ucichło i grupa nosicieli została zaakceptowana.

Mówi Marek Kotański: — *„Myślałem, że na podobnej zasadzie zrobimy w Kawęczynie, ale sądzę, że zostałem wpuszczony w kanał. W moim scenariuszu było, że ludzie będący u władzy — senatorowie, posłowie, ministrowie będą razem z moimi przyjaciółmi w Kawęczynie, w dosłownym znaczeniu tego słowa. W swojej naiwności sądziłem, że to nie będą deklaracje „jesteśmy z wami", tylko że jesteśmy! I jeżeli nastąpi atak, milicja go odeprze i że może powstać sytuacja, którą być może trzeba będzie przebić siłą. Nie widziałem tam żadnego bezpośredniego zagrożenia, nie było to szafowanie zdrowiem pacjentów, co próbowano wysuwać, jako koronny argument. Uważam, że zostałem oszukany, bo jeżeli tłum gęstniał, a władza widziała naszą desperację, to powinna stać razem z nami. Wycofałem się z rozpaczy, że zostałem osamotniony.*

Lokatorzy domu przy Chełmżyńskiej organizowali spotkania z mieszkańcami Kawęczyna i próbowali rozmawiać. Z sali padały propozycje stworzenia obozów ogrodzonych drutami kolczastymi. Na argumenty, łzy i przekonywania, że nosiciele chcą tylko spokojnie mieszkać, nie szkodząc nikomu, odpowiedź była jedna — won! Były ulotki podpisane Adolf i propozycje komór gazowych. Były pobicia. Ale były także podane ręce — jedna z mieszkanek Kawęczyna zaprosiła do korzystania z łazienki.

Mówi Marek Kotański: — *Młodzież z Kawęczyna bardzo się z nami zaprzyjaźniła, poczuła — może po raz pierwszy w życiu, że robi coś autentycznie potrzebnego w szarym Kawęczynie. Przyszedł facet z sąsiedniego domu i mówi, że chce coś dla nas zrobić i na dzień dobry przyniósł kilo kiełbasy i dwa chleby. Potem usiadł i nieporadnie pyta — to co, będziecie walczyć? Odpowiadam: Będziemy. I ze zrujnowanej łazienki zrobił w ciągu osiemnastu godzin prawdziwe cacko. Później prosi, żebyśmy nie odchodzili, bo my dla niego też jesteśmy szansą — w zeszłym roku tragicznie zginęło jego dziecko i on u nas po raz pierwszy od tego czasu był wśród ludzi. Przychodzili ludzie i dawali pieniądze, trzech harcerzy wręczyło 97 tysięcy z ulicznej zbiórki.*

Przyjaciele Marka Kotańskiego zostali przewiezieni do Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Do ostatniej chwili towarzyszyły im wyzwiska i zaciśnięte pięści, groźby, kije i kamienie. Za ministerialną bramą, w sali konferencyjnej cisza i spokój — po raz pierwszy od wielu nocy i dni. Ich „guru" — Markowi Kotańskiemu zatrzaśnięto żelazną bramę przed nosem. Księdza i lekarza, którzy przez dwa tygodnie opiekowali się nosicielami także nie wpuszczono nawet na dziedziniec ministerstwa.

Mówi Marek Kotański: — *Myślę, że to niewpuszczenie wynika z faktu — być może — że jestem impulsywny, „ostry" i obawiano się, że będę próbował z tamtego miejsca nadawać do całej Polski. Wydaje mi się, że w pewnym momencie ludzie z władzy moje działania zaczęli interpretować jako lansowanie siebie. Myślałem, że teraz jest już inne państwo, inne poglądy, że teraz mówi się to, co się czuje, że nie ma walki podjazdowej, a okazuje się, że nie zmieniają się pewne atrybuty władzy. Jestem na garnuszku Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej i choć nie jestem konformistą, to jestem realistą i nie uśmiecha mi się walka z władzą, bo wiem, że przegram.*

Antoni Bielewicz — rzecznik prasowy ministra zdrowia rozświetla nieco tę tajemniczą sytuację: — *Marek Kotański nie jest osobą wiarygodną.*

Sprawa piątki z Kawęczyna ruszyła z kopyta i z pewnością skończy się pomyślnie, ale w Polsce jest więcej nosicieli wirusa HIV, są chorzy na AIDS. Wielu z nich nie chodzi do żadnego lekarza, bo wiedzą, że jeśli się ujawnią, to nie zostaną zbadani, a zarażać innych nie chcą. Co dalej?

— *W tej chwili w Polsce nie ma szans na ulokowanie tych ludzi gdziekolwiek, ponieważ każda społeczność będzie ich odrzucała.*

Powinny być domy w wielkich aglomeracjach, musimy pozyskać ludzi z immunitetem nietykalności, którzy będą z nami. Stworzymy utajnioną listę lekarzy, którzy będą chcieli nieść pomoc nosicielom. Chcemy stworzyć bank adresów miejsc pracy dla tych ludzi — też oczywiście utajniony. Ale teraz nie widzę perspektywy dla tych ludzi. Wprowadzenie ich do ośrodków „MONARU" nie rozwiąże problemu.

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

To dopiero początek przemian.

Telewizja szuka nowych twarzy

KONRAD FREJDLICH

Od czasów propagandy sukcesu telewizja w Polsce wciąż jeszcze jest najważniejszym środkiem komunikacji społecznej, pozostaje również najskuteczniejszym narzędziem szybkiego reagowania. Spór o dostęp „Solidarności" do kamer TV i niezależnych programów rozpoczął się dziewięć lat temu słynnym zatorem na rondzie w Warszawie, a zakończył dopiero jesienią 1989 roku, po sformowaniu rządu przez **Tadeusza Mazowieckiego** i mianowaniu **Andrzeja Drawicza** prezesem Komitetu do spraw Radia i Telewizji. Wtedy też zaczęły z ekranów znikać twarze, naznaczone piętnem niechlubnej przeszłości i pojawiać się nowe, albo też odnowione, lecz ze stygmatem cierpienia za sprawę.

Zmiany, które nastąpiły w Warszawie, nie mogły ominąć **Łodzi**. Wprawdzie stolica polskiego włókiennictwa dawno już utraciła swoją ogólnopolską, telewizyjną pozycję, stając się na antenie krajowej godnym współczucia Kopciuszkiem, ale lokalnie, obok „Głosu Robotniczego", **Łódzki Ośrodek Telewizyjny** był najsilniejszym bastionem twardogłowej linii partyjnej, inspirowanej przez lokalne kierownictwo PZPR. Do telewizji, na pierwszą linię walki klasowej partia posyłała swoich najlepszych ludzi. **Andrzej Malisz**, I sekretarz POP stanu wojennego, awansował za wykazaną przez siebie czujność na zastępcę redaktora naczelnego ośrodka i faktycznie redagował lokalny dziennik. Kiedy zaś dotychczasowy naczelny **Michał Walczak** wyjechał w charakterze korespondenta do Paryża, zwolnione miejsce objął od r. 1986 dotychczasowy sekretarz do spraw ideologicznych KŁ PZPR **Andrzej Hampel**. Na ekranie zaczęli się częściej pokazywać **Edward Marciniak** i **Ewa Bratoś**, zaś **Anna Orzechowska** wyrosła na pierwszą gwiazdę, dobrego ducha skrzywdzonych i poniżonych, łącząc znajomość rolnictwa z uczuleniem na ludzkie sprawy.

W chwilach dziejowo ważnych zabierał głos sam **Andrzej Hampel**, zawsze słusznie i pryncypialnie. Telewizja dbała, aby prezentowane przez nią materiały były jednoznaczne i nie budziły niepotrzebnych skojarzeń — karierzyści mieli nakaz omijania pewnych twarzy. Przez całe lata nie pokazywano na zbliżeniu fizjonomii **dr. Karola Józefa Stryjskiego**, obecnego organizatora Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej, który podpadł miejscowym notablom nie wykazując entuzjazmu wobec stanu wojennego. Jeśli tak surową selekcję stosowano wobec swoich ludzi, cóż mówić o rzeczywistym przeciwniku politycznym. Nic też dziwnego, że łódzki ośrodek telewizyjny przegrywał konkurencję na antenie ogólnopolskiej — w Łodzi nie dostrzegano odwilży lub też uważano ją za chwilową słabość partii.

4 grudnia 1989 r. **Marek Markiewicz** został mianowany przez prezesa **Andrzeja Drawicza** redaktorem naczelnym ŁOT. Zatrzymany 13 grudnia 1981 r. rano w budynku „Solidarności" wraz z **Andrzejem Słowikiem** i **Jerzym Kropiwnickim** podczas odczytywania wezwania do strajku powszechnego, nie trafił na ławę oskarżonych wraz z przywódcami regionu. Postanowiono ukarać go niedopuszczeniem do kamery i mikrofonu. **Marek Markiewicz** zaczął po pewnym czasie jeździć taksówką, zarabiając tym na życie. Jako prawnik z wykształcenia postanowił jednocześnie robić aplikację adwokacką, w czym pomagało mu środowisko palestry. Nominacja na redaktora naczelnego łódzkiej telewizji zbiegła się z egzaminem adwokackim, który zresztą wypadł pomyślnie, podobnie jak konkurs na szefa ŁOT, w którym pokonał najpoważniejszego protendenta — red. **Iwonę Śledzińską-Katarasińską**.

Obejmując stanowisko w TV **Marek Markiewicz** miał oczyszczone przedpole: **Andrzej Hampel** nie czekając na spodziewane zmiany w ośrodku, przeszedł w porę do **„Głosu Robotniczego"** na stanowisko redaktora naczelnego i obecnie kieruje odnowionym **„Głosem Porannym"**. Osierocił swego zastępcę, red. **Andrzeja Malisza**, który poprosił o paromiesięczny urlop. Schedę po nim objął teraz sprowadzony do telewizji **Konrad Turowski**, były reporter **„Dziennika Łódzkiego"**, z którym dość brutalnie rozstano się w stanie wojennym.

Tylko on i **Marek Markiewicz** są członkami „Solidarności", która przed stanem wojennym miała tu dość silne wpływy, pięć osób należy do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, zdecydowana większość pracowników twórczych, nie wierząc w przesilenie w Polsce, wstąpiła do propartyjnej organizacji zawodowej, która zgubiła ostatnio przymiotnik „ludowa" i nosi obecnie nazwę Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej.

Ośrodek zatrudnia łącznie 27 dziennikarzy, 8 osób w redakcji artystycznej i 14 w redakcji publicystycznej, kilka innych, prowadzących samodzielne programy ogólnopolskie takie jak **„Zbliżenia" Iwony Łękawy** czy **„997" Michała Fajbusiewicza**.

Od czasu do czasu **Łódź** przedstawia na antenie realizacje teatralne lub estradowe, stanowiące jej skromny wkład w krajową rywalizację ośrodków telewizyjnych. Nie jest to, niestety, wiele, jak na drugie co do wielkości miasto w Polsce i jedno z najstarszych centrów szklanego ekranu. Podobnie jak inne problemy miasta, pewne sprawy zostały już dawno przegrane ciągłymi ustępstwami władz łódzkich wobec Warszawy — nic dziwnego, skoro lokalni bonzowie byli potencjalnymi emigrantami i myśleli głównie o ambasadorskim stołku albo nawet skromniejszej dyplomatycznej karierze, byle za granicą, a realizacja tych marzeń wymagała taktyki pokory i bezwzględnego podporządkowania. Rezultatem tego minimalizmu jest tegoroczna „ramówka" ŁOT, zaplanowana jeszcze przed zmianami w TV. Każe ona odłożyć ambicje na kolejnych dwanaście miesięcy. Redaktor **Marek Markiewicz** nie chce jednak czekać: jest już zgoda na program regionalny, finansowany nie z budżetu centrali przy ul. Woronicza, tylko przez sponsorów, znaleźli się nawet chętni, którzy chcą wyłożyć pieniądze na ten cel.

Najważniejszą audycją aktualną pozostaje lokalny dziennik TV, który powrócił do tradycyjnej nazwy **Łódzkie Wiadomości Dnia**. Łączą one w sobie serwis informacyjny z miasta inkrustowany niekiedy nowinami z województw ościennych, miniwywiady przed kamerą, reportaż interwencyjny, czasem nawet mamy do czynienia, ze szkodą dla wartkości narracji, z próbą poważniejszej dyskusji politycznej. Jest także kącik sportowy i kulturalny, który raz w tygodniu przemienia się w quasi-monograficzną audycję. Napór aktualnej problematyki społecznej sprawił, że trzeba ją było przemianować na **„Magazyn nie tylko kulturalny"**, co znacznie rozszerzyło nośność tematyczną tej pozycji. Mimo wszystkich prób zaprowadzenia stałego układu, **Łódzkie Wiadomości Dnia** wciąż pozostają polem dziennikarskich eksperymentów w dziedzinie warsztatu, treści, a nawet scenografii.

Korzystne na przykład okazało się wyprowadzenie audycji ze zbyt obszernego i pustawego studia do reżyserki: monitory telewizyjne, ze zmieniającymi się w tle obrazami dają złudzenie przyspieszenia, choć realizatorzy nie zawsze panują nad tym drugim planem i niekiedy, za plecami spikerki, pojawiają się jakieś zupełnie przypadkowe zdjęcia.

27 minut lokalnego programu to zarazem bardzo dużo, zważywszy bardzo króciutką listę dziennikarzy garnących się do pracy dla **„Wiadomości"**, jak też i bardzo mało, jeśli weźmie się pod uwagę mnogość spraw, które wymagałyby głębszego naświetlenia i publicystycznej wiwisekcji ostrym cięciem kamery. Ze starych twarzy w nowym układzie nieźle sobie radzi niezawodny **Wiesław Machejko**, a także **Zbigniew Zaliński**, specjalizujący się w problematyce kulturalnej, jak gdyby mniej aktywności wykazuje, znawca spraw OPZZ, **Dariusz Woszczalski**, ale też i związkowcy spod znaku **Alfreda Miodowicza** mniej dają o sobie znać.

Coraz częściej pojawiają się też na wizji dziennikarze przywróceni do pracy, wyposzczeni po wieloletniej przerwie — „wywiadowca" **Jerzy Binder** i sprawozdawca sportowy **Marek Madej**. Jednakże nie wszyscy poszkodowani przez stan wojenny wyrazili chęć powrotu — znamionuje to, istniejące także po stronie ofiar czystki ideologicznej, głębokie podziały. Odnowione kierownictwo telewizji musiało więc sięgnąć po posiłki z zewnątrz. Materiały interwencyjne, drastyczne tematy rozliczeniowe wychodzą spod ręki **Zofii Kędziory**. **Arkadiusz Grzelka** „zaanektował" tematykę kulturalną próbując swych sił także jako prezenter, zazwyczaj w towarzystwie **Grażyny Jeżowskiej**, na którą coraz częściej spada obowiązek prowadzenia ŁWD. **Waldemar Wiśniewski** pełni rolę telewizyjnego Kischa, posyłanego na trudne odcinki. Wspomaga ich czasem **Jadwiga Wileńska** ze starej kadry, ostatnio jakby mniej aktywna. I to już prawie wszyscy twórcy najpopularniejszej telewizyjnej audycji lokalnej — tak wąskie grono realizatorów rzutuje na poziom prezentowanych odcinków, nie wszystkie mogą być udane, zdarzają się w nich dłużyzny i „puste" minuty antenowe. Jeśli zespół współpracowników nie ulegnie rozszerzeniu, trzeba będzie zawiesić na kołku ambicję emitowania godzinnego, na początek, programu regionalnego.

Zdaje sobie z tego sprawę kierownictwo łódzkiej TV, skoro ogłosiło niedawno, **„zaciąg nowych twarzy"**. Na to wezwanie stawiło się do budynku przy ul. Gabriela Narutowicza kilkaset osób z wyższym wykształceniem, na ogół młodych i pełnych dobrych chęci, ale posiadających bardzo mgliste pojęcie o dziennikarstwie, a niekiedy, co gorsza, ze słabą znajomością polszczyzny. Rzadko kto z poddawanych testowi miał ochotę wnieść poprawki stylistyczne do niemal szkolnego ćwiczenia, którego początek pozwolę sobie zacytować na dowód, że próba nie była zbyt surowa:

„Zła pogoda i zbyt silny wiatr północno-wschodni były przyczyną mniejszego zainteresowania turystów wypoczynkiem w miejscowościach nadmorskich. Ponadto zły urodzaj w sadach sprawił, że ceny owoców nie zachęcały do ich kupna. Zły zbiór buraków cukrowych, a w związku z tym wysoka cena cukru też miały swój wpływ na ten stan rzeczy. Słowem, nie zapewniono turystom podstawowych tanich artykułów i cokolwiek by powiedzieć na ten temat, należy odwołać ze stanowiska wojewodę słupskiego".

Do „sali malinowej" w **Łódzkim Ośrodku Telewizyjnym** stawiło się ostatecznie 150 pretendentów: prawnicy, ekonomiści, filolodzy, absolwenci politechniki, a nawet ogrodniczka i lekarka. Niektórzy, dlatego, że chcieli sobie dorobić, inni, aby się sprawdzić, jeszcze inni postanowili osobiście przedstawić swoje opinie. Pani, która ukończyła wydział budownictwa i którą interesuje moda stwierdziła:

— Ostatnio program stał się zbyt tendencyjny i mało barwny. Jest zbyt jednotematyczny, jest zbyt prorządowy.

Absolwent prawa zauważył:

— Nie widzę zmian w TV, schematy zostały te same. Istnieje coś w rodzaju propagandy sukcesu, idziemy w dobrym kierunku, nie bójmy się. Powinny być pokazywane alternatywne programy gospodarcze.

Z kolei pan po szkole menedżerów był odmiennego zdania:

— Zauważam zmiany w TV. Sprawy przedstawiane są inaczej, dajecie możliwość zaprezentowania poglądów różnym ludziom.

Bezrobotny dziennikarz poszukujący pracy skonstatował:

— TV była dotąd zbyt statyczna, do nikogo nie adresowana. Brak spraw inteligencji i ludzi młodych.

Zaś socjolog współpracujący z filmem podsumował:

— Telewizja jest smutna. Filmy są pełne modlitwy, publicystyka jest nudna. Słyszałem, że w TV mało się zarabia.

Nie wiem, czy wśród przetestowanych kandydatów na prezenterów i dziennikarzy znajdą się tak poszukiwane przez telewizję nowe twarze, które mogłyby odświeżyć i zasilić program lokalny, w każdym razie nie wierzę, aby stało się to z dnia na dzień. Nie zawsze przecież sprawdzają się praktykanci, aspirujący do tego zawodu, choć mają stokroć więcej możliwości wykazania się umiejętnościami niż przypadkowo zebrani w hallu ludzie z ogłoszenia. Myślę, że dla kierownictwa ośrodka TV był to raczej sondaż opinii o własnych poszukiwaniach, równie może ważny jak nadchodzące do redakcji ŁWD listy widzów. W codziennej poczcie nie zawsze są komplementy: przychodzi sporo bazgrołów z inwektywami i oskarżeniami. Pojemne hasło: **„Telewizja kłamie"** powraca teraz bumerangiem z obozu, który do niedawna stał na straży „świętego ognia" gromiąc solidarnościową ekstremę. Druga fala listów dotyczy obecności na antenie starych twarzy — piszą je zniecierpliwieni zwolennicy przemian za wszelką cenę. Jakaś telemanka nie pozbawiona poczucia własnej wartości zapytała nawet: — **czy ja jestem gorsza od Ewy Bratoś?** — Ale najczęściej ludzie zwracają się z jakimiś konkretnymi sprawami traktując telewizję jako biuro interwencyjne. Jest to pożywka dla reporterów i dowód ociężałości pleniącej się wciąż biurokracji. Łatwiej pewnie będzie zdjąć z anteny twarze, które drażnią i zastąpić je nowymi, niż rozprawić się ze stylem pracy urzędów i instytucji, które przeszły peerelowską edukację i jest im z tym dobrze.

Nie brak wreszcie anonimów i donosów do różnych gremiów, w których nowe kierownictwo ŁOT oskarżane jest o różne niecne intencje z antysemityzmem włącznie. Odpierając te brudne ataki **Marek Markiewicz** przebrał się któregoś dnia w chałat i jarmułkę i wystąpił przed kamerą niczym rabin. Wątpię zresztą czy ten kostium wyciszy kąśliwe zarzuty — w zjednoczonym w okresie stanu wojennego obozie „Solidarności" toczy się przecież bezpardonowa walka polityka o wpływy w samorządzie terytorialnym.

Życząc lokalnej telewizji jak najlepiej, nie mogę jej jednak nie wytknąć pewnej opieszałości w integrowaniu łódzkiego środowiska twórczego. Sama kamera jest wprawdzie tylko środkiem technicznym, ale synkretyzm telewizyjnej wypowiedzi wprost prowokuje, aby wokół ośrodka skupić nie tylko nowe twarze z ekranową aparycją, ale także najtęższe umysły i talenty miasta. Ludzie ci niekoniecznie muszą się pchać na wizję. Skupieni wszakże w jakimś niezbyt sformalizowanym klubie, który mógłby zrobić dobry użytek choćby z „sali malinowej", wnieśliby pewnie jakieś pomysły przydatne w projektowanym programie regionalnym. Bez takiego intelektualnego zaplecza trzeba będzie ogłaszać zaciągi do pracy w TV co parę miesięcy. Nawet wtedy, gdy granica miłosierdzia telewidzów pokryje się z przysłowiową już dobrocią prezesa **Andrzeja Drawicza**.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Reporter wraca na stare tropy, które poniechał nie ze swej winy... (1)

Strach w kolorze blue

JACEK INDELAK

Usunięty z „Odgłosów" po 13 grudnia 1981 roku, przywrócony zostałem do pracy teraz — po ośmiu latach — mocą zeszłorocznej ustawy. Na łamy nowych „Odgłosów" wracam swoją ostatnią reporterską sprawą ze starych „Odgłosów", sprawą nie doprowadzoną wówczas do końca.

W numerze 50 z datą 13 grudnia 1981 ukazał się reportaż pt. „Incydent w Bielawach". Pierwotny tytuł był inny. „Przepraszam, a jednak biją", lecz zmienił go ówczesny redaktor naczelny, Jerzy Wawrzak. Długo próbował mnie odwieść od zamiaru publikowania tego tekstu. Ustąpił w końcu:

— *Dobrze, puszczę twój reportaż, ale wiedz, że będzie to dla ciebie gwóźdź do trumny, jakby co...*

„Jakby co" nastąpiło niebawem, sprawdził się też wkrótce domysł szefa: komisja weryfikacyjna, usuwająca mnie w stanie wojennym z dziennikarstwa, wyjątkowo wiele uwagi poświęciła tej właśnie publikacji.

Rzecz cała zaczęła się w niedzielę, 29 listopada 1981 roku, kiedy z samego rana obudził mnie rozpaczliwy telefon:

— *Panie redaktorze, niech mnie pan ratuje! Jeśli mi pan nie pomoże, oni mnie zniszczą. Kto? Milicja! Mało mnie nie zabili. Leżę w ciężkim stanie w szpitalu w Zgierzu... Kto mówi? Pietrzak Władysław, kierownik restauracji „Bielawianka" w Bielawach.*

Zerwałem zaraz z łóżka Zbyszka Nowaka, kierującego wówczas redakcją fotografii Krajowej Agencji Wydawniczej w Łodzi Pojechaliśmy do szpitala w Zgierzu.

Pobity wyglądał okropnie: zmasakrowana twarz, obandażowana głowa. I ten głos pełen napięcia, dramatycznych przerw i potknięć. Dochowały się jego zdjęcia, zachowałem też magnetofonową taśmę:

— *W czwartek, gdzieś około 15.30 przybył do mnie* — mówi Władysław Pietrzak — *do prowadzonej przeze mnie restauracji oficer ZOMO z Łowicza. Konkretnie: porucznik Gołębiewski. Powiedział, że przyjedzie do mnie z naczelnikiem gminy Liberskim, żebym koniecznie na nich poczekał z pół godziny (...) Gdzieś o 16.30 przyjechali. Porucznik Gołębiewski, jeszcze jeden pan — Jagiełło, też z milicji, kierowca milicyjny, nazwiska dobrze nie pamiętam, ale chyba Rachubiński. I naczelnik gminy w Bielawach. Poprosili, żebym im przygotował zastawę. Przygotowałem im alkohol i zakąskę. Gdzie? Jest taki pokoik na zapleczu. Na sali nie, bo to przedstawiciele naszej władzy. (...) Gdzieś po wypiciu drugiej czy trzeciej butelki zaproponowali mi, żebym sprzedał im skrzynkę alkoholu na wynos. Ja odmówiłem, a proponował mi ten Gołębiewski, co poparł też naczelnik. Naczelnik nastawał, żeby koniecznie sprzedać. Powiedziałem po prostu, że nie mogę, bo to jest wódka stemplowana przez Gminną Spółdzielnię* (przypomnijmy, że alkohol był wówczas wielkim rarytasem, sprzedawany w ścisłej reglamentacji, tylko „na kartki" — przyp. J. I.)... *I wtedy naczelnik się wyraził, że teraz to on ze mną zacznie zagrywkę za ten alkohol. Tak samo porucznik Gołębiewski zaczął mi wymawiać i wygrażać. Tak samo ten Jagiełło. Plutonowy ten Jagiełło był, bo miał trzy belki. Też to samo, że się ze mną policzą, ale jakoś wyszedłem od tego towarzystwa (...) A potem wszedł do mnie plut. Jagiełło i zapytał, czy ja im ostatecznie ten alkohol sprzedam (...) Jagiełło zaczął mnie bić po twarzy. Dokładnie sobie nie przypominam, co się dalej działo, bo byłem już od ciosów zamroczony. Jagiełło wrócił i znów mnie bił. Widziałem też porucznika, który mnie też zaczął bić po twarzy. Byłem już oszołomiony, kiedy ktoś mnie z tyłu uderzył. Nie wiem kto. Nie wiem, nie wiem. Zemdlałem, a kiedy oprzytomniałem, czułem wielką strugę krwi. Krew rzygała ze mnie jak z fontanny. Z głowy. Wiedziałem, że dostałem czymś ostrym. Nie wiem, co to było. Leżałem na podłodze, personel był wokół (...)*

— Czy naczelnik gminy — (to już mój głos — J. I.) był obecny podczas bójki?

— *Tak, on wszedł do mojego pokoiku razem z porucznikiem, który mnie bił. I nie udzielił mi żadnej pomocy. A potem zrobiło mi się ciemno...*

Następnego dnia pojechaliśmy do Bielaw, gdzie wiele osób potwierdziło relację kierownika restauracji, dodając przy tym sporo nowych szczegółów. Na taśmie magnetofonowej dochowała się również relacja bufetowej, Zofii Weber. Oto fragment zapisu:

— *I krzyk kierownika:* „Za co mnie bijecie!" *Stałam jeszcze chwilę, nie wiedziałam, czy się wtrącić. A tu nagle wyleciała z tego pokoiku butelka i trzasnęła w ścianę. Wpadłam więc do pokoiku, zobaczyłam, co się dzieje i krzyczę:* „Panowie, co wy robicie?" *A tam stał z boku naczelnik, kierownik leżał zakrwawiony na podłodze, nad nim pochylony był porucznik, a obok stał ten Jagiełło. Cały pokój był zachlapany krwią. Trwało to moment, a zaraz zgasło światło w całej restauracji. Pobiegłam więc na salę i wołam:* „Chłopaki, dajcie zapałki, milicja pobiła kierownika!" *I zapaliłam świeczkę, a kiedy ją zapaliłam, to ci panowie zdążyli wyjść na zewnątrz. Na dworze stał samochód. Nie, nie odjechali. Co się działo dalej? Ja nie wiem, bo zamknęłam bufet. Słyszałam tylko, że nie mogli odjechać, bo ludzie bramę zamknęli, samochód otoczyli. Czekali długo, aż przyjechał jakiś starszy pan z milicji, chyba ze Skierniewic. I pojechaliśmy razem na posterunek MO w Bielawach (...) Tylko tyle wiem, że porucznika ktoś musiał tam, na dworze uderzyć, przy samochodzie, bo miał sporego siniaka, jak jechaliśmy...*

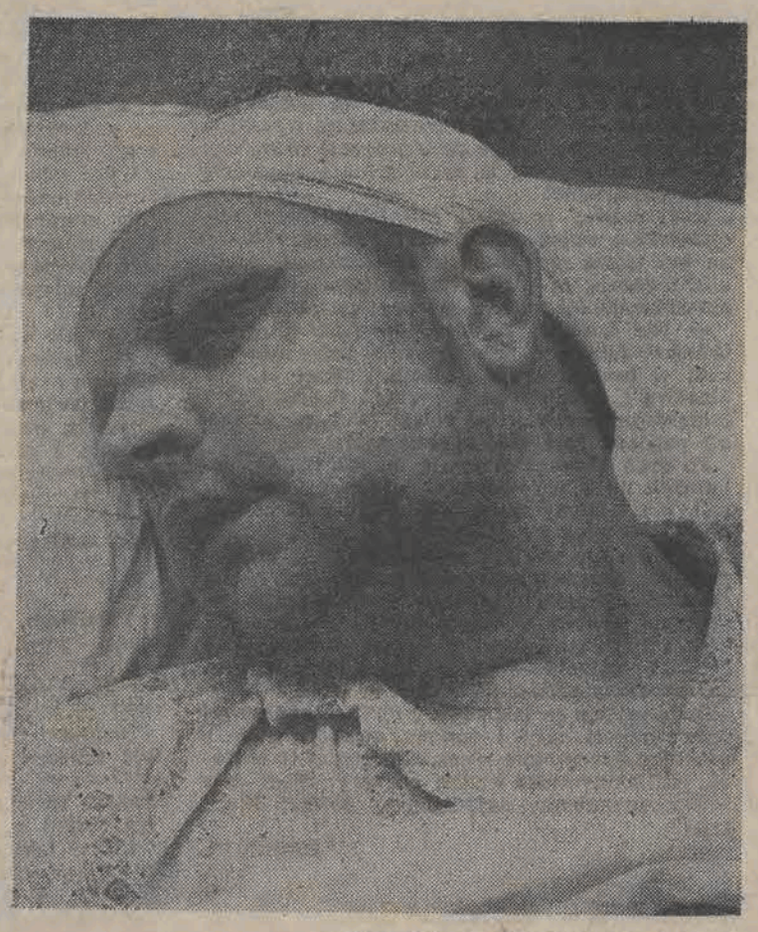

Foto: Zbigniew W. Nowak — rok 1981

Próbowaliśmy dotrzeć też do milicjantów, włącznie ze *„starszym panem z milicji"*, bardzo tajemniczym. Nie udało się jednak. Legitymacja prasowa nie była w stanie złamać milicyjnej *„tajemnicy służbowej"*. O tym nawet, że porucznik Gołębiewski zdążył się położyć w szpitalu, żeby leczyć owego *„sporego siniaka"*, dowiedzieliśmy się nie od milicji, nie od lekarzy nawet, lecz całkiem prywatnie — od jednej z pielęgniarek, która opowiadała zresztą, że z przyjęciem do szpitala miał on spore kłopoty.

Odbyliśmy za to interesujące spotkanie z szefem Prokuratury Rejonowej w Łowiczu, Sławomirem Sobczakiem, który — mimo że prokuratura przesłuchała już 19 świadków — niewiele więcej od nas wiedział. Ba, my już mieliśmy dokumentację bogatszą o relację lekarzy i samego poszkodowanego.

— *Żeby zaspokoić panów ciekawość: ja się wybieram do Zgierza bardzo pilnie* — zapewniał wówczas. — *Myślę, że poszkodowany będzie chciał rozmawiać z nami na ten temat, skoro rozmawiał z panami.*

Na koniec rozmowy oświadczył:

— *Mimo natłoku różnych spraw, ta jest absolutnie priorytetowa, sądzę więc, że śledztwo zamknąć powinniśmy w ciągu miesiąca.*

Uprzedzając bieg wydarzeń, powiem od razu, że żadnej z obietnic nie dotrzymał. Przeciwnie...

Teraz — po latach — jedziemy znów ze Zbyszkiem Nowakiem do Prokuratury Rejonowej w Łowiczu, której szef, Jerzy Głuszczak — nowy od paru lat — nie ma pojęcia o sprawie, nie wie też, gdzie szukać Sławomira Sobczaka. Z Łowicza przeszedł do Sieradza. W Sieradzu — jak się dowiadujemy wkrótce — też już nie pracuje. Podobno trafił na podrzędne stanowisko do Pabianic. Szukać go dalej? I co nam powie? Że stan wojenny oddał nas wszystkich we władzę wojska i milicji? Że odgórne naciski? Że prokuratura nigdy nie była w tym kraju suwerenna? Dajmy spokój Sobczakowi.

Ważniejszy — Władysław Pietrzak, którego w prokuraturze przesłuchano i owszem, ale dopiero w pół roku po całym zajściu, mniej już jako poszkodowanego, bardziej — podejrzanego.

— *Pański reportaż uratował mnie. Kto wie, może i życie* — wita mnie dziś Pietrzak, dalej zapewnia gorąco: — *Osłaniałem się nim jak tarczą, żeby mnie do końca nie zniszczyli.*

Wita mnie w progu swego domu we wsi Sobota, nie opodal Bielaw. Wczoraj właśnie wrócił z sanatorium w Kołobrzegu, bo wciąż słabuje na zdrowiu. Od paru lat na rencie, szmat czasu przebiedował z żoną i trójką dzieci. Z początku, gdy go wyrzucili z pracy i zajęcia nie mógł znaleźć, trudno im było wyżyć z tego marnego hektara, jaki do ich gospodarstwa przypisany, a tu jeszcze na adwokatów się wykosztował. Od roku, dwóch jest znacznie lepiej: warzywa uprawia, kisi kapustę i ogórki, trochę się handlem zajmuje. Jakoś by im się nawet żyło, gdyby nie zdrowie sterane i żal okrutny za zmarnowane lata, a i strach, który jak ich chwycił w tamtych okropnych dniach, tak dotąd do końca nie puścił.

Zofia i Władysław Pietrzakowie próbują wyrzucić z siebie wszystko, co im tak doskwierało przez ostatnie lata: te wcześniejsze jawią się w ich oczach jako istny koszmar.

Wypisany został ze zgierskiego szpitala — jak i wszyscy pacjenci — w przeddzień stanu wojennego. 13 grudnia 1981 r. wpadł w popłoch. Spakować się, zabrać dzieci i uciekać, gdzie oczy poniosą? Ostra zima i wojsko na drogach, ale nie tylko to, bo jakże tak, skoro racja po jego stronie? Miał wprawdzie świadomość, że w stanie wojennym była to szczególnie krucha racja, ale racja przecież racją pozostawała. Kiedy wrócił do pracy — przerywanej potem ustawicznymi zwolnieniami — natychmiast odczuł, jak zagęszcza się wokół niego atmosfera. Na restaurację nachodziła kontrola za kontrolą, niemal się w drzwiach mijały.

— *Walcz, Władek, bo cię wykończą. Jak tylko zobaczą, żeś się poddał, już po tobie* — radzili przyjaciele, których też zaczynało szybko ubywać. Odsuwano się od Pietrzaków jak od zapowietrzonych, od trędowatych. On jednak dobrej rady nie odrzucił, podjął nierówną walkę, chociaż na widok niebieskiego munduru cierpł wprost ze strachu, chociaż w pracy szykanowano go na każdym kroku.

— *Czułem, co się święci* — wspomina dziś. — *Próbowali najpierw zrobić ze mnie spekulanta...*

29 października 1982 roku kolejna kontrola znalazła w magazynie kilkadziesiąt butelek wina, koniaku i szampana o łącznej wartości 55 845 zł. Alkohol ten ujęty był w kartoteki magazynowe i stanowił niezbędny zapas wobec obowiązującej wówczas tzw. sprzedaży sterowanej (30 butelek dziennie) i zaledwie dwukrotnych w miesiącu dostaw. Żadna z poprzednich kontroli nie kwestionowała tego rodzaju praktyki, ta jednak postanowiła wreszcie zrobić z niego przestępcę. Jeszcze tego samego dnia został oskarżony w trybie doraźnym o spekulację i skazany na 50 000 zł grzywny. Nie mógł się bronić, gdyż na rozprawę nie pozwolono mu zabrać żadnych dokumentów. „Głos Robotniczy" skwapliwie obwieścił całemu światu, że Pietrzak to groźny przestępca, a nowa prezes zarządu GS „Samopomoc Chłopska" w Bielawach — Wiesława Chwieduk w miesiąc później zwolniła go dyscyplinarnie z pracy, nie bacząc, że przebywał wtedy na kolejnym zwolnieniu lekarskim.

Bez pracy, bez zasiłku chorobowego... Próbował dochodzić sprawiedliwości. Długo to trwało, starania były żmudne i wyczerpujące.

14 lutego 1984 roku Sąd Rejonowy w Łowiczu uwolnił go całkowicie od zarzutu spekulacji, uniewinnienie przed sądem nie wpłynęło jednak na nieprzejednaną postawę zarządu GS w Bielawach, na którym pewne ustępstwa wymusił dopiero Sąd Pracy w Łodzi kolejnym już w tej sprawie orzeczeniem. Kategorycznie jednak odmówiono Pietrzakowi prawa powrotu do pracy, na co ten bardzo liczył, mimo orzeczonej już 9 sierpnia 1983 roku drugiej grupy inwalidztwa.

— *Nie udało się zrobić ze mnie spekulanta* — powiada dziś z sarkazmem — *próbowano więc uznać mnie za chuligana!*

„Wprowadzenie stanu wojennego w zasadniczy sposób zmieniło stosunek prokuratury do całej sprawy. Śledztwo zaczęła się przedłużać w sposób zaskakujący i bezzasadny. Podjęto ponowne przesłuchania świadków, zmierzające do wymuszenia na nich zmiany zeznań. Zaczęto też na mój temat rozsiewać różne pogłoski, włącznie z niewybrednymi pogróżkami. Na domiar złego ze sprawy wyłączony został całkiem naczelnik gminy Bielawy — Liberski, zaś wobec funkcjonariuszy ZOMO postanowiono bezprawnie zastosować art. 158 par. 1 k.k. podczas gdy bezsprzeczny jest w tym przypadku par. 3. Nie uwzględniono również faktu nadużycia władzy ze strony sprawców pobicia, których nie można przecież traktować jak zwykłych obywateli: obaj funkcjonariusze ZOMO byli w mundurach, zaś naczelnik gminy jest postacią powszechnie znaną jako najwyższy przedstawiciel władz lokalnych (...) Z nieoficjalnych źródeł dotarły do mnie ponadto informacje, że śledztwo przedłużane jest przede wszystkim po to, aby na drodze odpowiednio spreparowanego materiału dowodowego postawić w stan oskarżenia... mnie samego, czyniąc ze mnie współuczestnika bójki (...) jestem nieustannie straszony, że obecna sytuacja pozwoli sprawcom pobicia mnie nie tylko ujść sprawiedliwości, ale i wziąć na mnie odwet za to, że śmiałem dochodzić swoich praw." — pisał W. Pietrzak 2 listopada 1982 roku w skardze do Prokuratora Generalnego PRL.

Skarga ta — jak i inne — nie odniosła większego skutku. Zgodnie z PRL-owską praktyką wróciła — niby bumerang — do władz lokalnych, którym zlecono rozstrzyganie o jej zasadności. Skargi i prośby niełatwo było, swoją drogą, nawet doręczyć. W Skierniewicach — na przykład — prokuratura i milicja wyrzucała Pietrzaków na ulicę, a w Ministerstwie Sprawiedliwości i Prokuraturze Generalnej traktowano ich niczym przestępców lub psychopatów, których po wielekroć się legitymuje i przepytuje. Opowieść na ten temat jakby żywcem z Franza Kafki wzięta.

Skargi i prośby nie były przesadne.

28 lipca 1983 roku Sąd Rejonowy w Łowiczu (pod przewodnictwem A. Foksa) umorzył postępowanie karne przeciwko Władysławowi Jagielle i Zdzisławowi Gołębiewskiemu na okres próby dwóch lat, co uzasadnił w sposób następujący:

„Okoliczności sprawy, stopień społecznego niebezpieczeństwa, postawa oskarżonych, ich dotychczasowy tryb życia, bardzo dobre opinie oraz dotychczasowa niekaralność uzasadniają przypuszczenie, iż pomimo umorzenia postępowania oskarżeni będą przestrzegać porządku prawnego, a w szczególności nie popełnią ponownie przestępstwa."

Półtora roku trwało przygotowywanie tego wyroku, niemal cały następny rok — dopełnianie oskarżenia przeciwko Pietrzakowi. Do towarzystwa dodano mu — na skutek przypadku czy donosu — Stanisława Ślezika, kierowcę KTW z Łowicza, który tamtego dnia znalazł się w tłumie otaczającym radiowóz na zapleczu gospody.

Rachuby oskarżycieli zawiodły: starzy świadkowie nie chcieli zmieniać zeznań, nowi — nie spełniali wszystkich oczekiwań. Sąd zmuszony był nawet do parokrotnego zwracania aktów oskarżenia, które nie spełniały najprostszych wymagań formalnych. Nie udało się też pozostawić na placu boju samego Pietrzaka ze Ślezikiem, na wokandę musieli znów wrócić Gołębiewski i Jagiełło.

Długo by opowiadać... Finał rozegrał się 30 maja 1984 roku przed Sądem Rejonowym w Łowiczu. Rozprawę prowadził sędzia J. Mrożewski.

I na wstępie — niespodzianka: obrońca milicjantów *„adw. R. Sapiński wnosi o zastosowanie art. 27 w przedmiocie czynu zarzucanego osk. Jagielle i Gołębiewskiemu i umorzenie postępowania".*

— *Zdecydowali się wtedy na ugodę* — wspomina Pietrzak. — *Połapali się, że mimo starań, rozprawa może nie zakończyć się po ich myśli. Ja chciałem walczyć o swoje do ostatka, ale żal mi było kolegi, którego wrobili w tę sprawę... W końcu dałem się namówić mecenasom.*

— *A ja odetchnęłam z ulgą* — wtrąca jego żona. — *Wolałam, żeby się to wreszcie skończyło, nawet z krzywdą dla Władka, bo wciąż ten strach...*

„Sąd postanowił — cytuję dalej z protokołu — *uwzględniając wnioski: oskarżyciela publicznego, obrońców oskarżonych oraz oskarżonych na podstawie art. 1 pkt. 3 lit. „a" art. 4 ust. 2 ustawy z dnia 21 lipca 1983 r. o amnestii (...) postępowanie w stosunku do Władysława Jagiełły, Władysława Pietrzaka, Zdzisława Gołębiewskiego i Stanisława Ślezika — umorzyć."*

Pointę dostarcza uzasadnienie wyroku:

„Czyny zarzucane oskarżonym miały miejsce przed dniem ogłoszenia ustawy o amnestii. Z uwagi na to, że czyny te zostały popełnione na tle politycznym (podkr. moje — J. I.) *— należało orzec jak wyżej."*

I tak oto w majestacie prawa zakpiono również i w Łowiczu z prawa i praworządności.

C.D.N.

W obronie interesów konsumenta.

Zaniepokojenie i propozycje

— Prawo konsumenta jest wciąż naruszane — mówi prezes **Stanisław Zawilski** — sam widziałem w sklepie mięsnym szynkę, która, mimo że była mocno nieświeża kosztowała dokładnie tyle samo, co świeża.

Sytuacja panująca na rynku napawa nas niepokojem. Widzimy ogromne zagrożenia w niekontrolowanym wzroście cen. Będziemy popierać te działania, które będą zmierzały do unormowania rynku i potępiać te, które naruszają prawa konsumenta.

W 1989 roku dzięki działalności Federacji udało się doprowadzić do obniżenia cen pieczywa. Zasługą Rady Krajowej Federacji Konsumentów jest również doprowadzenie do wolnej gry lokalami. W ostatnim czasie Federacja wystosowała do premiera oraz ministra finansów pismo będące jednocześnie materiałem programowym Federacji pt. „Ceny i jakość". Sekretarz Klubu Konsumenta pani **Helena Ruta** o problemie cen:

— Cena to ta wartość towaru, za którą udaje się go sprzedać. Dziś te ceny są zbyt wygórowane, co doprowadziło do spadku popytu. Ludzie liczą wydatki z ołówkiem w ręku. Każdy producent chce wyprodukować towar jak najniższymi kosztami, a sprzedać jak najdrożej. Niestety coraz częściej zdarza się, że towar jest zły jakościowo, a mimo to jest drogi. To się musi zmienić! Konieczne jest badanie jakości. Towar wadliwy musi być sprzedawany po niższej cenie. Ostatnio klienci donoszą nam, że na Górnej sprzedawane jest pieczywo z dużą niedowagą (7—10 dkg od bochenka). Dążymy do tego, aby było sprzedawane pieczywo i masło drugiego gatunku, odpowiednio tańsze.

— Mocno niepokoi nas instalowanie w Bydgoszczy telefonów na zasadzie „kto da więcej" — powiedziała pani **Izabela Rutkowska**, członek Rady Krajowej FK. — Również niepokojące jest to, że mimo iż oficjalnie obowiązuje cena w dniu przyznania telefonu, bardzo często ludzie zmuszani są do zapłacenia sumy aktualnej w trakcie jego założenia. Takich osób jest w samej Łodzi ok. tysiąca. Prosimy ich o jak najszybsze skontaktowanie się z nami. Nie są to niestety jedyne kłopoty z telefonami. Martwi nas to, że taryfa dopuszcza różne ceny za rozmowy. Dochodzi do tego, że niektórzy właściciele telefonów płacą tylko sam abonament, ponieważ poczty nie są w stanie policzyć ilości połączeń, natomiast w wielu innych przypadkach właściciele płacą dużo więcej niż wskazywałaby na to liczba połączeń. Z tego względu prosimy wszystkich o dokładne notowanie połączeń i w przypadku zaistnienia jakichkolwiek nieprawidłowości o skontaktowanie się z nami. Dziwi nas bardzo dlaczego połączenie przez automat kosztuje 20 zł, a przez własny telefon 90 zł. Chcielibyśmy również uregulować i tę anomalię.

— Postulujemy też — dodaje pan prezes **Stanisław Zawilski** — aby po każdych trzech minutach rozmowy wprowadzić sygnał dźwiękowy. W Hiszpanii jest tak od 1988 roku. Nie sądzimy by były z tym jakieś szczególne trudności.

— MPO nie pracuje tak jak powinno pracować — to opinia pani Bogusławy Kluby. — Coraz częściej zdarza się, że śmieci w dużych osiedlach mieszkaniowych są wybierane raz na dwa tygodnie. Napływają niepokojące informacje o pojawianiu się coraz większej ilości prusaków, karaluchów, szczurów i mrówek faraona. W najbliższej przyszłości Federacja Konsumentów zamierza zająć się pozytywnym rozwiązaniem tego problemu.

— Domagamy się — powiedział pan **Kazimierz Stelmaszczyk** — aby wprowadzić minutowe rozkłady jazdy dla tramwajów i autobusów, które byłyby ściśle przestrzegane przez kierowców i motorniczych. Tak jest w Krakowie i na Wybrzeżu, dlaczego nie miałoby być w Łodzi?

Zanotowała:
MAGDALENA GROCHOWALSKA

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

8 marca 1990 r. — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

15 marca 1990 r. — EUGENIUSZ IWANICKI — godzina 10—15.

TELEFON 36-77-70 CZEKA NADAL NA CIEBIE.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 1 MARCA 1990 R.

Pan S.W. z ul. **Pięknej 49** (dane do wiadomości redakcji) pochwalił zaopatrzenie sklepu „Interpegro" z ul. Pięknej 47 i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie samochody dostawcze. Zniszczyły one trawniki i — w czynie społecznym zasadzone — róże. Czy nie można tak postępować, aby i zaopatrzenie sklepu było dobre i róż nie niszczyć?

Pan S.O. (dane do wiadomości redakcji) obliczył, że od lutego 1988 roku do lutego 1990 roku było 7 podwyżek ceny zimnej wody. W lutym 1988 roku metr sześcienny zimnej wody kosztował 15,30 złotego, w lutym 1990 — 900 złotych. Mój rozmówca rozumie powody tych zmian, ale nie może się powstrzymać przed pytaniem: — Kiedy to się skończy? Nie wiem czy ktokolwiek potrafi na to pytanie odpowiedzieć.

Pani **Aldona Manelska** zwraca uwagę na niedowład naszego systemu bankowego. Wyraża się to w tym, że wedle wszelkich praw w sklepach można płacić czekami z konta oszczędnościowo-rozliczeniowego, ale w praktyce sklepy odmawiają przyjmowania czeków. W centrali „Społem" mówią, że tak czynić nie wolno, a w sklepach czeków nie honorują. Pani Aldona Manelska proponuje, aby sklepy wywiesiły napisy, czy przyjmują, czy nie przyjmują czeków. Skoro mamy mieć wolny rynek i mają rozwijać się banki, to trudno sobie wyobrazić, aby nie honorowano czeków.

Pani Aldona Manelska protestuje przeciw temu, że prawo finansowe nie działa jednakowo dla wszystkich. Kredyty wzięte z banku są oprocentowane wysoko i co miesiąc, niewysokie odsetki za pieniądze złożone w PKO można odebrać tylko raz w roku. — Dlaczego moje pieniądze mają być gorsze? — pyta.

Pani Z.S. nie liczyła na pomoc, chciała po prostu poskarżyć się. Miała zawał. Teraz przyplątały się kamienie nerkowe. Potrzebna jej jest „Debelizyna" w tubkach. Kiedyś była w aptekach na recepty, teraz przeniesiono ją do „Herbapolu". Tubka kosztuje 10 000 zł i leku nie ma. Szuka „Debelizyny" w całej Polsce i bez rezultatu. Chcielibyśmy pomóc. Może ktoś ma „Debelizynę" i odstąpiłby, ale nasza rozmówczyni wzruszyła się podczas rozmowy i zapomniała podać nam swój adres. Może, jak to przeczyta, to swój błąd naprawi.

BOGDA MADEJ

Foto: Grzegorz Galasiński

Ostatni dzień lutego, godzina 16, plac Wolności w Łodzi. **Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe i Konfederacja Polski Niepodległej** — w związku z dążeniem Niemiec do zjednoczenia — organizują patriotyczną manifestację.

„Nie może być nowej Jałty", „Nie chcemy IV Rzeszy", „Niemcy — tak, Prusy — nie!" — któż nie podpisze się pod tymi hasłami?

Zaapelował o to wiceprzewodniczący Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego w Łodzi — **Jerzy Kropiwnicki.** Poparta tysiącami podpisów petycja z żądaniem, by konferencja w sprawie zjednoczenia Niemiec odbyła się z udziałem Polski — ma być przekazana ambasadorom wielkich mocarstw oraz obu państw niemieckich. Sprawa jest pilna. Petycję podpisują wszyscy obecni na placu.

— Jeżeli dziś Niemcy mogą mówić o swoim zjednoczeniu, stało się to za sprawą nas — Polaków" — mówi J. Kropiwnicki Gdyby nie Polska, która w Europie Środkowej pierwsza przetarła szlaki i obaliła komunizm — Niemcy nie mogliby dziś nawet marzyć o swoim zjednoczeniu. Warto, aby politycy Wschodu i Zachodu o tym fakcie również pamiętali.

Owacje towarzyszą też wystąpieniu Andrzeja **Ostoi-Owsianego** (KPN): — Mówić dzisiaj o tym, że będziemy paktować nt. naszych zachodnich granic jest to zdrada i głupota polityczna. Nie ma żadnego paktowania na ten temat! Jedyna rzecz, która może i powinna się wydarzyć jest to natychmiastowe potwierdzenie przez oba państwa niemieckie, iż nasze granice zachodnie są nienaruszalne!

Obaj mówcy poruszyli również problem stacjonowania wojsk radzieckich w Polsce. Poglądy na ten temat są zróżnicowane. Niektórzy przecież uważają, że wojska te stanowią gwarancję nienaruszalności naszej granicy zachodniej.

— Nic bardziej błędnego — przekonuje **A. Ostoja-Owsiany** — pozostawienie wojsk radzieckich w naszym kraju oznacza właśnie to, że Moskwa i Berlin będą się mogli dogadywać z całkowitym pominięciem Polski! Wojska radzieckie powinny nasz kraj opuścić zaraz!

Po tych słowach nastroje manifestantów zebranych na placu Wolności wyraźnie radykalizują się. „Mamy dalej żywić tych darmozjadów?!" — toczy się dyskusja w tłumie. „W żadnym kraju nie powinno stać obce wojsko innego państwa. Nasze przecież u nich nie stoi! Niech się stąd wynoszą!" „Nieprawda Ja uważam, że Rosjanie powinni u Niemców zostać! — krzyczy ktoś z tyłu. „U Niemców? A tak — u nich to MUSZĄ zostać!" — zgadza się jeszcze jeden sprawiedliwy zwolennik demokracji.

Manifestacja — jak wiele innych — kończy się odśpiewaniem roty i apelem organizatorów o spokojne opuszczenie placu Ale zanim to nastąpi, wzruszony tłum wznosi okrzyk: „Niech żyje wolna, suwerenna, najjaśniejsza Polska! Niech żyje!"

MARZENA M.

Rozmyślania pani woźnej.

Gdy rozum śpi

1.

Niedawno wysłuchałam w radiu korespondencji z Krakowa, w której dziennikarz zgłosił dwie ważkie w treści propozycje (a może to były nawet postulaty?). Pierwsza: stolicę przenieść z Warszawy do Krakowa. Druga: w miejscowości, która nazywa się Bezprawie, urządzić skansen totalitaryzmu i umieścić w nim (tu cytuję dosłownie, takiego tekstu nie da się zapomnieć): *„te wszystkie Leniny, Staliny, Chruszczowy, Breżniewy, Andropowy".*

2.

Propozycją pierwszą, być może, zajmą się wkrótce Senat i Sejm, wszak rzecz to poważna, stolica tu czy tam; a motywacja dziennikarza zachwycała precyzją logiki: skoro Orzeł odzyskał prawowitą i historyczną Koronę, a Polsce zwrócono historyczną i prawowitą Rzeczpospolitą w nazwie, to i stolicę z przyczyn historycznych należy zwrócić Krakowowi.

Tę argumentację rozszerzyłabym jeszcze następująco: Już przecież każde dziecko wie (lub wiedzieć powinno, pod warunkiem, że uczy się nie zafałszowanej historii), że Kraków — w przeciwieństwie do Warszawy — posiada najprawdziwszy historycznie Zamek Królewski, Wawel, zbudowany z absolutnie historycznej (bo nietkniętej przez wojnę) cegły, a i owa cegła, to: ho! ho! mocium panie! w niektórych partiach murów nawet i z końca dziesiątego wieku, a przeważnie to ona jest, ta cegła — cegłą renesansową, użytą przy rozbudowie (a nie przy odbudowie!) przez Florentczyka i Berrecciego, podczas gdy do rekonstrukcji całkowicie zburzonego przez Niemców Zamku Królewskiego w Warszawie, mocium panie, użyto cegły totalitarnej, gierkowskiej.

3.

Propozycja druga — tak myślę z optymizmem — pod obrady Senatu ani Sejmu na pewno nie trafi (chociaż, mocium panie, kto to dziś wie, co jest pewne, a co nie, skoro już mieliśmy w Senacie mówcę, powołującego się na wyższość idei moralnych aryjskiej rasy, do której według mówcy i naród polski z dumą się zalicza). Ale Bezprawie istnieje na mapie kraju, jest w spisie miejscowości i wręcz prowokuje swoją nazwą do właściwego jej wykorzystania. Skansenów nie mamy za wiele, muzeów natomiast na kopy, sytuacja tychże mało ciekawa, przed generalną plajtą, zaś społeczeństwo musi coś zwiedzać, poznawać, rozwijać się intelektualnie, poznawczo, politycznie, więc taki skansen w Bezprawiu z *„tymi wszystkimi Leninami, Stalinami, Chruszczowami, Breżniewami"* mógłby liczyć na niezłą frekwencję, na czym zresztą skorzystaliby obywatele Bezprawia, rozwijając bazy noclegowe i małą gastronomię.

4.

Pamiętam, że kiedyś, jeszcze w latach licealnych, pewnej słonecznej i majowej niedzieli wybrałyśmy się, ja i moje koleżanki z klasy — na Zdrowie, na festyn. Nie pamiętam, czy maj w tamtych latach pięćdziesiątych był już Miesiącem Oświaty, Książki i Prasy, na pewno był miesiącem festynów. Festyny wtedy — jak dziś wideo, modne, zapewniały i młodym i dorosłym rozrywkę. Telewizja nie istniała, nikt nie śledził z wypiekami losów Panny Dzieduszczki czy labiryntowych uwikłań. Więc co zrobić z majową niedzielą po mszy? Na Zdrowie! na festyn! A tam na estradzie wirują w przytupie spódnicami zespoły zawsze amatorskie i zawsze tańców ludowych; dalej orkiestra przygrywa skocznego walczyka, znana piosenkarka śpiewa ostatnie szlagiery o Mariensztacie, znana aktorka recytuje o hutnikach i metalowcach; ale jest również i karuzela, i cukrowa wata, i obwarzanki, i lody, no jest także strzelnica. Strzelnica — rzecz męska, lecz my, przekorne dziewczyny, też pragniemy strzelać w samo serce lub między oczy znienawidzonego wroga. W serce, naznaczone na kukle zaplutego karła reakcjonizmu czerwienią. Między oczy karykatury nędznego rewizjonisty na plakacie. *„Tych wszystkich rekinów, karłów, kreatur imperializmu, różnych Trumanów, Eisenhowerów i innych".*

5.

Zastanawiam się, jakim widzi projektodawca swój skansen? Urządzony za wzór owej strzelnicy? Karykaturalne portrety czy kukły *„tych wszystkich Leninów, Stalinów, Chruszczowów, Breżniewów"*? A może bardziej elegancko? Z większą kulturą? Nie tak prymitywnie? Może jako gipsowe popiersia ustawione na postumentach? Gips nawet dzisiaj, w dobie hiperkryzysu jest tworzywem stosunkowo niedrogim, ponadto łatwym w obróbce. Wystarczy odlać formę, potem popiersia powielać. Tanio, szybko, efektywnie. Zadymiarze spod różnych znaków, i ci co to swastyki na opaskach też, miast szukać nowych obiektów do rozwalania, nowych okien do rozbijania — w autokary, w pociągi, w pielgrzymki i do Bezprawia, rozbijać w driebiezgi.

Zastanawiam się również — już na marginesie — bo gdy rozum śpi, budzą się upiory, a upiory nie nadają się na temat rozmyślań, sny z nimi ciężkie, straszące, to przywilej upiorów: straszyć; więc zastanawiam się już tylko nad pewną, jakby asekuracyjną postawą projektodawcy. Dlaczego zamiast wymienić jednym tchem swoich własnych, rodzimych totalitarystów, tak lekko sięga po obcych? Czyżby swoich nie znał? Zapomniał o nich? Omijał, aby nie kalać własnego gniazda?

6.

A tak — zupełnie na koniec, myślę, że niezależnie od pluralizmu, Związku Ziemian, OPZZ, demokracji, urynkowienia, poglądów za i przeciw, deklaracji z lewicy czy z prawicy, ze środka, czy całkiem z boczku, należałoby — zwłaszcza teraz, w tych szczególnych czasach przełomu i nadziei, jeżeli nie do sumienia, odwołać się do rozumu. Bo gdy rozum śpi, budzą się upiory, niestety.

EWA OSTROWSKA

PARTYJNE EMERYTURY

Są czy nie ma, a jeżeli są, to na jakiej podstawie, dla kogo i dlaczego duże? — te i podobne pytania o partyjne emerytury zadawano w listach Rzecznikowi Praw Obywatelskich. I profesor Ewa Łętowska zajęła się tym problemem.

Jak przewiduje procedura, profesor Ewa Łętowska rozpoczęła korespondencję zawierającą pytania, jakie kierowano do niej w listach. Minister pracy odpowiedział, że nie ma żadnych aktów w tym względzie. Urząd Rady Ministrów — tak samo. Emerytur partyjnych nie ma, a plotki były, i ponieważ skądś się brały, Rzecznik Praw Obywatelskich szukał dalej. Nos nie zawiódł — wreszcie jest! Okazało się, że stosowano uchylony w 1984 roku wewnętrzny, nigdzie nie publikowany akt normatywny. Istotą — dosyć niebezpieczną — było to, że dawał władzę orzekającą i dyskrecjonalną — prawo organów władzy publicznej do podejmowania decyzji według własnego uznania.

Na koniec trzeba usprawiedliwić niekompetencję ministra pracy i podsekretarza stanu Urzędu Rady Ministrów, która okazała się być pozorna — Rzecznikowi Praw Obywatelskich odpowiadano zgodnie z prawdą, bowiem stosowano uchylony akt, którego w świetle prawa już nie było.

BAM.

MEMENTO

Doskonały znawca naszej narodowej tradycji Paweł Jasienica postawił blisko trzydzieści lat temu dwie tezy. Pierwsza głosiła, że nie jest prawdą, iż Polakom szczególnie zagraża wódka. Za wyjątkowo groźną truciznę naszej nacji uznał eseista wodę sodową.

W tezie drugiej przeciwstawił się Paweł Jasienica opinii, że Polacy nie potrafią korzystać z wolności. Za groźbę uznał to, że wielu z nas lubi nadużywać władzy.

Przypominam to, gdyż z wielu stron słyszę nawoływania do wzmocnienia władzy w Polsce, choć władza ta dawno już nie była tak silna jak obecnie — poparciem obywateli. Nadzwyczajne uprawnienia albo rządy silnej ręki mogą ją tylko osłabić. Podobnie jak tryumfalizm, który nie zginął w Polsce wraz z socjalizmem realnym, a tylko zmienił właściciela.

J.d.

TYLKO JEDNA

W Łodzi jest tylko jedna czynna łaźnia — „Syrena". Za skorzystanie płaci się. w poniedziałki, wtorki i środy — 6 800 zł, w pozostałe dni 8 500 zł.

Ponadto: — wanna (30 min.) 900 zł (poniedziałki, wtorki, środy), 1 100 zł (pozostałe dni), natrysk (30 min.) 1200-1600 zł, kąpiel solankowa (20 min.) 3 100 zł, okłady parafinowe 2 800 zł, wypożyczenie prześcieradła 3 000 zł; ręcznika 1 000 zł; suszarki 250 zł (ręcznej), 750 zł.

MAGDA G.

KRONIKA TOWARZYSKA

W czwartek, 1 marca 1990 roku, w Urzędzie Miasta Łodzi odbyła się uroczystość wręczania nominacji nowemu wiceprezydentowi Miasta Łodzi — **Grzegorzowi Palce.** Nowy wiceprezydent będzie odpowiadał za: Biuro Promocji Gospodarczych, Wydział Handlu, Wydział Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii, Wydział Przemysłu, Drobnej Wytwórczości i Usług, Wydział Spraw Lokalowych, Wydział Społeczno-Administracyjny.

W poniedziałek, 26 lutego 1990 roku przebywał w Łodzi **Józef Lebenbaum** – były dziennikarz „Głosu Robotniczego", obecnie obywatel Szwecji, współzałożyciel Komitetu Poparcia „Solidarności" w Szwecji i założyciel Niezależnej Agencji Polski. Józef Lebenbaum wyjechał z Łodzi w 1968 roku. Do Polski przybył na zaproszenie Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego i Klubu Obywatelskiego „Solidarności". A mimo to miał trudności z wyjazdem do Polski. Okazało się, że jest nadal na liście... osób w Polsce niepożądanych. To znaczy był do niedawna. Józef Lebenbaum złożył wizytę w redakcji „Odgłosów". Będzie z nim wywiad.

Prezydent Miasta Łodzi — **Waldemar Bohdanowicz** powołał na stanowisko dyrektora Wydziału Spraw Lokalowych UMŁ panią **Marię Grzegorzewską.**

Były fotoreporter „Głosu Robotniczego" i „Odgłosów" — **Mirosław Zajdler**, obecnie właściciel zakładu fotograficznego, udzielił wywiadu „Expressowi Ilustrowanemu". Z dziennikarstwem rozstał się w 1984 roku. Jest dziś uważany za jednego z najlepszych specjalistów od zdjęć kolorowych.

Red. **Małgorzata Ziętkiewicz** zakończyła działalność na stanowisku rzecznika prasowego prezydenta m. Łodzi i powróciła do pracy w Łódzkim OTV. Nowym rzecznikiem prezydenta m. Łodzi został **Benedykt Czuma.**

W piątek, 2 marca 1990 roku wizytę w redakcji złożył pan **Jerzy Gayer**, mieszkaniec Holonu w Izraelu. Pan Jerzy Gayer — tylko zbieżność nazwisk z łódzkimi fabrykantami Gayerami — wyjechał z Łodzi w 1957 roku. Podczas ostatniego pobytu w Łodzi w 1989 roku zetknął się z „Odgłosami", zaprenumerował je i jest czytelnikiem naszego pisma do dziś. Jerzy Gayer przetłumaczył z jidysz na język polski książkę Chaima Babica „Z Krochmalnej do Kołymy". Tekst tłumaczenia Jerzego Gayera opracuje jeden z łódzkich dziennikarzy. Książką zainteresowali się już wydawcy.

WITOLD B.

PRZYPOMNIENIE

W okresie międzywojennym głośna była sprawa niejakiego Zygmunta W., który proklamował się królem Zygmuntem IV, powiadomił o tym rząd uznany przez niego za „prowizoryczny" i wystąpił do sądu z powództwem o eksmisję Ignacego Mościckiego z Zamku. Pomimo czterech ekspertyz psychiatrycznych, na podstawie których prokurator wniósł o umorzenie sprawy (Zygmunt W. podczas tych badań złożył swoją godność monarszą pod opiekę Prymasa) sąd na życzenie oskarżonego i jego obrońcy, skazał „króla" za obrazę prezydenta na dwa tygodnie aresztu z zawieszeniem. Sigsimundus IV Rex Poloniae rozpowszechniał następnie dokument, gdzie stwierdzał: *„Manifestacyjne żądanie eksmisji p. Ignacego Mościckiego z Zamku Królewskiego, chociaż ze względów prawno-formalnych w pojęciu pomajowej hypnozy było, a może i jest niewykonalne, ma ono w sobie Rejtanowski pierwiastek protestu ducha nie chcącego się pogodzić z nonsensem".*

Nie zamierzam stawiać znaku równości między „królem" Zygmuntem W. a przewodniczącym Klubu Konserwatywnego w Łodzi p. Jackiem Bartyzelem, który w krótkiej wypowiedzi na antenie łódzkiej telewizji odrzucił ostatnio pojęcie „ludu" jako suwerena domagając się restytuowania porządków feudalnych. Ciekawi mnie tylko, jakim się pieczętuje herbem, gdzie się znajdują lub znajdowały jego rodowe włości i o jakie stanowisko w Rzeczypospolitej zamierza się ubiegać po zwycięstwie swojej koncepcji politycznej? „Odgłosy" chętnie opublikują listę tych wszystkich, którzy chcąc sobie zabezpieczyć przyszłość już dziś zgłoszą gotowość odrabiania u p. Jacka Bartyzela pańszczyzny.

SKR.

RELACJE — REWELACJE

— Kurtka futrzana z lamy: 4 mln 660 tys. zł; z łasic: 2 mln 500 tys. zł.
— Futro ze srebrnych lisów: 7 mln 800 tys. zł (kurtka — 6 mln)
— Kurtka ze sztucznego misia (Uniwersal) — 120 tys. zł.
— Płaszcz damski („Cora") 490 tys. zł.
— Komplet skórzany damski 2 189 500 zł (kurtka — 1 469 000 zł, spódnica — 720 500 zł).
— Garsonka („Cora") 200-300 tys. zł.
— Krótka suknia wieczorowa (zagraniczna) 700 tys. zł.
— Swetry („Moda Polska") 380.000 — 1 850 000 zł.
— Rajstopy („Moda Polska") — 10—15 tys. zł.
— Czółenka zamszowe damskie 94 000 zł.
— Kredka do oczu perłowa 10 300 zł.
— Pędzelek do makijażu („Moda Polska") mały — 17 600 zł, duży — 23 700 zł.
— Puder w kremie 11 400 zł.
— Henna 5 600 zł.
— Trwała 30 tys. zł.
— Farbowanie, pasemka 27 tys. zł.
— Obcięcie z wymodelowaniem 10.800 zł.

MAGDA G.

FAKTY

Do Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej wpłynęło 800 podań o przyjęcie. Do tej pory przyjęto 657 kombatantów.

Rozwiązano Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych. Budynki przejmie Wojskowa Akademia Medyczna.

Jedyną w Polsce organizacją, uprawnioną do występowania o nadanie Krzyża Armii Krajowej jest Stowarzyszenie Żołnierzy Armii Krajowej.

Na zebraniu 26 lutego 1990 r. do ŁPO przyjęto Komitet Obywatelski NSZZ RI „Solidarność" w Dobroniu, woj. sieradzkie. Przyjęto też „Centrum Demokratyczne 90".

Delegaci na ogólnopolskie walne zebranie Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej, które odbędzie się w marcu w Warszawie, będą musieli pojechać na własny koszt.

W nocy z 28 lutego na 1 marca okradziono 12 sklepów przy ulicy Andrzeja Struga. Zrobił to najprawdopodobniej jeden sprawca, znany MO, który za kratki nie trafi — jest chory. Ze sklepu „TM" skradł 40 prawych butów, lewe zostawił.

JDT

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

W PORONINIE PRZEBYWAŁ NIE TYLKO LENIN

W związku z reportażem Marzeny Mróz o losach pomnika Włodzimierza Lenina w Poroninie przyszło mi na myśl, że warto zapoznać Czytelnika z pewną ciekawostką związaną z tym miejscem. Tym bardziej, że jak pamiętam z wakacyjnej wycieczki, w muzeum poświęconym „ojcu rewolucji" fakty te są starannie przemilczane, służyło ono, jak dotąd, co najmniej fałszowaniu jego biografii.

Gościem Lenina w Poroninie latem 1914 r. był niejaki Roman Wacłowicz Malinowskij, z pochodzenia Polak. W 1907 r. został on sekretarzem zarządu związku metalowców w Rosji, zaś w trzy lata później dobrowolnie zaczął współpracować z ochraną jako konfident z wynagrodzeniem miesięcznym 200 rubli. Departament policji skutecznie poparł jego starania o mandat delegata do IV Dumy. Niemal jednocześnie, dzięki poparciu Lenina, na konferencji w Pradze, gdzie Włodzimierzowi Uljanowowi udało się dokonać rozłamu w szeregach socjaldemokracji, Malinowskij został członkiem KC Socjaldemokratycznej Partii Robotników Rosji — frakcja bolszewicka. Od tej chwili, działając na dwa fronty, realizował w Dumie rozbijacką działalność Lenina i, przy pomocy przemówień redagowanych przez swego protektora, gromił nie tylko burżuazję, ale i mieńszewicki oportunizm. Nawiasem mówiąc mowy delegata trafiały przed wygłoszeniem na biurko szefa departamentu policji. Widocznie ochranie program Lenina wydawał się mniej niebezpieczny dla państwa, gdyż represje dosięgały właśnie „oportunistów".

Sielanka ta skończyła się, kiedy pomocnikiem ministra spraw wewnętrznych został były wicegubernator Moskwy, W. Dzunkowskij, czy także Polak z pochodzenia, nie wiadomo. Był on zdecydowanym przeciwnikiem prowokacji, toteż zaprotestował, kiedy na liście delegatów do Dumy odnalazł nazwisko płatnego agenta ochrany R. Malinowskiego i powiadomił o tym fakcie przewodniczącego Dumy M. Rodziankę. Był to rok 1914. Malinowskij wrócił właśnie z Paryża, gdzie wygłosił referat o pracy frakcji bolszewickiej w parlamencie rosyjskim. Rodzianko polecił mu złożyć mandat i nie nadawał sprawie rozgłosu, aby nie kompromitować Dumy w oczach społeczeństwa, ale mieńszewicy, najsilniej poszkodowani pozaparlamentarną działalnością delegata bolszewików, milczeć nie chcieli. Szczególną aktywność w demaskacji szpicla mieli F. Dan i J. Martow, wcześniej zresztą zaprzyjaźniony z Leninem.

Roman Malinowskij uciekł przed kompromitacją do Poronina i znalazł we Włodzimierzu Uljanowie gorącego obrońcę. Lenin powołał komisję, do której obok niego weszli Hanecki i Zinowiew. Świadkami byli N. Bucharin, J. Rozmirowicz i A. Trojanowski. Zarówno Bucharin jak Rozmirowicz przychylali się do zdania, że ochrana posiada swoją wtyczkę we frakcji bolszewickiej, mimo to sąd partyjny, pod wpływem Lenina, nie dopuszczającego nawet myśli o własnej pomyłce, wydał opinię korzystną dla prowokatora. Ten sąd partyjny odbył się właśnie w Poroninie. Był to czerwiec 1914 r.

Wkrótce Lenin wystąpił w Brukseli i stwierdził: *„Nasz KC ogłosił, że ręczy za Malinowskiego, zbadał pogłoski i ręczy, że Dan i Martow popełnili haniebne oszczerstwo".*

Nie dopuszczając możliwości popełnienia przez siebie błędu Lenin wspólnie z Zinowiewem opublikował pełen żalu nekrolog, kiedy rozeszła się wieść, że Malinowskij poległ na froncie. Wkrótce okazało się jednak, że prowokator przebywa w niemieckiej niewoli. Wówczas Lenin wysłał mu pisemną instrukcję na temat agitacji bolszewickiej wśród jeńców.

Już po obaleniu caratu, a przed dojściem bolszewików do władzy, Rząd Tymczasowy powołał specjalną komisję, która miała na celu wyjaśnienie ciemnych spraw dygnitarzy dawnego reżimu. Lenin został powołany na świadka w sprawie prowokatora Malinowskiego. I tym razem wystawił mu jak najlepszą opinię, co zostało skwitowane niezbyt życzliwie na łamach „Nowego Życia", które redagował Maksym Gorki. Nie miał on zresztą szczęścia do Lenina — gazeta jego została zamknięta, kiedy w kilka lat później podał w wątpliwość umieszczenie przez Nadieżdę Krupską, żonę „ojca rewolucji", dzieł Lwa Tołstoja na liście książek zakazanych w socjalistycznej republice.

Po dojściu bolszewików do władzy, R. Malinowskij pewny protekcji Lenina, wrócił do Rosji za zgodą władz niemieckich. Tu jednak czekała go przykra niespodzianka. Najwyższy Trybunał Wszechzwiązkowego Centralnego Komitetu Wykonawczego skazał go na śmierć. Wyrok wykonano w ciągu 24 godzin. W ten sposób Lenin przyznał się wreszcie do swej pomyłki. Malinowskij zapłacił zresztą surowiej za współpracę z ochraną niż inni prowokatorzy bolszewiccy, którzy także stawali przed podobnymi trybunałami. Cóż, nie cieszyli się przyjaźnią Lenina.

Powyższe fakty zaczerpnąłem z interesującego eseju Jurija Gawriłowa pt. „Prowokatorzy", który miał trudną drogę do publikacji. Ponieważ w Związku Sowieckim nieprędko jeszcze Lenin zostanie odbrązowiony, warto muzeum poronińskie przekształcić z chaty pamięci jednej osoby w muzeum bolszewizmu. Ręczę, że to bolesny i interesujący temat, jeśli zamiast apologii zaczniemy gromadzić fakty. Będzie nam może łatwiej zrozumieć wiele tragedii minionego 45-lecia mających swój rodowód w leninizmie.

KONRAD FREJDLICH

A JEDNAK TO BYŁ SKANDAL!

Oględnie mówiąc, pewnym niesmakiem musi napawać sygnowany przez panów Jerzego Andrzejewskiego i Andrzeja Kempę list opublikowany w „Odgłosach" nr 8 z 25 lutego. Z niebywałą swobodą piszą o *„niezdrowej sensacji"*, jaką *„swego czasu"* wywołała sprawa księgozbioru rabina, Wawy Morejno i jakże „odważnie" teraz dopiero *„przeciwdziałają krążącym pogłoskom o unikatowym charakterze i szczególnie wysokiej wartości księgozbioru oraz o zagrożeniach spowodowanych j a k o b y* (podkreślenie K.T.) *niewłaściwym przechowywaniem"*, zasłaniając się utytułowanym zespołem ekspertów z zakresu bibliotekarstwa i księgoznawstwa, powołanym nie wiadomo po co przez zastępcę naczelnika Śródmieścia, mgr. inż. Włodzimierza Zajdlera.

Pozwalam sobie zabrać głos w tej wciąż niestety aktualnej sprawie, już choćby z tego względu, że z racji swego zawodu byłem 14 maja 1988 roku w podwórzu przy al. Kościuszki 53, gdzie walały się, przetrząsane przez przypadkowych „poszukiwaczy skarbów" liczne książki, fotografie, prywatne i urzędowe listy, rozmaite dokumenty oraz różne przedmioty związane z żydowską religią, najzwyczajniej w świecie wyrzucone na śmietnik, w majestacie prawa tak rozumianego przez dokonującą eksmisji brygadę pod nadzorem zastępcy naczelnika Śródmieścia Aleksandra Sowy. Relację o tym bezprecedensowym akcie wandalizmu opublikowałem wraz ze zdjęciami na łamach „Kuriera Polskiego". Wówczas jeszcze tylko Marek Koprowski w „Odgłosach" miał odwagę napiętnować publicznie to oburzające zdarzenie. Pisała też „Polityka" i „Przegląd Tygodniowy", ale w prasie łódzkiej pierwsza, malutka notatka ukazała się dopiero 6 września w „Expressie Ilustrowanym".

Gdy przy okazji konferencji prasowej 9 czerwca 1988 roku, poświęconej innym sprawom, zapytałem prokuratora wojewódzkiego, p. Henryka Marka, o stanowisko wobec bulwersującego opinię publiczną jaskrawego bezprawia, odpowiedział z niezbyt ukrywanym lekceważeniem: — *To rzeczywiście były takie zabytkowe rzeczy po tym rabinie?.... Nie znam szczegółów, tylko tak przejrzałem „Odgłosy", ale nie czytałem artykułu; „Kuriera" też nie czytałem...*

Pod naporem opinii publicznej Prokuratura Wojewódzka zleciła jednak w sierpniu 1988 roku prok. Grażynie Stanisławskiej, przeprowadzenie postępowania wyjaśniającego. „Wyjaśniła" w zasadzie tylko tyle, że nie zdołano natrafić już na jakikolwiek dokument z nazwiskiem Mirosława Cz., dla którego, o czym doskonale wiedziało przynajmniej pół miasta, z pracownikami wydziału spraw lokalowych Urzędu Miasta Łodzi na czele — pośpiesznie szykowano mieszkanie przy al. Kościuszki 53, niejako w prezencie z racji jego awansu ze stanowiska sekretarza KŁ na I sekretarza KW PZPR w Sieradzu. Wkrótce zresztą dostał inne, nie mniej przestronne apartamenty przy ul. Buczka.

Niczym też zakończyło się kolejne postępowanie wszczęte w kwietniu 1989 roku przez prok. Grażynę Jankowską z Prokuratury Rejonowej dla dzielnicy Śródmieście. Świadkowie wciąż woleli milczeć.

Teraz panowie J. Andrzejewski i A. Kempa znów bronią złej sprawy stawiając wszystko po staremu na głowie. Wskazując, że to *„relacje dziennikarskie nadały sprawie posmak skandalu i nie przysporzyły chluby naszej kulturze"*. Dokładnie według żałosnego schematu, że nie jest zapewne tak bardzo winien sprawca kradzieży, ale znacznie bardziej ten kto schwytał bądź przynajmniej usiłował na gorącym uczynku ująć złodzieja...

Chyba trochę za daleko zabrnęli autorzy listu! Najwyraźniej zapomnieli, czy też nie chcą wiedzieć, że wyrzucony z mieszkania przy al. Kościuszki 53 księgozbiór wciąż przecież jest niezaprzeczalnie prawną własnością rabina Wawy Morejno. Jakże więc godnym skądinąd szacunku Panom przystoi tak dowolne dysponowanie cudzym mieniem?...

Smutek też ogarnia, gdy czyta się arbitralną ocenę wartości sponiewieranego księgozbioru żydowskiego przez ludzi, którzy sami otwarcie przyznają, że... nie znają ani hebrajskiego, ani jidysz. Równie „autorytatywna" byłaby opinia, gdyby na temat wartości polskich ksiąg wypowiedział się dajmy na to ktoś z plemienia Bongo, choćby nie wiem jak uczony, ale zupełnie nie mający pojęcia o alfabecie łacińskim...

A może, mówiąc już najzupełniej poważnie, wreszcie w tym mieście ktoś uczciwie zajmie się skandalem, jaki rozegrał się w maju 1988 roku przy al. Kościuszki 53, przykładnie ukarze wszystkich winnych, i zmusi do właściwego załatwienia tego, co jeszcze przecież trzeba załatwić w jakże zawstydzającej sprawie. Dość już mieliśmy kompromitujących „zespołów", które napuszone tyle mają do powiedzenia, że... wszystkiemu winna prasa i cykliści.

KONRAD TUROWSKI

Łódź, 26 lutego 1990 r.

CZY ROBI SIĘ COŚ, ABY MPK BYŁO SPRAWNIEJSZE

Taki powinien być tytuł wywiadu z dyrektorem MPK w Łodzi — Czesławem Rydeckim. Z treści wywiadu wynika bowiem, że kierownictwo MPK nie robi nic, aby było lepiej w komunikacji miejskiej, co potwierdza rzeczywistość. Dyrektor nie przedstawił żadnej koncepcji działania, wyłącznie zadowolenie z istniejącego stanu komunikacji miejskiej w Łodzi. Jedynym panaceum na pewne problemy przedsiębiorstwa mają być dotacje nie tylko od władz miasta, ale także od przedsiębiorstw położonych w pobliżu linii komunikacyjnych. (...)

Z wywiadu wynika, że łódzkie MPK nie jest złe, bo ma relatywnie wysoki wskaźnik wykorzystania posiadanego taboru. Myślę jednak, że ten wskaźnik praktycznie niewiele mówi o samym przedsiębiorstwie. Nie wiemy, jaki jest koszt przejazdu kilometra w Łodzi, a jaki w innych miastach. Jaka jest dostępność środków komunikacji dla ludności, stosunek wpływów do kosztów, stosunek pracowników przedsiębiorstwa do klientów. Dopiero dysponując takimi danymi porównawczymi możemy powiedzieć, czy przedsiębiorstwo łódzkie jest rzeczywiście lepsze czy gorsze od innych.

Z osiągnięć oszczędnościowych dyrektor wymienia zakaz ogrzewania pojazdów tramwajowych poza okresami silnych mrozów. Nie można negować nawet i takich oszczędności przy dzisiejszych kosztach energii elektrycznej. Mimo to wydaje mi się prymitywne poszukiwanie oszczędności na tej drodze, a nie przez eliminowanie kosztów zbędnych lub nadmiernie wysokich. Tego rodzaju koszty tkwią m.in. w nieracjonalnych układach niektórych linii tramwajowych i autobusowych, w „jałowych" wyjazdach i zjazdach do zajezdni tramwajów i autobusów itp. (...)

MPK ma duży udział płac w kosztach. Oznacza to względnie dobrą sytuację płacową na tle innych przedsiębiorstw w kraju. Czy z tego faktu wynika jednak lepsza praca? Czy właściwie wykorzystuje się pracowników w ekspedycjach na pętlach komunikacyjnych czynnych całą dobę? Ich zadania sprowadzają się głównie do kontroli przyjazdów i odjazdów. Trudno zauważyć, by praca ekspedycji polegała także na udzielaniu pomocy pasażerom poprzez informowanie ich o kolejności odjazdów poszczególnych pojazdów, o czasie ich odjazdu, awariach, opóźnieniach, komunikacji zastępczej, przewidywanym czasie przerwy w komunikacji, podstawianiu pojazdów na przystanki odjazdowe natychmiast po ich przybyciu na pętlę itp. Ekspedycje nie prowadzą też — przynajmniej w sposób ciągły — sprzedaży biletów komunikacji miejskiej. (...)

Brak troski o wpływy przedsiębiorstwa przejawia się w braku rozkładów jazdy na przystankach, nawet tych przy ekspedycjach. Jest to duża uciążliwość dla pasażerów szczególnie linii o małej częstotliwości i linii nocnych. Brak pełnej informacji o danej linii, to brak pasażerów, a więc brak wpływów i spadek rentowności przedsiębiorstwa. W celu zwiększenia frekwencji na niektórych liniach, np. nocnych, przedsiębiorstwo powinno prowadzić odpowiednią działalność informacyjną i zachęcającą do korzystania z tych linii. (...)

Układ linii pospiesznych w Łodzi nie jest prawidłowy od początków ich uruchomienia. Linie te są praktycznie liniami zwykłymi z niezwykłą taryfą. Jedyną ich zaletą jest możliwość dotarcia do innej części miasta bez przesiadania. Przedsiębiorstwo powinno zapewniać jednak takie możliwości w ramach swych normalnych świadczeń. Jakość usługi musi odpowiadać jej cenie. Presja społeczeństwa na te linie wynika z faktu braku alternatywy dla dojazdów do pracy. Należy więc zmierzać do zamiany większości linii pospiesznych na zwykłe i do tworzenia szybkich międzydzielnicowych linii pospiesznych. W celu zmniejszenia kosztów eksploatacji autobusów na liniach o bardzo dużej frekwencji należałoby tworzyć — na wzór m. Warszawy — linie przyspieszone szczytowo o ograniczonej liczbie przystanków.

Rozwój komunikacji miejskiej w Łodzi — to także konieczność podjęcia decyzji o stopniowym wprowadzaniu w Łodzi tramwaju szerokotorowego. Bez takiego tramwaju postępu komunikacji miejskiej nie będzie. Przejście na linie szerokotorowe nie jest wbrew różnym poglądom ani tak kosztowne, ani tak trudne organizacyjnie.

Konieczne jest też sprecyzowanie wymagań co do taboru tramwajowego. Dyrektor MPK jest zadowolony z dostarczanych do Łodzi wagonów z Chorzowa. Uważam to zadowolenie za zupełnie bezzasadne. Wagony te są zbyt głośne dla pasażera i obsługi, dosyć energochłonne, mają źle skonstruowane drzwi wejściowe. (...)

Problemem dla tramwajów jest ich szybki przejazd przez skrzyżowania z sygnalizacją świetlną. W tym celu potrzebne jest dostosowanie faz sygnalizacji do potrzeb ruchu tramwajowego. Trzeba więc wprowadzić do programów tej sygnalizacji lewo- i prawoskręty dla tramwajów, a nie zmieniać kodeks drogowy. Łódzkie rozjazdy tramwajowe są budowane tradycyjnie, rutynowo i bez wykorzystania doświadczeń np. Warszawy. Takie tradycyjne rozjazdy zmniejszają przelotowość tramwajów na poszczególnych skrzyżowaniach. (...)

EDWARD KARASIŃSKI

TO NIE BYŁ CHOCHLIK!

W 8 numerze „Odgłosów" (z 25.02.1990) opublikowaliśmy list Józefa Gardysa. List ukazał się pod tytułem artykułu, do którego się odnosił: „Dlaczego nie można zbudować domu?". W liście tym, na skutek nieporozumienia usunięto fragment, który powinien następować po zdaniu:

„Zanim pp. Zatorscy z wiadomych powodów zaczęli często bywać na działce dokarmiałem tego psa, tak jak i inni sąsiedzi".

Oto brakujący fragment:

„Zatorscy przyjeżdżają na swoją działkę w nocy" i „uciszają" szczekającego psa sąsiadki spod numeru 10, rzucając w niego cegłami; Pan Zatorski, inż. elektryk, podłączył prąd do siatki ogrodzeniowej i w ten sposób odstraszał konkurentów swej suki, między innymi porażony został mój pies. Kogo więc może się bać pies pp. Zatorskich?".

Autora listu i Czytelników przepraszamy!

REDAKTOR DYŻURNY

BILET DO KINA

31 stycznia 1990 r. chciałam wykorzystać bilet pracowniczy Komitetu Kinematografii upoważniający dwie osoby do obejrzenia bezpłatnie filmu w dowolnym kinie. Niestety nie udało się.

W kinie „Wisła" kasjerka poinformowała mnie, iż nie honorują biletów pracowniczych, aczkolwiek na film „Przesłuchanie" było niewielu chętnych. Poszłam więc do kina „Polesie". Dotarłam już w trakcie kroniki, sala zapełniona była tylko w połowie. Ale dyrekcja kina postanowiła nie uznawać mojego biletu. Na szybie kasy wywieszono napis: *„Na dwa dni przed końcem miesiąca bilety pracownicze nie są honorowane".*

Dlaczego? — wszak na bilecie napisane jest: ważny w styczniu, a nie w dniach 1-29.01. Znam powód, większość ludzi otrzymuje takie bilety od znajomych pracowników kinematografii, kiedy ci już wiedzą na pewno, że do kina nie pójdą. Pod koniec miesiąca jest zawsze dużo chętnych z bezpłatnymi biletami.

W epoce, która właśnie skończy swój żywot prawie wszystkie grupy zawodowe miały przywileje; pracownicy służby zdrowia mieli prawo do bezpłatnych leków, pracownicy MPK i ich rodziny do bezpłatnych przejazdów komunikacją miejską, pracownicy PKP i ich rodziny 80 proc. zniżki na kolej.

To, co zarządziły łódzkie kina jest po prostu nieeleganckie wobec tych, którym należały się bezpłatne bilety. Tym bardziej że sala, przy cenie biletu 1800 zł, była pusta.

IWONA MARZANNA KNYPL

ZUS WYJAŚNIA

Cezary Erdman za pośrednictwem „Odgłosów" interweniował w sprawie zwłoki w dostarczeniu renty jego matce. Cezary Erdman — mimo prośby ZUS — nie podał adresu swojej matki. Ponieważ renta nie wróciła do ZUS, są wszelkie podstawy, aby przypuszczać, że trafiła ona do adresatki.

DOM PRZY UL. SZPITALNEJ DLA PSM!

Zarząd Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyki **SPAM** poinformował nas, że 18 lutego 1990 roku odbyło się Walne Zebranie członków SPAM w Łodzi, na którym między innymi wysunięto wniosek o przekazanie budynku po byłym Komitecie Dzielnicowym PZPR na Widzewie przy ul. Szpitalnej na potrzeby **Państwowej Szkoły Muzycznej** przy pl. Zwycięstwa. Wniosek ten popiera pismo skierowane w tej sprawie do władz miasta z października 1989 roku.

REDAKCJA — CZYTELNICY

EWA PAKUŁA, Łódź. Ma Pani rację. To był błąd ortograficzny. „Rączy" — pisze się właśnie tak, jak Pani podała, a nie tak, jak było w tekście. Przepraszamy!

JADWIGA ŁĄCKA, Łódź. Wielokrotnie już informowaliśmy, że nie bierzemy pod uwagę listów nie podpisanych (anonimów), jak też listów wprawdzie podpisanych, ale bez adresu. Ponieważ Pani podała imię i nazwisko — czy prawdziwe? — ale nie podała adresu, listu nie opublikujemy.

Prosimy naszych Czytelników, aby pamiętali o tym, że ANONIMY WRZUCAMY DO KOSZA!!!

„ART JOURNEY" — KONKURS NA STYPENDIUM

Międzynarodowe Stowarzyszenie **„Konstrukcja w Procesie"** w ramach idei **„Muzeum Artystów"** ogłasza konkurs na trzy stypendia po 1 500 marek zachodnioniemieckich każde. W konkursie mogą wziąć udział wszyscy artyści polscy. Warunek: należy do **30 kwietnia 1990 roku** nadesłać koncepcję podróży oraz załączyć materiały prezentujące twórczość danego autora. Nie należy nadsyłać oryginałów! Materiałów nadesłanych na konkurs organizatorzy nie zwracają. Materiały dokumentacyjne będą przyjmowane niezależnie od formy i techniki ich prezentowania.

Stypendysta musi rozpocząć podróż przed końcem 1990 roku, a po powrocie do kraju wygłosić wykład na temat: **Art Journey.**

Koncepcje podróży i dokumentację twórczości należy nadsyłać pod adresem: **Komitet Organizacyjny Stowarzyszenia „Konstrukcja w Procesie", 90-715 ŁÓDŹ, ul. Gdańska 31 m 24.** Można też uzyskać dodatkowe informacje pod **tel. 32-79-76.**

Rozstrzygnięcie konkursu do **31 maja 1990 roku.**

KONKURS PLASTYCZNY

Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Łodzi, Klub Osiedlowy „SM" Chojny i Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego w Bratoszewicach k/Łodzi ogłaszają ogólnopolski konkurs plastyczny.

W konkursie mogą wziąć udział twórcy nieprofesjonalni, którzy nadeślą po jednej pracy o tematyce dowolnej (olej, akwarela, rzeźba, tkaniny artystyczne) w terminie do **30 maja 1990 roku.**

Prace, opatrzone godłem, z oddzielną kopertą pod tym samym godłem, w której należy zamieścić dane autora, prosimy nadsyłać pod adresem: **Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego w Bratoszewicach k. Łodzi** lub dostarczyć osobiście w godz. od 7.00 do 14.00 oprócz niedziel, sobót i świąt do komisarza konkursu pana Zbigniewa Pakuły — pracownia plastyczna.

Organizatorzy przewidują wydanie katalogu prac nagrodzonych i wyróżnionych w konkursie, zorganizowanie aukcji połączonej z wystawą plenerową w Bratoszewicach.

Z tej ziemi.

Nie ma pieniędzy, a są

05.03.1990

1.

Dziś, gdy mówi się o kulturze, myśli się przede wszystkim o pieniądzach. Wśród listów, jakie przyszły do redakcji była informacja Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyki „SPAM" — oddziału w Łodzi o odbytym 18 lutego 1990 r. Walnym Zebraniu członków, na którym postanowiono, że Walne Zebranie członków oddziału łódzkiego „SPAM": *„zwraca się z apelem o przydzielenie w roku 1990 niezbędnych środków finansowych na sfinalizowanie prac adaptacyjnych w nowej siedzibie Filharmonii im. Artura Rubinsteina w Łodzi, w budynku przy ul. Piotrkowskiej 243"*. I uzasadnienie: *„Uważamy za konieczne, aby w końcu roku 1990, który jest rokiem 75-lecia tej zasłużonej instytucji, umożliwić jej działanie we własnej siedzibie"*.

Owe *„niezbędne środki finansowe"* — to po prostu pieniądze. Brzmi to w moim uchu jak fałsz w orkiestrze. Dlaczego nie mówimy po prostu: p i e n i ą d z e, a zastępujemy je żargonowymi *„środkami"*? To przecież też sprawa kultury — język, jakim posługujemy się w codziennej wymianie myśli.

Do kogo skierowany jest ten apel? Do władz miejskich. Boję się, że jest to apel, który pozostanie bez odpowiedzi, bo miejska kasa świeci pustkami, a pieniądze, jakie tam można znaleźć są dużo mniejsze od potrzeb.

2.

W takiej sytuacji jest nie tylko Filharmonia im. Artura Rubinsteina. Są też teatry Łodzi. Byłem zaproszony — jakiś czas temu — na posiedzenie Rady Kultury NSZZ „Solidarność". Było tam kilkoro dziennikarzy. Zwrócono się do nas z apelem: — *Pomóżcie! Ujmijcie się za nami! Poradźcie!* **— Wszyscy byli zatroskani. Kultura umiera. Teatry są zagrożone. Może ostanie się tylko jeden. Poddano krytyce wydatki dzielnicowych rad narodowych. Ktoś powiedział nawet — gorzko żartując — że najbardziej ulubionym dzisiaj spektaklem jest jeden aktor plus aparat telefoniczny, bo to najmniej kosztuje.**

3.

Michał Jagiełło — wiceminister kultury — w wypowiedzi dla „Trybuny" stwierdził: *„Nie powinno się stanu z roku 1988 czy 1989 traktować jako niezmienny. Nie wszystko, co było wówczas, jest w kulturze nieodzowne. Zatem jeśli rezygnujemy z części tego stanu posiadania, to nie dzieje się dramat. Nie znamy rzeczywistych* ***potrzeb kulturalnych Polaków. Nie mają tej świadomości polityey, nie mają socjologowie kultury"***. Zawsze podziwiałem pewność siebie urzędników, którzy problemy widzą w makroskali. Podziwiałem i nie godziłem się z tym, bo inaczej to wygląda z punktu widzenia w Warszawie, a inaczej z punktu widzenia aktora w Łodzi, któremu grozi bezrobocie. Na dodatek szkoły aktorskie wypuszczą nowych aktorów, z którymi nie będzie co zrobić. Może zatem zlikwidować szkoły aktorskie, plastyczne, muzyczne, aby nie „produkować" frustratów, ludzi oszukanych, którzy będą musieli szukać dla siebie miejsca poza Polską i być może go nie znajdą? Tylko że najłatwiej jest coś zlikwidować, czego później nie można już będzie nigdy odbudować.

Michał Jagiełło widzi to tak: *„Problem polega na tym, aby nie zniszczyć tego, co stanowi rzeczywistą tkankę kulturową. Chodzi o to byśmy przetrzymali, zanim nie uruchomic się mechanizmy, które spowodują, że część kultury, nazwijmy ją umownie komercyjną, będzie zarabiała w części przynajmniej na kulturę ambitną"*. Też chciałbym, aby tak było, ale myślę, że kultura powinna stanowić całość, a podziały na komercyjną, ludową, robotniczą, masową, ambitną i tak dalej, są podziałami pomocniczymi, roboczymi. Jedynym kryterium kultury jest jednak jej odbiór przez ludzi. Czasem słyszę coś takiego: — *To było dobre pismo, ale upadło z powodu braku czytelników.* — Więc albo ludzie coś akceptują, albo nie....

4.

Ceny mamy światowe, a płace też światowe, tylko że z trzeciego świata. Na co Leszek Balcerowicz powiada: — *„Jesteśmy jeszcze biednym krajem i cena pracy odzwierciedla po prostu ten fakt"*. — Ale ten fakt wpływa również na poziom kultury w Polsce roku 1990. Puste sale kinowe, teatralne, muzyczne, odkładające się książki w magazynach, upadające pisma. Dokonuje się selekcja. Można powiedzieć naturalna, ale czy rzeczywiście upada to, co musi upaść? Ubożejący obywatel jest złym odbiorcą kultury. A bez kultury żaden naród nie może sprawnie funkcjonować. Wystarczy wyjść na ulicę, aby przekonać się o tym. Jaki jest współczesny Polak, każdy widzi.

5.

Co więc z tymi pieniędzmi? Są, czy ich nie ma? Otóż jestem przekonany, że są. Wiele spółek, wielu przedsiębiorców, wielu rzemieślników nawet chętnie służyłoby pomocą kulturze, inwestowałoby w kulturę, finansowałoby działalność artystyczną, ale pytają: — *Co i kiedy będę z tego miał?* — A kiedy nie słyszy odpowiedzi, chowa portfel.

Potrzebna jest zatem ustawa, która zapewniałaby zwolnienia i ulgi podatkowe dla tych, którzy inwestują w kulturę. To by się im opłaciło, i kulturze i nam też.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PARZĘCZEW: — Jak przechodzi się skrócony kurs demokracji.

Skąd bierze się zło?

Parzęczew, niewielka miejscowość położona nie opodal Łodzi. Ni wieś, ni miasteczko. Kościół, ryneczek, knajpa, remiza — typowy gminny krajobraz. Przez lata panował tu pozorny spokój, lokalne układy, układziki. Ludzie dzielili się na elitę (przez niektórych zwaną też „m^ ^ą"), kręgi zbliżone do elity, tych, którym od czasu do czasu spadło coś z „pańskiego stołu" oraz tych, którzy nic nie dostawali. Tak przynajmniej twierdzą miejscowi...

Z ogólnego marazmu wyrwał wszystkich... cukier. Pewnego dnia okazało się, że na zapleczu wśród mąki i innych produktów ukryto cukier. Wtedy towar deficytowy, szykowała się bowiem kolejna podwyżka. Sprzedawczynie zaczęły tłumaczyć, że jest on przeznaczony dla szkoły i przedszkola. Podobno odpowiednie oświadczenia w tej sprawie zbierano pospiesznie w nocy.

Parzęczewskim Sherlockiem Holmesem okazał się przewodniczący miejscowej „Solidarności Rolników Indywidualnych" **Jerzy Witosławski.** Ten spektakularny „sukces" podziałał na wyobraźnię mieszkańców **Parzęczewa.** Jedni uwierzyli, że jednak można skutecznie działać, inni postanowili wzmóc czujność.

Kilka dni po „cukrowej aferze", a tuż przed zebraniem gminnej „Solidarności" „nieznani" sprawcy oblali farbą elewację domu **J. Witosławskiego.** Mimo próby zastraszenia zebranie odbyło się. Zostały na nie zaproszone także władze gminne. Ludzie po raz pierwszy zaczęli głośno mówić o łapówkach i innych machlojkach. Niestety zebrania nie udało się dokończyć. Kiedy po raz kolejny prezesowi GS przerwano jego wypowiedź, na znak protestu on i pozostali „notable" opuścili salę z okrzykiem:

— To są efekty demokracji!

Ludzie z „Solidarności" mówią, że była to celowa „gra". „Zagłuszeń" mieli dokonać „podstawieni". W międzyczasie członkowie „Solidarności RI" wyłonili ze swego grona **Komitet Obywatelski.** Komitet nie pozostawił obojętnie zgłoszonych skarg.

Kolejne spotkanie z ludnością Parzęczewa wyznaczono za dwa tygodnie. Miał na nie przyjechać poseł. Poseł nie przyjechał, przybył natomiast pełnomocnik „Solidarności" **Henryk Formiński.** Przyszło masę ludzi, tym razem ze spisanymi skargami i oświadczeniami. **H. Formiński** widząc co się dzieje obiecał, że będzie starał się coś w tej sprawie zrobić.

W kilka dni później pojawił się w nocy w mieszkaniu **J. Witosławskiego** z prośbą o pomoc w zorganizowaniu kolejnego spotkania z ludnością. Tym razem miał być na nim poseł **Jerzy Dłużniewski,** telewizja, a może i prokurator. Poseł i telewizja przyjechali. Na wyraźną prośbę **J. Dłużniewskiego** do Domu Ludowego mieli przybyć tylko ci, którzy wcześniej składali skargi. Chodziło bowiem o ich spisanie i przekazanie dalej. Dlatego nie zaproszono tam przedstawicieli władz gminnych, co teraz ma się za złe Komitetowi Obywatelskiemu.

Spotkanie było burzliwe. Najwięcej zarzutów padło pod adresem zastępcy kierownika SKR oraz byłego sekretarza gminnej organizacji partyjnej. Zaczęto opowiadać o 400 200 zł, które trzeba było dodatkowo „zainwestować", aby otrzymać ciągnik lub snopowiązałkę. O szwindlach, które odbywały się przy przydziale nawozów...

Jerzy Dłużniewski wystąpił w roli spowiednika. Wysłuchał żalów, zebrał skargi i wyjechał. Minęły dwa tygodnie i cisza... Podobno gdzieś „utknęły" czy zaginęły dokumenty, które przekazano posłowi. Znajdował się tam m.in. odpis aktu notarialnego dotyczącego umowy o spółce między Urzędem Gminnym a przedsiębiorstwem **„Garbatex"**.

Stanowisko w tej sprawie mieli zająć prawnicy, zachodziła bowiem obawa, że jest to kolejna spółka nomenklaturowa. Podejrzenia wzięły się stąd, że posiedzenia Gminnej Rady Narodowej poświęcone spółce odbywały się w wielkiej tajemnicy, przy drzwiach zamkniętych.

Tak więc wszystkie te skargi i zażalenia spadły na głowę **Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"**, którego głównym zadaniem miało być przygotowanie się do wyborów samorządowych. Jeśli ludzie im zaufali, nie mogli ich zawieść.

Cała „afera łapówkarska" spotyka się z bardzo różnymi reakcjami. Jedni śmieją się z tych, którzy przyznali się, że dawali, aby nabyć narzędzia pracy. Drudzy uważają, że ta „afera" to zemsta byłego pracownika SKR, którego zwolniono dyscyplinarnie. Ponoć pod adresem tych, którzy „zamieszali", padły groźby pozbawienia życia.

Komitet Obywatelski stoi na stanowisku, że sprawę tę powinny wyjaśnić kompetentne organy. Nie czekając na interwencję posła, udało się poprzez **„Solidarność RI"** zawiadomić **Prokuraturę Rejonową w Zgierzu,** która ma zbadać padające oskarżenia. **„Solidarność" nie chce też zniszczyć naczelnika, jak się powszechnie w Parzęczewie uważa.**

— Chcemy tylko zniszczyć zło — mówi przewodniczący Komitetu Obywatelskiego **Włodzimierz Ochota. — A czy to zło pochodzi od naczelnika, to się dopiero okaże.**

Podstawowy zarzut, jaki stawiany jest wobec naczelnika to brak zaufania. Dlaczego przez tyle lat (sprawuje funkcję 14 lat) tolerował różne machloje? Jednocześnie docenia się wszystko, co zrobił dla gminy. Wybudował przecież szkołę, oczyszczalnię ścieków, bloki mieszkalne, parkingi, drogę. A propos drogi — złośliwi mówią, że jest ona wyłożona ludzkimi szkieletami. Materiał na budowę przywożono ze zlikwidowanego cmentarza żydowskiego.

Ostatnio **Komitetowi Obywatelskiemu „Solidarność" w Parzęczewie** wyrósł konkurent. Powstał bowiem **Niezależny Komitet Obywatelski** Na jego czele stanął rolnik **Tadeusz Nowak,** a jego zastępcą został nauczyciel **Zbigniew Wajner.** Ten sam, który przed laty był przewodniczącym gminnej rady PRON. Nowy komitet chcąc się uwiarygodnić zwołał kolejne zebranie. Była też telewizja. W świetle telewizyjnych reflektorów odbyło się kolejne publiczne pranie brudów. Tym razem w rolach głównych występowali oskarżeni. Odpierali zarzuty.

Trudno przewidzieć, jak dalej potoczy się akcja **„parzęczewskiego kryminału"**. Trudno będzie przerwać gordyjski węzeł, te prowincjonalno-rodzinne powiązania: matka w GS, szwagier w SKR, siostra w gminie, a ojciec rolnikiem.

Na razie w Parzęczewie walczy się ze złem i przechodzi skrócony kurs demokracji.

ANNA GRONCZEWSKA

OGŁOSZENIA DROBNE

NIERUCHOMOŚCI

DOM-bliźniak 120 m — sprzedam. Jelenia Góra, tel. 511-03. 8617-g

KUPNO-SPRZEDAŻ

RADMORA — sprzedam. 86-81-28. 8933-g

PUSTAKI, overlock — sprzedam. 15-60-71. 8783-g

POJAZDY

SPRZEDAM „Nysę", piec do plisowania. 87-00-78. 8621-g

„126P" sprzedam. 51-55-36. 8182-g

NAUKA-PRACA

ANGIELSKI, niemiecki, 51-17-69. 8262-g

PROGRAMOWANIE EPROM-ów. Łódź. 51-40-14. 8694-g

LOKALE

M-4 Retkinia zamienię na dwa oddzielne. 87-00-78. 8619-g

ZGUBY

JACEK Skurtys zgubił legit. studencką 60471 PŁ. 8524-g

BEATA Konrad zgubiła legit. studencką 17174/L AM. 8615-g

ZBIGNIEW Weteski zgubił legitymację studencką 63366 PŁ. 8860-g

Z różnych szuflad.

Wisła się pali

Ogólnie znane porzekadło: *„wariat, Wisła się pali!"* kojarzy się z czymś niezwykłym, nieprawdopodobnym, absurdalnym w samym założeniu, z którego wynika, że dwóch przeciwstawnych żywiołów: ognia i wody skojarzyć się nie da. Wprawdzie rozlana na wodzie ropa płonie czas jakiś, ale wygasa rychło, ogień zaś gasi się od niepamiętnych czasów wodą, więc skąd, u licha, płonąca Wisła?

Całkiem przypadkowo dotknął tej kwestii Mieczysław Grydzewski, zamieszczając w redagowanej przez siebie na łamach londyńskich „Wiadomości" rubryce „Silva rerum" (1952 nr 3) fragment *„Pieśni chłopów powiatu trockiego"*, zaczerpniętej zresztą z dzieła Konstantego Tyszkiewicza *„Wilija i jej brzegi"* (Drezno 1871):

Poszła kotka do lasu
i złowiła śledzia —
padła igła do morza,
zabiła niedźwiedzia.
Oj dzieci, dzieci, żywo,
pijcie mięso, jedzcie piwo.
Gdzie ten pan, krzywy Jan,
co chodzi z toporem,
co się kijem opasywał,
podpierał się worem.

Nie wiedział „Silva" (tak czasem nazywano Grydzewskiego), bo i wiedzieć nie mógł, że białoruska *„kruciołka od Nieświeża"*, zapisana przez Federowskiego, brzmiała bardzo podobnie:

Biehła liska cieraz pole,
Da zławiła śledzia.
Zchadziłasia bura licha,
Razbiła miedźwiedzia.

Nie na próżno W.A. Zbyszewski w artykule o Grydzewskim („Wiadomości" 1981 nr 3) podkreślał, że *„Silva rerum" jest monumentem erudycji, kolosalnego oczytania i wielu perełek literackich"* bo rubryka ta miała swoich zagorzałych czytelników i entuzjastów. Nic więc dziwnego, że już w kilka tygodni później Janusz Ossowski z Velindre przysłał Grydzewskiemu odmienną wersję piosenki spod Trok dowodząc, że zapamiętał ją z lat dziecinnych spędzonych na Kujawach, śpiewaną na melodię kujawiaka. Korespondent przypomniał tu zwrotkę o płonącej Wiśle:

Wisła nam się zapaliła,
Ryby się popiekły,
Osmalone szczupaki
Do lasu uciekły.

Wiktor Podoski z Ottawy dowodził z kolei w numerze 20, że piosenka była śpiewana w powiecie sokalskim i na Białostocczyźnie. „Wiślana" zwrotka brzmiała następująco:

Wisła się zajęła,
Ryby wyzdychały.
Szczupaki zwichnięte
Do lasu zbieżały.

Inny korespondent, Mikołaj Wisznicki z Beckenham, pamiętał piosenkę z dzieciństwa spędzonego u schyłku XIX w na dalekich kresach ukraińskich. Zaczynała się ona od słów:

Oj, a gdzież ten kusy Jan,
co chodził z toporkiem,
kijanką się podpasywał,
podpierał się workiem.

Wisznicki sugerował raczej literacki aniżeli ludowy pierwowzór śpiewki, tym bardziej, że zostało mu w pamięci dzięki popularnej wówczas krotochwili w jednym akcie ze śpiewami i tańcami pióra Antoniego Wieniarskiego (1823—1869) *„Ulicznik warszawski"*, której pierwsze wydanie ukazało się w Warszawie w 1856 r. Trop Wisznickiego okazał się trafny, zaś tekst ogłoszony na łamach „Wiadomości" nie różnił się zbytnio od zapisu książkowego.

Zbieracz różnych osobliwości literackich Julian Tuwim przypomniał w książce *„Pegaz dęba"* (1950) inny, znacznie wcześniejszy tekst owej śpiewki, zanotowany u schyłku XVII w. przez Jakuba Teodora Trembeckiego:

Kożuch poszedł do lasu
i ułowił śledzia,
pomiotło zaś pływając
zabiło niedźwiedzia.

Odwołał się też do tradycji ludowej, publikując inną wersję *„płonącej Wisły"*, jak się zdaje według zapisu Kornela Kozłowskiego, sporządzonego około 1867 r. na Mazowszu Czerskim:

Siwa kobylina na zapłocie wyszła,
Jak ze łba strzeliła, zajęła się Wisła,
Wisła się zajęła, ryby pogorzały,
Opalone szczupaki do boru leciały.

I dalej:

Zląkł się zając, biegł przez cmentarz,
Obalił dzwonnicę,
Kazał mu ksiądz grzywnę płacić,
Marmurową świcę.
Stodoła się rozigrała,
Zająca goniła,
A izba się roześmiała,
Oknem wyskoczyła.

Najwcześniejszą jednak wersję tej absurdalnej piosenki odkrył Czesław Hernas w intermedium *„Trzej Stryszy i Balwierz"*, pochodzącym z lat 20-40-tych XVII w.

A pod wieczór po stodołach kuflami skakali,
A tyś nam też pomagał jak rak podrygując,
A onę nam pioseneczkę skoczną pośpiewując:
„Dziwne rzeczy, z cepami młócili groch w gaju,
Stare widły z karpiami pobiły się w jaju.
Stodoła się rozigrała, oknem wyskoczyła,
Ale ją motyka za podrygał chwyciła.

Hernas opowiedział się za rodzimym, sowizdrzalskim rodowodem piosenki wbrew wcześniej obowiązującym poglądom o jej dworskim lub niemieckim pierwowzorze. W antologii Hernasa *„W kalinowym lesie"* znalazły się jeszcze dwa warianty piosenek o kusym Janie i igraszkach zwierząt i przedmiotów pochodzące z *„Sylwy radomszczańskiej"* z lat 1694-1703 i *„Pieśni różnych"* — zbioru powstałego około 1792 r. Piosenka była, jak się okazuje, popularna od stuleci w całym kraju, a nawet poza strefą bezpośredniego wpływu polszczyzny, bo wśród Kaszubów południowych, co potwierdził w 1936 r. Łucjan Kamieński:

Sikora się ożrebiła
za piecem w kądzieli,
duże cielę porodziła,
ślepi to widzieli.

Jan Stanisław Bystroń w antologii *„Polska pieśń ludowa"* (1925) opublikował wiersz o kusym Janku, gdzie znalazła się też strofa o palącej się Wiśle:

Wisła się paliła, słomą ją gasili,
Opalone szczupaczyska do domu zmykały.
Dalej bracia, dalej żywo,
Pijcie fajki, palcie piwo.

Mimo odmian, wariantów i różnic gwarowych piosenek o kusym Janie i płonącej Wiśle niewiele odbiegały od liczącego co najmniej czterysta lat pierwowzoru. Zabawne skojarzenia i absurdalne pomysły bezimiennych twórców do dziś zachowały niepowtarzalny urok.

ANDRZEJ KEMPA

od środy do środy

PROGRAM TV

ŚRODA, 7.03.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Wyizolować wirus N" — czech. film fab.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Latający Holender
16.50 Dla dzieci: COJAK — telet
17.15 Teleexpress
17.30 Gry wojenne
17.55 Telew. Inform. Wydawn.
18.15 Dawniej niż wczoraj
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Obok nas — punkt zwrotny
19.30 Wiadomości
20.05 Sport — 1/4 Pucharu Europy w piłce nożnej
21.55 Program publ.
22.35 Wiecz. wiad.
22.55 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
16.55 J. francuski
17.25 Program dnia
17.30 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
19.00 „Marc i Sophie" — odc. 2 franc. ser. pt. „Teściowa"
19.30 Maroko — progr. dok.
20.00 Czarno na białym — przegląd PKF
20.40 Przegląd muzyczny
21.40 Ze wszystkich stron: „Węgry"
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wyznania hochsztaplera Feliksa Krulla" — odc. 5 (ostatni) ser.
22.55 Telewizja nocą
23.40 Komentarz dnia
23.45 Express gospodarczy

CZWARTEK, 8.03.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Policjanci z Miami" — odc. ser. pt. „Mały książę"
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „Ordy"
17.15 Teleexpress
17.30 Sport — Mistrzostwa Świata w łyżwiarstwie figurowym
18.40 Magazyn katolicki
19.00 Dobranoc
19.10 Interpelacje (1)
19.30 Wiadomości
20.05 „Policjanci z Miami" — odc. ser. krymin. pt. „Mały książę"
20.55 Interpelacje (2)
21.35 Sport
21.45 Pegaz
22.30 Wiad. wiecz.
22.50 J. angielski

PROGRAM II

16.25 Korepetycje dla maturzystów
16.55 J. rosyjski
17.25 Program dnia
17.30 Program poetycko-muzyczny z ok. Dnia Kobiet
18.00 Program lokalny
18.30 Progam na życzenie.
19.30 Zielone kino: „Warunki życia roślin"
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspress reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne Dwójki: „Heloiza i Abelard"
Dzieje miłości Abelarda i Heloizy — pary umieszczanej obok Romea i Julii, Tristana i Izoldy — to dzieje wielkiego i tragicznego uczucia, które wybuchło gwałtownie, krótko dawało szczęście, ale pozostawiło po sobie owoc wspaniały — piękną, żywą, wzruszającą, gorącą literaturę: ponad dwadzieścia listów pisanych przez oddalonych od siebie kochanków. Krystyna Janda i Zygmunt Hübner użyczają bohaterom swoich głosów i osobowości...
22.45 Komentarz dnia

PIĄTEK, 9.03.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Sławne historie zbójeckie" — odc czech. ser.
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — telet.
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Sport
18.50 Weekend w Jedynce
19.00 Dobranoc
19.00 Teraz — tyg. gospod.
19.30 Wiadomości
20.05 „Młody Frankenstein" — ameryk. film fab.
Tym razem historia Frankensteina nie jest filmem grozy, lecz pełnym humoru pastiszem, autorstwa znanego reżysera komediowego — Mela Brooksa. Frederick, młody amerykański neurochirurg, wnuk słynnego barona Frankensteina, wyjeżdża do Transylwanii, by przejąć spadek po swoim pradziadku...
21.50 Sport
22.00 Tele-audio-wideo
22.20 Wiecz wiad.
22.35 Miss Polonia 90 — półfinał
23.40 Spór o jutro — Otwarte studio

PROGRAM II

16.55 Korepetycje dla maturzystów
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa Lista Przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 O czym się mówi
18.45 Sprawa Niemena
19.30 Dookoła świata
20.00 Szansa
20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka
21.30 Panorama dnia
21.45 „Czas obojętności" — cz. 2 włosk. film fab.
23.25 Komentarz dnia
23.30 Express gospodarczy

SOBOTA, 10.03.1990 R.

PROGRAM I

7.55 Program dnia
8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
8.40 Dla dzieci: Ziarno — progr. Red. Katolickiej
9.00 DROPS — mag. dla dzieci i młodzieży oraz film z serii „Heidi" (4)
10.30 Wiad.
10.40 „Azjatycka mozaika" — odc. 6 pt. „Pieśni i bębny Sri Lanki"
11.10 Bellona
11.40 Laboratorium
12.10 „Głęboki oddech siarką" — rep.
12.40 Smak życia
13.30 Telew. Teatr Prozy: K. Makuszyński — „Pyłek w oku"
14.45 Polityka, politycy
15.15 Flesz
15.45 Sport
17.15 Teleexpress
17.30 Telew. Giełda Piosenki
18.30 Butik
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Wiadomości
20.05 „Nevada Smith" — western amerykański w reżyserii Henry Hathawaya. Max Sand zwany „Nevada Smith" był synem białego i Indianki. Napad trzech bandytów na jego rodzinny dom skomplikował mu życie. Bandyci żądając złota, którego nie mieli jego rodzice, poddali ich torturom, a następnie zabili. Max poprzysiągł zemstę i...
21.40 Sport
23.10 Tydzień w polityce
23.20 Telegazeta
23.30 Kino sensacji: „Carrie" — ameryk. film fab.
Carrie to imię głównej bohaterki, młodej dziewczyny o nieco zahamowanym rozwoju. Wychowana przez despotyczną matkę, maniaczkę religijną, ostro przeżywa kolejne wydarzenia, które zaczynają komplikować jej dotychczasowe życie. Reżyserem jest Brian De Palma, znany u nas z filmów „Świadek mimo woli" i „Nietykalni".

PROGRAM II

12.30 Czas akademicki
13.00 W świecie ciszy
13.25 Studio warsztatowe im. A. Munka
14.25 „5 — 10 — 15" — program dla dzieci i młodzieży
15.55 Małe kino: „Złote, srebrne, brązowe" — film dok.
16.55 Powitanie
17.00 Muzyka rozrywkowa
18.00 Program lokalny
18.30 Legendy filmu — Ava Gardner
19.30 Alfa i Omega
20.00 Wirtuozi wiolinistyki — Daniel Stabrawa
21.00 Program publ.
21.30 Panorama dnia
21.45 „Znowu w Brideshead" — odc. 10 ang. ser.
22.35 Alfabet Kisiela
22.55 Komentarz dnia

NIEDZIELA, 11.03.1990 R.

PROGRAM I

7.00 Witamy o siódmej
7.30 Notowania
7.55 Po gospodarsku
8.10 Tydzień
8.55 Program dnia
9.00 Teleranek oraz film z serii „Emil z Lönnebergi"
10.30 Wiad.
10.35 „Tajemnice rosyjskiej przyrody" — odc. 3 kanad. ser. dok.
11.05 Kroj za miastem
11.35 Koncert życzeń
12.20 Teatr dla dzieci: J. Broszkiewicz — „Kapitan"
13.00 Sportowa niedziela
13.55 Świat umykający (5)
14.25 Pieprz i wanilia: „Z wiatrem przez świat — Ziemia pod ziemią"
15.10 Antena
15.35 „Panna dziedziczka" — odc. brazyl. ser.
17.15 Teleexpress
17.30 Morze
17.50 Piosenki San Remo 90
18.30 7 dni — świat
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Północ — południe" — odc. 4 ameryk. ser.
21.35 Sport
23.35 Telegazeta

PROGRAM II

8.50 Przegląd tygodnia
9.25 „Północ — południe" — odc. 4 ameryk. ser.
16.55 Peryskop
11.25 Jutro poniedziałek
11.55 Powitanie
12.00 PKF
12.10 „Kane i Abel" — odc. 3 ameryk ser.
13.00 100 pytań do...
13.40 Kino familijne: „Autostrada do nieba" — odc. 2 ameryk. ser.
14.30 Maciej Niesiołowski — Z batutą i z humorem
14.15 „Polacy" — film dok.
15.30 Podróże w czasie i przestrzeni: „Czasy katedr" — odc. 3 ser. dok.
16.25 Biografie: „George Orwell" — cz. 2 ang. filmu dok.
17.30 Bliżej świata
19.00 Program publ.
19.30 Galeria
20.00 Studio sport
21.00 Łazienki królewskie w Warszawie
21.30 Panorama dnia
21.45 „Kane i Abel" — odc. 3 ameryk. ser.
22.30 Komentarz dnia
22.35 Akademia wiersza

PONIEDZIAŁEK, 12.03.1990 R.

PROGRAM I

16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 LUZ — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 Wędrówki dalekie i bliskie: „Nowy Meksyk" — hiszp. film dok.
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 W Sejmie i w Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr TV: Gotthold Ephreim Lessing — „Minna von Bernhelm", reż. A. Maj
21.45 Sport
21.55 Kontrapunkt
22.25 Wiecz. wiad.
22.45 J. francuski

PROGRAM II

16.55 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Program lokalny
18.30 „Wysłannik z Polski" — film dok.
19.30 Życie muzyczne
20.00 Auto-Moto Fan Klub
20.30 XI Przegląd Piosenki Aktorskiej — Wrocław 90
21.30 Panorama dnia
21.45 „Heimat" — odc. ser. RFN
22.55 Komentarz dnia

WTOREK, 13.03.1990 R.

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Wiad.
9.25 „Dolina nadziei" — odc. 1 franc. ser. pt. „Na obczyźnie"
16.20 Program dnia — Telegazeta
16.25 Dla dzieci: Tik—Tak oraz Kino Tik—Taka: „Opowieści Byczka"
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika zdrowego człowieka
18.15 Business
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Plus — minus
19.30 Wiadomości
20.05 Spotkanie z min. Jackiem Kuroniem
20.15 „Dolina nadziei" — odc. 1 franc. ser. obycz. pt. „Na obczyźnie"
21.15 Sport
21.25 Listy o gospodarce
22.00 Wiad. wiecz.
22.15 Kinomania
23.20 J. rosyjski

PROGRAM II

16.25 J. angielski
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna
18.50 Program publ.
19.30 Z wiatrem i pod wiatr
20.00 XI Przegląd Piosenki Aktorskiej
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
21.30 Panorama dnia
21.45 „Sceny nocne" — film TVP, reż. Marek Nowicki
23.35 Komentarz dnia

lewym okiem

Bigosik raz!

Znowu zaczyna się prawdziwy kryzys w klasycznym sensie tego słowa. Piszę „znowu", bo jeden taki już pamiętam, ten z lat 1929—35. A piszę „prawdziwy" dlatego, że dopiero wówczas, gdy są towary, są teoretycznie możliwości zdobycia mieszkania i wszystkiego, a ludzie nie mają pieniędzy, żeby to nabyć, dopiero wtedy mówi się o prawdziwym kryzysie. A właśnie w taką fazę wchodzimy.

W tamtych latach 29—35 też mówiło się bez przerwy, w każdym domu o tym, kto już stracił pracę, kto jej nie może znaleźć, kto godzinami stoi w kolejkach po zupę dla bezrobotnych. Połowę gazet takich jak „Kurier Warszawski" zajmowały drobne ogłoszenia. Z kolei połowa tych drobnych anonsów zaczynała się słowami: „wolne mieszkanie, „mieszkanie do wynajęcia". Było tego w Warszawie mnóstwo, a jednocześnie w najgorszych spelunkach pod schodami gnieździło się po wiele osób w jednej izbie. Na każdej ulicy mijało się kilka placów budowy, gdzie rozpoczęte mury, okryte byle jak papą i słomą, stały opustoszałe czekając na lepsze czasy. Póki co stanowiły teren zabaw dla warszawskich dzieci, dla których nikt przedszkoli nie urządzał. To był właśnie kryzys.

W „Przekroju" z 11 lutego 1990 r. Jerzy Piekarczyk opisuje wiele jeszcze innych przesileń, jakie przetoczyły się przez ludzkość w ciągu dziejów. Był kryzys już w Rzymie w IV wieku, później w VIII, siedemnastym, dziewiętnastym, wreszcie ten ostatni w dwudziestoleciu międzywojennym. Zawsze przy tym występowały te same zjawiska: bezrobocie, upadek produkcji, upadek obyczajów, głód, nędza — i ogromny przepych nielicznych jednostek. Zostawmy jednak tamtą dalszą historię, a sięgnijmy po prasę z lat ostatniego, międzywojennego kryzysu.

Pismo Stronnictwa Demokratycznego „Epoka" z roku 1933 donosi, że pewien sławny lekarz w Ameryce stwierdza korzystny wpływ kryzysu na zdrowie ludności, jako że ludzie nie śpieszą się, mniej jedzą i nie są narażeni na wypadki przy pracy. Okazuje się więc, że łatwo można osiągnąć wysoki procent bezpieczeństwa pracy po prostu nie pozwalając ludziom pracować. W taki sam sposób zlikwidować wieloletnie oczekiwanie na mieszkanie podnosząc tak wysoko cenę mieszkań, że nikt na taką kosztowną okazję w ogóle czekać nie będzie.

W tejże „Epoce" czytamy ogłoszenie aktorów z teatru im. Stefana Żeromskiego na Pradze, że zamiast opłat za bilety wstępu przyjmują chleb, mleko i jaja. Mogę bez trudu wyobrazić sobie grupę złożoną z bezrobotnych aktorów, którzy dadzą występ w świetlicy zakładowej — jeśli to będzie wciąż czynny zakład — za poczęstowanie ich obiadem.

I jeszcze wiadomości z tej samej „Epoki": w Kanadzie spalono dwa miliony buszli pszenicy, w Australii zakopano 800 tysięcy owiec, w Egipcie spalono 150 tysięcy ton bawełny. Na to wszystko nie znalazł się nabywca. Ale — i to jest optymistyczna nauka płynąca z historii — wszystkie kryzysy miały swój koniec. Nie mijały tak szybko jak by ludzie chcieli, trwały zazwyczaj kilka lat, ale wreszcie się kończyły. Powiedzmy to na pociechę obywatelowi jedzącemu bigos w skromnej, zakopiańskiej restauracji. Porcja takiego bigosu, jak czytałem, kosztuje tam esiem tysięcy złotych. Jedząc raz na dzień bigos wydaje się miesięcznie 240 tysięcy złotych, a tyle wynosi wynagrodzenie wielu osób. Wszystko więc pochłonie jedna porcja bigosu dziennie. Ale to minie.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Rady dla neofity

Zmiany zachodziły wyjątkowo szybko. Świat pulsował za oknem i każdy dzień przynosił coś nowego. Nagle okazało się, że niemalże wszyscy popierają to, co jest obecnie. I gdyby nie zakurzone lekko książki w bibliotekach i wspomnienia, wydawałoby się, że przedtem nie było nic.

Na pewnego wybitnego kronikarza, który otwarcie powiedział, że nie ma się co wywyższać, bo wszyscy jesteśmy dziećmi „starego", popatrzono z niesmakiem i niechęcią. Zapomniano tylko, że on, jako jeden z nielicznych, mógł sobie na takie stwierdzenie naprawdę pozwolić, nigdy bowiem nie był kronikarzem nadwornym.

Niektórzy uważali jednak, że zmiany wielu idą w nie najlepszym kierunku, że traci się nad nimi kontrolę. Dlatego też ktoś postanowił napisać broszurkę instruktażową pt. „Rady dla neofity, od której to postawy prosta droga wiedzie, by zostać sprawiedliwym". Praca owa zaczynała się od motta: „... większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia". Potem następował tekst:

Jako neofita musisz zdecydowanie odciąć się od swej przeszłości i nie po to ma się tak stać, by w zmianę uwierzyli inni, (to też!) ale przede wszystkim, byś uwierzył samemu. Nie jest to zresztą takie trudne, musi jednak nastąpić w czasie jak najkrótszym. W tym celu należy więc wydobyć z siebie całą potencjalną energię. Potrzebna ona będzie, by jak najmocniej pokazać twój radykalizm. W niczym nie wolno ustępować, a rzeczy nawet oczywiste po twoim wystąpieniu muszą stawać się jeszcze bardziej oczywistymi. I tak, jeśli ktoś powie spokojnie, że coś jest czarne, to powinieneś po jego wystąpieniu koniecznie zabrać głos i powiedzieć: — Mój przedmówca użył sformułowania „czarne", ale proszę państwa, to jest coś więcej niż czarne, to jest bardzo czarne. W tym miejscu należy odpowiednio podnieść głos i rzucić wyzywające spojrzenie dookoła, poczekać na oklaski i łagodnie dodać: — A w ogóle dziwi mnie trochę fakt, że mój kolega jest tak delikatny, nie czas teraz na kurtuazyjne gesty.

Nie wolno również dać się wmanewrować w jakieś zawiłe spory, polemiki i dyskusje, możesz się bowiem wtedy pogubić i niebywale szybko stracić swoją dotychczasową pozycję. Atakować najbardziej zajadle rzecz jasna należy tych, z którymi trzymałeś do tej pory, nikt w tym nie powinien być lepszym od ciebie. Tutaj musisz wykazać całą swoją inwencję, tak, by po pewnym czasie nikt nawet nie śmiał posądzić cię o to, że kiedyś byłeś z nimi. Jeśli uwierzysz w siebie, będzie to niezwykle proste — ba! — dziecinne i jeżeli spełnisz wszystkie warunki, zdziwiony będziesz, że udaje ci się uderzać w innych z taką swadą i łatwością.

Ale gdyby i po tym wszystkim jakiś podstępny złośliwiec zadał ci pytanie, co robiłeś wcześniej, zanim opowiedziałeś się po tej stronie, zlekceważ go i nie odpowiadaj, zerknij tylko z pobłażliwością i spokojnie oddal się.

To podstawowe warunki, po spełnieniu których uwierzysz sam w siebie. Uwierzą ci także inni. Będziesz wtedy na prostej drodze do sukcesu. Naprzód więc, do dzieła!

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

nagłe zastępstwo

Na myszach

Znaczna część rodaków patrzy na poczynania rządu z takim nastawieniem: czy Tadeusz Mazowiecki i Leszek Balcerowicz robią to, co robili Zbigniew Messner i Mieczysław Rakowski, czy też robią zupełnie coś innego? Opinie są podzielone mniej więcej „fifty-fifty". Co ciekawsze, ten podział wcale nie pokrywa się z podziałem na zwolenników i przeciwników naszego balcerowiczowskiego NEP-u. Występują następujące postawy:

Dwie akceptujące:

— *Robią to samo, ale mają większe poparcie społeczne i zajdą dalej.*

— *Robią zupełnie inaczej i bardzo dobrze.*

Dwie negatywne:

— *Robią to samo, co te dranie komuchy.*

— *Robią coś zupełnie innego i to ich zgubi, nie wykorzystują doświadczeń poprzedników.*

Jak się tak dobrze zastanowić, to każdy z wymienionych poglądów zawiera jakieś ziarno prawdy Rzeczywistość jest zawsze bardziej skomplikowana niż tego by sobie życzyli i apologeci, i krytykanci. A ja zabieram głos w tej sprawie po to, żeby zwrócić uwagę na jeden z elementów zbieżności poczynań naszego rządu z kilkoma ekipami poprzednimi. Zacznijmy od starego dowcipu, który w skrócie streszczał się do tego, że chłopak po odczycie partyjnego agitatora wygłasza taką sentencję:

— *Ten Marks i Engels to nie byli prawdziwi uczeni. Prawdziwi najpierw sprawdziliby toto na myszach.*

Otóż wydaje mi się, że robimy teraz za myszy doświadczalne, bo nikt nie miał czasu przetestować reformy na prawdziwych myszach. Krótko mówiąc, podejrzewam naszych wybitnych ekonomistów i szlachetnych działaczy gospodarczych, że tak jak już wiele razy bywało, wymyślili jakiś model i wprowadzają go w życie nie mając przyzwoitego rozeznania co do skutków. Argumenty? Proszę bardzo.

Minister Jacek Kuroń mówi do łódzkich pracownic przemysłu lekkiego, że ten akurat przemysł ma kolosalną przyszłość, że przyszły ciężkie czasy dla kompleksu energetyczno-paliwowego i przemysłu ciężkiego. Produkcja dóbr konsumpcyjnych będzie kwitła i rozwijała się, że tkaczki, prządki, krawcowe itp. będą znakomicie zarabiać. Tymczasem łódzki przemysł zdycha, bezrobocie w Łodzi większe niż gdzie indziej. Jacek Kuroń nie przewidział, ale ktoś, jakiś ekspert, powinien to przewidzieć?

Przykład drugi. Rodzimi uczeni podają orientacyjną liczebność bezrobotnych: od pół miliona do... pięciu milionów. Dyskredytuje to ich wszystkich hurtem Tymczasem eksperci Banku Światowego liczą na milion siedemset tysięcy. Komu wierzyć? Ano, chyba tym ekspertom, choć oni daleko. Ale fachowcy!

Można te przykłady mnożyć. Wyjdzie na moje — eksperymentu na myszach nie było, eksperyment robi się na nas. Zobaczymy, czy przetrzymamy?

Przytoczmy zatem stary dowcip: Czy może być socjalizm w Luxemburgu? Nie, za duże nieszczęście na taki mały kraj.

Jak to zaadaptować, Może tak — czy można wprowadzać eksperymentalny system ekonomiczny w Polsce? Nie można, za duży kraj na eksperyment, za mały, żeby wytrzymać, jeśli eksperyment się nie uda?

ANDRZEJ KAROL

— Piuję sobie w brodę — odezwał się pierwszy Gajdacz. — Było postawić na swoim i wyjechać dziś rano. — Leciałbym właśnie do Tuzynu.

— Każdy mógłby gdzieś lecieć — powiedział Lucjan Marat. — Ja z żoną do Grecji na wyspę Korfu. Mówiłem szefowi, że dostaliśmy prywatne zaproszenie.

— Żałujesz, że nie poleciałeś? — zapytał Ikar.

— Żałuję — odparł Marat zgodnie z zasadą Godziny Szczerości Kierownictwa. — Nie wierzę w przypadkowe podpalenia.

— Coś podejrzewasz? — zapytał szef.

— Najgorsze.

— Najgorsze za nami — zacytował Rajski Naczelnego. — Wychodzimy na prostą. Teraz tylko punkty kontrolne i testy antydopingowe.

— Żeby to tylko nie była gra w chińczyka — mruknął Gajdacz.

— Nie rozumiem aluzji — szef patrzył na Gajdacza przechylając głowę.

— Jest się na prostej, rzuca kośćmi i wszystko od początku. Można zaczynać niezliczoną ilość razy, jeżeli pech.

— P e c h — przesylabizował Naczelny. — Ten nieszczęśliwy wypadek jest nam bardzo nie na rękę. Zwłaszcza wam, Rajski.

— Mnie?... — zdumiał się Rajski.

— Wam na ostatnim kierownictwie powierzyliśmy ekologię.

Zaległa cisza. Twarze ludzi wokół czeczotowego stołu wyglądały jak woskowe maski. Rajski sapnął chrapliwie.

— Nic nie wiem — powiedział. — Nie było mnie na ostatnim posiedzeniu kierownictwa. Z polecenia szefa obsługiwałem konferencję w Krasnogaju. Była tylko propozycja, aby włączyć mnie do problematyki ekologicznej...

— Coś jednak wiecie — zauważył Naczelny.

— ...ale decyzje nie zapadły — dokończył Rajski.

— Jeśli ciebie nie było, a myśmy byli, chyba wiemy lepiej — powiedział Ikar, kreśląc ołówkiem na kartce esy-floresy.

— Szef składa propozycję nie do odrzucenia — dodał Gajdacz. — I mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę. Ona była aktorką ze Skiroławek, pamiętam ją. Grała Desdemonę u Blinkowskiego.

— Kłamstwo!...

— Nie denerwujcie się, Rajski — doradził Lucjan Marat. — Sprawdzimy. Ale mnie się też wydaje, że ją widziałem na Małej Scenie w Skiroławkach. Partnerowała Kłobukowi.

— A gdyby nawet? — Rajski wstał z krzesła.

— Nic — powiedział Naczelny. — Pracujemy kolektywnie. Nie opuścimy was.

Niebo za oknem pociemniało. Szła burza. Słychać już było dalekie przelewanie się grzmotów, powietrze gęstniało od elektryczności. Może Olga ma rację, pomyślał nagle Franciszek Ikar, może zgoda na wiele prawd jest początkiem degradacji człowieka? Marat przypomniał sobie czasy, gdy był w opozycji. Zamierzchłą przeszłość, wiec na uczelni, pierwsze aresztowanie. Próbowali go zastraszyć. Wyśmiał ich. Chciał wtedy męczeństwa, próby bólu, nie miał skończonych dwudziestu lat. Laryngolog odkrył, że nie znosi wysokich dźwięków i jego celę na cztery doby wypełnił niegłośny, świdrujący świst w kaloryferach. Zaczął domagać się przeniesienia do innej celi, próbował nie jeść, tarabanił w żelazne drzwi, raniąc sobie ręce. Piątego dnia zgarbiony mężczyzna w okularach przekonał go, że walka z zapracowaną władzą to nieszczęście kraju. Podpisał coś. Mężczyzna w okularach okazał się fachowcem, nigdy nie ujawnił podpisanej kartki, choć Marat działał dalej i zaszedł wysoko w dysydenckiej nomenklaturze. Przy kolejnym trzęsieniu ziemi władze poprosiły o kompromis, oferując koalicję. Marat wszedł z ramienia swoich; obliczyli, że w koalicji konfrontacyjnej tamci wytrzymają najwyżej trzy miesiące, potem zaczną puchnąć i bez rozgłosu wyzioną ducha. Lucjan Marat otrzymał mieszkanie w willowej dzielnicy, samochód z kierowcą i prawo do korzystania z bazy, gdzie nie jest taniej, lecz można dostać wszystko. Przez długi jeszcze czas chodził do pracy pieszo. Konferował ze swoimi. Aż doszło do awantury, gdy opowiedział się za racjami kierownictwa. „Zaprzedałeś się?" — „Ponoszę odpowiedzialność!". U swoich już formowała się grupa janczarów, nieprzejednanych i gotowych na wszystko młodych ludzi. Gardzili kompromisem, Marata nazywali ścierką na wietrze, śmierdzącym inteligenciakiem, upadłą gwiazdą. Dystansowali się, więc i on się dystansował niepostrzeżenie. Na posiedzeniach kierownictwa szef zawsze go pytał o zdanie i często je uwzględniał; chwalił reprezentanta opozycji za trzeźwość sądu, dalekowzroczność, instynkt klasowy, stawiał za wzór swoim współpracownikom. Uporowi Marata przypisać należy ustawę o wolnych wyborach i dwie poprawki do konstytucji, dotyczące praw obywatelskich. Następne trzęsienie ziemi, wywołane przez młodojanczarów, które tamtego szefa zmusiło do dymisji, a kraj kosztowało trochę pożarów i kamienia pomnikowego, Maratowi uświadomiło, że z rebelią już nic go nie łączy. Racja była na pewno po stronie kierownictwa. Racje są piękne i szpetne, realne i na efekt. Marat miał już za sobą urzeczenie piękną nierealnością, przyswoił sobie uwarunkowania. Na ostatnim spotkaniu ze swoimi, nim cofnięto mu mandat, powiedział co myśli o rejtanizmie historycznym i schlebianiu tłumowi. Był już wtedy profesorem zwyczajnym. „Zdrajca!" — zakrzyknięto. „Głupcy!" — odkrzyknął. Nazajutrz złożył Naczelnemu dymisję, która nie została przyjęta: „Wy, Marat, sami o tym nie wiedząc, już od dawna nie reprezentujecie janczarów. Jesteście w kierownictwie przedstawicielem zdrowej większości narodu".

ALEKSANDER MINKOWSKI

Sekrety prominentów (14)

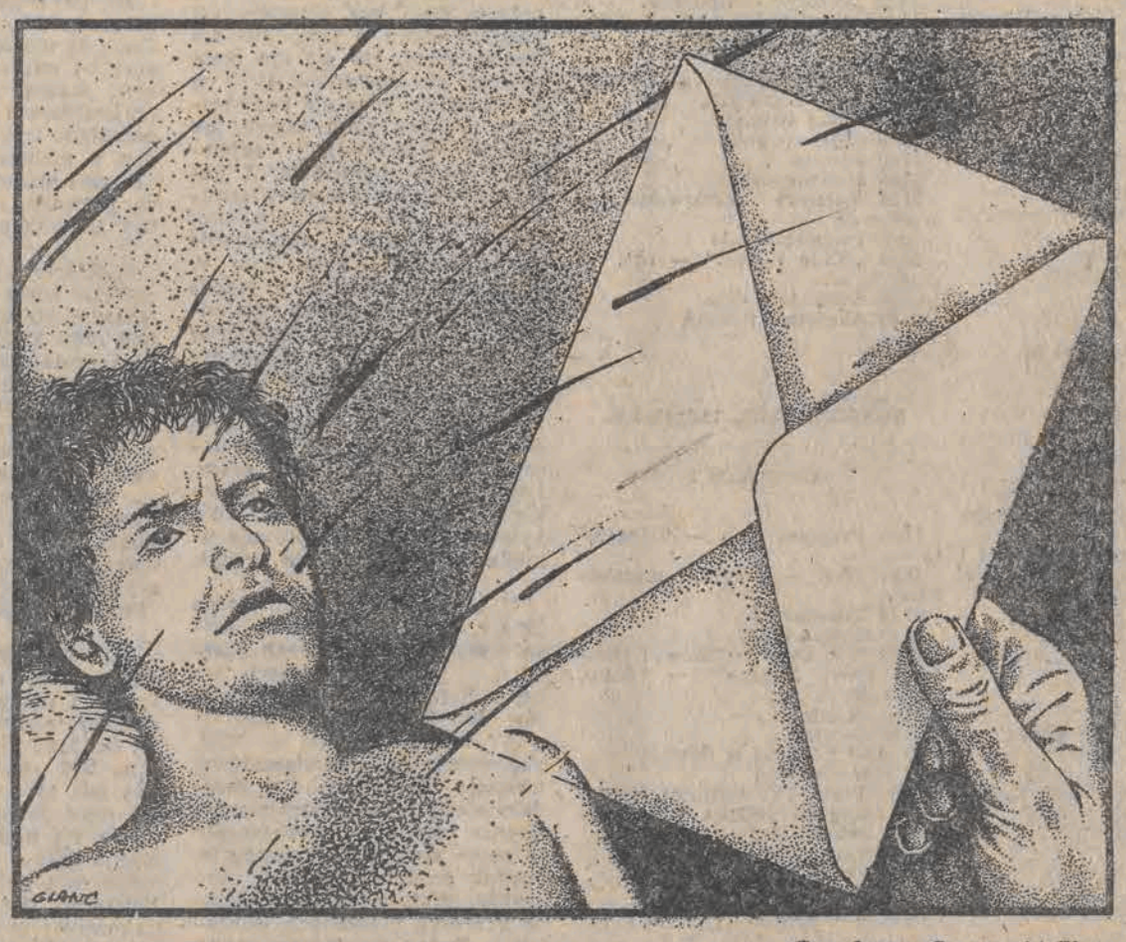

Rys. Janusz Szymanski-Glanc

Dał się na to wziąć. Teraz wyłącznie od Naczelnego zależało, kto odpowiadał za ekologię. Byłoby dobrze sprzymierzyć się z Ikarem, ale dla nich obu nie wystarczy miejsca.

Znowu zagrzmiało i w salonie zgasły elektryczne światła. Tylko radio, automatycznie przełączywszy się na baterie, zaczęło emitować „Boże, coś Polskę".

— Co to ma znaczyć? — powiedział głośno szef. — Dlaczego nie funkcjonują agregaty?

Tamara i Laura wniosły świece.

Major wyjął z dekodera rozszyfrowany teleks i przeczytał go słowo po słowie. Nie uwierzył. Przeczytał jeszcze dwa razy. Za oknem łomotał grad, wybuchały fioletowe rozbłyski, niebo w ich rozjarzeniu wyglądało jak gotująca się zupa. Czasami przecinek czy kropka zmieniają cały sens. Major ponownie wsunął teleks do dekodera, potem przez radio zapytał Centralę, czy pięć i pięć jest dziesięć.

„Dokładnie. Zapoznać się z Instrukcją „S" i przystąpić natychmiast do wykonywania".

Nie było więc miejsca na wątpliwości. Major wstał jak automat, podszedł do szafy pancernej i laserowym kluczem odblokował zamki. Mechanizm bezszelestnie odsunął na bok molibdenowe drzwiczki. Na górnej półce w pojemniku za szybką pulsowało czerwone światło. Major stłukł szkło specjalnym młoteczkiem. Lampka zgasła. Centrala wiedziała już, że wyjmuje ze skrytki Instrukcję „S", miała jego zdjęcie w podczerwieni i odciski palców.

Major rozerwał kopertę i wyjął z niej złożony we czworo arkusz papieru, pokryty gęsto pismem maszynowym. Tekst był w punktach. Oprócz celów i metod zawierał nazwiska funkcjonariuszy, którzy znajdują się już w Ośrodku i są gotowi do wykonania zadań. Major przeczytał tę listę ze szczególnym zaciekawieniem. Znał tych ludzi dobrze. Nie przyszłoby mu do głowy, że są nie tylko kucharzami, masażystkami, ochroną, personelem technicznym. Wiedzieli wcześniej niż on. Wykonają każdy jego rozkaz.

Komendant wprowadził Instrukcję „S" do komputera, kasując w ten sposób wszystkie wcześniejsze zapisy. Odtąd służby Ośrodka podlegały prawom alarmu bojowego. Dyscyplina, czujność. Za uchybienie kula w łeb.

Nim przystąpił do działań, połączył się jeszcze ze swym przełożonym w Centrali. Miał do tego prawo. Poprosił o pasmo najwyższej częstotliwości, aby absolutnie nikt nie mógł ich podsłuchiwać.

— Myślicie, że tak trzeba? — zapytał.

— Wiem, co czujesz, Marian — doszedł go ciepły i chyba smutny głos przełożonego. — Wszystkim nam ciężko. Bywają chwile zwątpienia, kiedy człowieka ogarnia zamęt, kiedy gubi się, słabnie. Jedyne wtedy to wierność.

— Wierność czemu? — zapytał komendant.

— Wierność wierności.

Komendant zebrał w bunkrze pod kantorem funkcjonariuszy ze spisu. Przeprowadził krótką odprawę, nikt nie stawiał pytań. Każdy wiedział, co do niego należy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Deszcz siekł szyby, wichura buszowała wśród drzew, wyładowania elektryczne raz po raz rozjarzały salon fosforycznym blaskiem. Radio umilkło. Właściwie nie umilkło, tylko trzeba je było wyłączyć, ponieważ na wszystkich zakresach głośnik emitował buczenie. Naczelny zażądał połączenia z Siedzibą, potem z rezydencją swego zastępcy, ale technik zameldował, że nie ma połączenia. Nawałnica, linie pozrywane. Zawalił się most, uszkadzając podwodny kabel.

— Łączcie drogą radiową — rozkazał Naczelny. — Będę rozmawiał ze swego gabinetu.

Czekając na radiową łączność, Naczelny rozgrywał cztery bez atu. Gorban był kiepskim brydżystą, licytował nieprecyzyjnie, zawsze z nadwyżką optymizmu, jakby to miało sprawiać szefowi przyjemność. Do diabła z taką przyjemnością. Człowiek spodziewa się u partnera dwóch asów i króla, a okazuje się, że to dwa króle i as.

— Wistuj — rzucił do Ikara.

Ikar powinien był wyjść w piki, z pików bowiem Marat otworzył licytację. Ale miał piątkę trefli z waletem i damą. Wyszedł w treflowego waleta. Zobaczył grymas irytacji na twarzy partnera i uśmieszek Naczelnego.

— Przed laty nazywało się to sabotaż — powiedział Marat, patrząc jak szef bije waleta królem na stole i zgarnia lewę treflową, by zaraz po niej wziąć spokojnie siedem lew kierowych. Gdyby Ikar wyszedł w pika, przeciwnicy leżeliby bez dwóch. Co najmniej. Dama pikowa była na stole, pod impasem, Lucjan Marat zabrałby z góry pięć lew.

— Zależy komu by to służyło — zareplikował wesoło Naczelny, uradowany, że będą nadróbki. — Jeżeli nam, to sprawiedliwość dziejowa. Franciszek zrekompensował mi tylko błąd licytacyjny Emila.

Laura wniosła na tacy mikroskopijne tartinki z czerwonym i czarnym kawiorem. Podano do nich białe wytrawne wino możelskie. Marat wziął lewę na asa karo. Była jeszcze szansa rozłożenia przeciwników bez jednej, szef patrzył na Marata z napięciem, przeżywał grę. Kto ma asa pik? Czy z królem? Lucjan Marat miał asa, króla i waleta, dama na stole była już druga — szef zrzucił na kiera blotkę pikową — musi spaść.

Wyszedł w trefla. Ikar wykrzywił się, jakby łyknął octu:

— Co ty?!

— Odwracam ci kolor — odparł Marat.

— Proszę bez rozmów — upomniał Naczelny, nie mogąc ukryć rozradowania, ponieważ w ten sposób czekał go szlemik.

Emil Gorban patrzył na szefa z rozrzewnieniem. Naczelny, jego zdaniem, nie tylko grał go mistrzowsku, lecz miał ponadto niesłychane szczęście. Jak we wszystkim. I najważniejsze, że już nie gniewał się na swego sekretarza.

Laura szepnęła coś na ucho Naczelnemu, otarłszy mu się biustem o ramię. Wstał, bez przeprosin poszedł na górę do gabinetu.

Przy biurku w postawie zasadniczej czekał komendant. Szerokie pałacowe okno za jego plecami rozświetlały eksplozje błyskawic, pomimo spuszczonych kotar.

— Jest Bard? — zapytał Naczelny.

— Melduję, że nie możemy nawiązać łączności radiowej — zaraportował komendant i zrobił pauzę na dudnienie grzmotu. — Są zakłócenia atmosferyczne.

— W którym my żyjemy wieku? — zapytał szef. — Łączono mnie przy gorszej pogodzie. Dawajcie inżyniera.

Pojawił się natychmiast, jakby czekał pod drzwiami na wezwanie. Był drobny, miał twarz wątrobowca.

— Chyba was nie znam — powiedział Naczelny. — Gdzie Kamiński?

— Inżynier Kamiński jest na zwolnieniu okolicznościowym — zameldował komendant. — Wyjechał na pogrzeb siostry.

— Nazywam się Jan Szir — powiedział wątrobowiec.

— Niech będzie — powiedział Naczelny. — Łączcie mnie z Siedzibą.

— Niestety — powiedział wątrobowiec. — Występują anomalia elektromagnetyczne, spotęgowane jonizacją cząsteczki ipsi.

— Nie podobacie mi się — powiedział Naczelny.

— Tak jest — powiedział wątrobowiec. — Ponadto zakłócenia interferencji i szumy kosmiczne.

— Jak długo to potrwa?

— Nie wiemy.

— Nie podobacie mi się — powtórzył Naczelny. — Macie próbować aż do skutku.

— Tak jest.

— Możecie odejść, Szir.

Wątrobowiec leciutko utykając opuścił gabinet Naczelnego. Komendant ciągle stał przy biurku w postawie zasadniczej.

— Żadnej łączności? — zapytał go Naczelny. — Przecież to nie jest możliwe.

— Możemy wysyłać teleksy — zameldował komendant. — Tylko w jednym kierunku, bo odpowiedzi nie dochodzą do nas.

C.D.N.

Sergiusz Piasecki urodził się w 1899 lub 1901 r., zmarł w 1964 roku. Jest autorem głośnej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy", którą napisał w 1935 r. podczas odsiadywania wyroku za działalność przemytniczą i rozbójniczą na pograniczu polsko-radzieckim. W okresie II wojny światowej trafił do Anglii, gdzie napisał kolejne książki, m.in. „Żywot człowieka rozbrojonego" i „W imieniu organizacji". Rozpoczynamy druk fragmentów jego „Zapisków oficera Armii Czerwonej". Wydawnictwo „Książka Dla Wszystkich", Gryf Publications LTD, Londyn 1957.

Zapiski oficera Armii Czerwonej

SERGIUSZ PIASECKI

Dawno już nie pisałem, ale i czasu nie bardzo mam na to. Zresztą nic nadzwyczajnego się nie dzieje. Burżuazję polską poskromiono wzorowo. Ta zaś, która jeszcze ocalała, siedzi po kątach, a nasze bohaterskie NKWD ją po trochu likwiduje. Rząd nasz przywrócił wolność Białorusinom i wspaniałomyślnie zaszczycił ich przyjęciem do Związku Radzieckiego. Teraz — po sam Bug i za Bug — wszystko nasze. Litwa otrzymała zagrabione jej przez polskich panów Vilnius i bardzo jest za to wdzięczna naszemu WIELKIEMU Stalinowi. Słowem: wprowadzamy planowo wszędzie porządek, swobodę, kulturę, dobrobyt i sprawiedliwość. Socjalizujemy, co możemy i gdzie możemy — po komunistycznemu.

Niedawno kupiłem ja sobie jeszcze jeden zegarek. Ale nie w sklepie, lecz od znajomego Lipy, też robociarza, któremu pieniędzy na wódkę zabrakło. Teraz każdy, kto tylko na mnie spojrzy, od razu widzi, że ważna persona jestem, bo przy dwóch zegarkach chodzę. A jakże! Bardzo to przyjemne samopoczucie Tak.

Prócz tego mam prawdziwą walizkę, prawie zupełnie nową, z dwoma zamkami i miedzianymi okuciami na rogach. Kupiłem sobie też chromowe buty angielskiego fasonu, z rzemykami pod kolanem. Niedawno ubrałem się ja fasonowo i z walizką w ręku ze dwie godziny przed lustrem stałem, na siebie patrzyłem i napatrzyć się nie mogłem. Tak: można powiedzieć, że na znakomitą osobistość wyglądam. Tylko wzrostem ja za mały i nos trochę przypłaszczony. A poza tym wszystko wspaniale! Spodnie z francuskim galife, z niemieckiego sukna uszyte; buty, angielskiego fasonu, lśnią jak gwiazdy na sowieckim sztandarze; zegarki szwajcarskie: tyk-tak!... tyk-tak!... Jeden w kieszonce, drugi na ręku. Nie ma co mówić; pięknie wysztafirowałem się! Ot, żeby tak ubranym i z walizką w ręku wrócić do Pawłowa i pójść na spacer ulicą! To by ludziska patrzyli i podziwiali! Całe miasteczko by się zbiegło, żeby mnie zobaczyć. Tak: wysoko ja zaszedłem, zawdzięczając władzy radzieckiej i naszemu WIELKIEMU Stalinowi.

W dalszym ciągu mieszkam u Lipy, lecz wódki z nim nie piję i rozmawiam bardzo ostrożnie. Raz jeden wpadłem w nieszczęście, ale dobrze się skończyło, więc teraz muszę na siebie uważać.

Przyglądam się ja: jak żyją Lipy i bardzo się dziwię. Dobrze jedzą, czysto chodzą i własny dom mają. We cztery osoby w trzech pokojach mieszkają. I wszędzie są firanki, kwiatki. A w jednym pokoju ja nawet prawdziwy patefon zauważyłem. Daję komunistyczne słowo honoru, że nie kłamię!... Nie mogę ja uwierzyć w to, że Lipa uczciwym sposobem do takich wielkich bogactw doszedł! Bo że robotnikiem on teraz jest, to to prawda. Przekonałem się. Ale żeby cała rodzina z jego pracy mogła żyć w takiej rozkoszy, to w taką bajkę nikt rozsądny nie uwierzy.

Żona Lipy ze czterdzieści lat ma. Ale kobieta niczego sobie: tłusta. Z początku ja do ich starszej córki oko robiłem. Piękna panna. Julka się nazywa. Wysoka, zgrabna, piersista i w zasadzie należycie rozrośnięta. A ubiera się jak aktorka filmowa. Nawet kapelusz czasem włoży i różne tam palta i żakiety posiada. A także parasolkę. Nawet pewnego razu u niej zegarek na łańcuszku przyuważyłem. Ot, myślę ja sobie, żeby mnie taką podczepić! Więc zacząłem ja ją kokietować. To ją łokciem szturchnę, to na nogę nastąpię przechodząc, to mrugnę do niej w sposób znaczący... Naszej by to wystarczyło. Za cześć wielką uważałaby, że ją czerwony oficer raczył swoją uwagą zaszczycić. A ta nic — mordą kręci. Więc ja jej pewnego razu, nad wieczór, drogę na dziedziniec zastąpiłem i mówię bardzo politycznie:

— Może pójdziemy dziś do klubu kolejowego na film. Ja bilet zafunduję.

— Dziękuję — powiedziała. — Nie interesują mnie wasze kluby i filmy. Zresztą widziałam, że tu wasze sowietki przyjechały i w sołdackich mundurach chodzą. Możecie sobie którąś z nich zaprosić.

— Nie chcecie — powiedziałem — to nie trzeba. Lepszą znajdę.

A ona mówi:

— Choć i sto naraz.

Odtrąciła mnie i poszła. Ja bym potrafił inaczej z nią pogadać. Chłopaki dużo opowiadali: jak z takimi burżujkami trzeba postępować. Ale na Lipę wzgląd miałem i na jego proletariackie pochodzenie. Poza tym widać, że on człowiek taki, co i w mordę walić potrafi. A ja jakoś bardzo nie lubię jak mnie w mordę biją. Delikatną mam naturę.

C.D.N.